

**LUCY MAUD MONTGOMERY**

# **BŁĘKITNY ZAMEK**

**PRZEŁOŻYŁA JOANNA KAZIMIERCZYK  
TYTUŁ ORYGINAŁU THE BLUE CASTLE**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdyby pewnego majowego ranka nie padał ulewny deszcz, życie Valancy Stirling potoczyłoby się zupełnie inaczej. Poszłaby na rodzinny piknik z okazji rocznicy zaręczyn ciotki Wellington, a doktor Trent pojechałby do Montrealu. Jednakże deszcz padał i dlatego zdarzyło się to, co się zdarzyło.

Valancy obudziła się wcześniej, tuż przed świtem. Nie spała zresztą dobrze. Nic w tym dziwnego, zważywszy, że nazajutrz miała skończyć dwadzieścia dziewięć lat i nie wyszła dotąd za męża. W jej środowisku niezamężne były tylko te panny, którym nie udało się złapać męża.

Deerwood i Stirlingowie już dawno skazali Valancy na beznadziejność staropanieństwa. Ona jednak nigdy nie wyzbyła się wstydlivej nadziei, że na jej drodze pojawi się romantyczna miłość. Nigdy, aż do tego okropnego ranka gdy uświadomiła sobie, że ma dwadzieścia dziewięć lat i żaden mężczyzna nie zabiegał o jej względy.

To właśnie doskwierało najbardziej. Valancy nie bolała zbyt wiele nad samym staropanieństwem. Ostatecznie, myślała, bycie starą panną jest mimo wszystko lepsze niż bycie żoną stryja Wellingtona, stryja Beniamina, czy nawet stryja Herberta. Ból sprawiało to, że nigdy nie miała szansy na coś innego. Żaden mężczyzna nie okazał jej zainteresowania...

I teraz, gdy leżała w półmroku poranka, poczuła łzy w oczach. Nie mogła wypłakać się tak, jakby chciała, z dwóch powodów. Obawiała się, że płacz wywoła znowu ból w okolicy serca — doznała ich kładąc się do łóżka i były silniejsze niż poprzednio. Nie chciała również, żeby przy śniadaniu matka zauważyła zaczerwienione oczy i zarzuciła ją gradem drobiazgowych i natarczywych pytań.

— Przypuśćmy — pomyślała Valancy, uśmiechając się ponuro — że powiedziałabym prawdę: Płaczę, bo nie mogę wyjść za męża. Mama byłaby zgorzonna, chociaż nie ma dnia, by nie wstydziła się córki, starej panny.

Ale oczywiście pozory muszą być zachowane. Valancy natychmiast usłyszałaby stanowczy głos matki stwierdzający, że „myśleć o mężczyznach pannie nie przystoi”. Wyobrażając to sobie roześmiała się; miała bowiem duże poczucie humoru, choć jego istnienia nikt z klanu nie podejrzewał. Dla ścisłości trzeba dodać, iż było w niej wiele cech, których nikt nie podejrzewał... Ale teraz śmiech był wymuszony i pozbawiony wesołości. Po chwili znowu leżała skulona, przysłuchując się ulewie i patrząc z odrazą na zimne bezlitosne światło, powoli przenikające do ponurego i brzydkiego pokoju.

Brzydotę tę znała na pamięć — znała i szczerze nienawidziła. Nie cierpiała żółtej podłogi z ohydny sztyfłowym dywanikiem przy łóżku, ozdobionym groteskowym wizerunkiem psa, który uśmiechał się do niej zawsze, gdy tylko otwierała oczy; spłowiałych brązowych tapet, sufitu z zaciekami, wąskiej wyszczerbionej umywalki, lambrekinu z brązowego papieru w purpurowe róże, upstrzonego plamami i pękniętego starego lustra nad stolikiem służącym za toaletkę; pudełka oklejonego muszlami, wykonanego przez kuzynkę Stickles w latach jej mitycznego dzieciństwa, twardego żółtego krzesła; spłowiałego napisu wyszytego kolorową nicią wokół fotografii prababki Stirling głoszącego — „odeszli, ale są w pamięci”; starych fotografii dawno temu usuniętych z pokoiów na dole. Tylko na dwóch nie było kogoś z rodziny. Stary dagerotyp przedstawiał psiaka siedzącego na ganku, a na sporego formatu portrecie, podarowanym jej w przystępie szczodrości przez ciotkę Wellington na dziewiąte urodziny, po schodach schodziła księżna Louise. Przez dziewiętnaście lat Valancy patrzyła z nienawiścią na piękną, pewną siebie księżnę. Nigdy jednak nie odważyła się zniszczyć wizerunku, czy zdjąć go ze ściany. Matka i kuzynka Stickles byłyby wstrząśnięte, lub — jak to mniej delikatnie określiła w myśli Valancy — trafiłyby je szlag.

Wszystkie pokoje w domu były brzydkie, ale na parterze dbano przynajmniej o pozory. Na umeblowanie pokoi, których nikt nie oglądał, brakowało pieniędzy. Valancy zdawała sobie sprawę, że mogłaby coś zrobić sama, nawet bez pieniędzy, gdyby tylko jej pozwolono. Lecz matka odrzucała z miejsca najbardziej nieśmiałe sugestie, ona zaś nie nalegała. Matka nie znosiła opozycji i długo chodziłaby naburmuszona, w pozie obrażonej królowej. Jedno Valancy lubiła w swym pokoju — w nocy była w nim sama i mogła popłakać, jeśli miała ochotę. Poza tym, cóż znaczyła brzydota pokoju, skoro używało się go wyłącznie do spania i ubierania? Nie wolno jej było pozostawać w nim w innym celu. Zdaniem pani Fryderykowej Stirling i kuzynki Stickles, osoby szukające samotności, miały jakieś nieczne zamiary, Tylko pokój w Błękitnym Zamku był taki, jaki być powinien.

Valancy, tak sflamszona i zastraszona, ganiona i wyśmiewana w rzeczywistości, doskonale dawała sobie radę w świecie marzeń. Nikt z klanu Stirlingów tego nie podejrzewał, a już najmniej matka i kuzynka Stickles. Nie miały pojęcia, że Valancy mieszka w dwóch domach: w przebrzydłym budynku z czerwonej cegły przy Elm Street i w Błękitnym Zamku w Hiszpanii. Zbudowała go sobie jako całkiem mała dziewczynka. Wystarczyło, by zamknęła oczy, a widziała bardzo wyraźnie: wieżyczki, chorągiewki i porośnięte sosnami wzniesienie, otulone w delikatny błękit. W tym zamku wszystko było wspaniałe i piękne. Królewskie klejnoty, szaty z księżycowej poświaty i słonecznego blasku, sofy zdobne różami i złotem, długie pasma marmurowych schodów z wielkimi białymi urnami po bokach, dziedzińce z szeregiem kolumn i delikatnie szemrzącymi fontannami, słowiki śpiewające wśród cyprysów, lustrzane sale pełne urodziwych rycerzy i dam, wśród których ona jest najpiękniejsza i mężczyźni gotowi są oddać życie za jedno jej spojrzenie.

Marzenia pomagały znieść otaczającą nudę i dawały nadzieję na przetrwanie nocy. Większość, jeśli nie wszyscy Stirlingowie umarliby z przerażenia, gdyby wiedzieli choć o połowie tych rzeczy, które Valancy robiła w Błękitnym Zamku.

Przed wszystkim miała w nim kilku kochanków. Oczywiście tylko po jednym na raz! Każdy z nich zalecał się zgodnie z romantycznym rytuałem rycerskiego wieku i zdobywał ją po długim staraniu i wielu odważnych czynach, a potem poślubiał z całą pompą w wielkiej, obwieszanej sztandarami kaplicy Błękitnego Zamku.

Kiedy skończyła dwanaście lat, ukochanym był chłopiec o złocistych lokach i błękitnych jak niebo oczach. Gdy miała lat piętnaście — został nim młodzieniec ciemnowłosy, wysoki i bladolicy, ale niezmiernie urodziwy. W wieku dwudziestu pięciu lat marzyła o kimś z mocno zarysowanym profilem, nieco posępnym, o twarzy bardziej naznaczonej życiem niż pięknej. Trzeba dodać, że w Błękitnym Zamku Valancy nigdy nie przekroczyła dwudziestego piątego roku życia. Ostatnio, zupełnie od niedawna, wybraniec serca miał rudawe włosy, kapryśny uśmiech i tajemniczą przeszłość.

Nie należy sądzić, że Valancy pozbywała się ukochanych w jakiś brutalny sposób. Nie — po prostu z nich wyrastała. Gdy nastawał nowy, poprzednik rozptywał się we mgle. Pod tym względem sprawa w Błękitnych Zamkach układa się bardzo praktycznie.

Jednakże tego ranka, który przesądził o jej losie, nie mogła znaleźć klucza do Zamku. Rzeczywistość przytłaczała zbyt silnie, następowała na pięty jak natrętny psiak. Valancy miała dwadzieścia dziewięć lat. Samotna, nie chciana, brzydka, jedyna nieładna dziewczyna w dumnej z urody rodzinie. Odkąd tylko pamiętała, jej życie było banalne i bezbarwne, pozbawione urozmaiceń. Gdy wybiegała myślą w przyszłość, nic nie zapowiadało zmiany. Gorzka jest chwila, kiedy kobieta uświadamia sobie, że nie ma miłości, obowiązku, celu ani nadziei.

— A ja muszę żyć dalej, bo nie mogę przestać. A jeśli dożyję osiemdziesiątki? — pomyślała Valancy i ogarnęła ją panika. — Jesteśmy strasznie długowieczni. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

Była zadowolona, że pada deszcz, więcej — była szalenie zadowolona. Nie dojdzie bowiem do rocznicowego pikniku. A ostatnimi laty owa rodzinna uroczystość stała się dla Valancy prawdziwym koszmarem. Przez złośliwy zbieg okoliczności na ten dzień przypadały jej urodziny i odkąd skończyła dwadzieścia pięć lat, nie pozwalano jej o tym zapomnieć.

Jakkolwiek serdecznie nie cierpiała uczestniczenia w pikniku, nie przyszło jej do głowy zbuntować się. Najgorsze, że z góry wiedziała dokładnie, co kto do niej powie.

Stryj Wellington, którego nie znosiła i którym gardziła, choć spełnił najgorętsze oczekiwania Stirlingów i „ożenił się z pieniędzmi”, szepnie donośnie: „nie wybierasz się za mąż, moja droga?” — Potem wybuchnie śmiechem, bo tak zwykle kończy wszystkie swoje uwagi. Niezmiennie budząca w niej lęk ciotka Wellington opowie o nowej sukni Olivii i ostatnim czułym liście Cecila. Ona zaś będzie udawała zaciekawioną, jakby suknia i list jej dotyczyły. Inaczej bowiem ciotka poczułaby się urażona. Valancy już dawno zdecydowała, że raczej obrazi Pana Boga niż ciotkę Wellington, bo Bóg zapewne jej wybaczy, a ciotka nigdy.

Tęga ciotka Alberta, mówiąca o swym mężu „on”, jakby był jedyną osobą płci męskiej na świecie, ta która nie może zapomnieć, że w młodości była uznaną pięknoscią, zacznie rozprawiać z ubolewaniem o jej śniadej cerze. — „Nie mam pojęcia dlaczego dzisiejsze dziewczęta są takie opalone. Kiedy byłam młoda, miałam cerę jak krew z mlekiem. Uważano mnie za najładniejszą dziewczynę w Kanadzie...”

Stryj Herbert może tym razem nic nie powie, albo też zauważy żartobliwie: „jak ty przytyłaś Doss!” A wtedy wszyscy się roześmieją z tego udanego dowcipu, bo jakżeby biedna, mała, chuda Doss mogła przytyć.

Przystojny i zawsze poważny stryj James, którego Valancy nie lubiła, ale poważała, bo cieszył się opinią mądrego i stąd był rodzinną wyrocznią (szarych komórek w klanie Stirlingów nie było zbyt wiele), zrobi pewnie jedną ze swych sarkastycznych uwag, na przykład coś takiego: „pewnie jesteś ostatnio bardzo zajęta szykowaniem wyprawy?”

A stryj Beniamin zada kolejną głupawą zagadkę i sam zaraz na nią odpowie, krztusząc się od śmiechu. Valancy każdą z nich słyszała przynajmniej pięćdziesiąt razy i zawsze miała chętkę czymś w niego rzucić, ale oczywiście nigdy tego nie zrobiła. Po pierwsze dlatego, że Stirlingowie nie rzucają przedmiotami, a po drugie stryj Beniamin jest bogatym bezdzietnym wdowcem. Valancy została wychowana w szacunku do jego pieniędzy i w obawie, że jeśli go czymś urazi, to gotów jej nie umieścić w testamencie. Tego nie chciała. Będąc całe życie biedną, zaznała wielu upokorzeń. Znosiła więc zagadki i uśmiechała się z przymusem.

Ciotka Isabel, bezceremonialna i dokuczliwa jak wschodni wiatr, zacznie ją zaraz krytykować. Jeszcze nie wiadomo za co, ale na pewno coś wynajdzie. Ciotka Isabel zawsze chwaliła się tym, że mówi to, co myśli, choć bardzo nie lubiła, gdy inni mówili, co myślą o niej. Valancy nigdy nie powiedziała, co ona sądzi o ciotce.

Marudna, wszechwiedząca ciotka Mildred będzie bez końca ciągnąć opowieści o mężu i dzieciach, bo tylko Valancy zdoła znieść tę gadaninę. Z tego samego powodu kuzynka Gladys, wysoka chuda dama, przedstawi z najdrobniejszymi szczegółami relację o mękach, jakich doznaje z powodu zapalenia nerwu. A Olivia, cudowne dziecko klanu Stirlingów, mająca wszystko to, czego brakuje Valancy — urodę, powodzenie, miłość — będzie obnosić swą piękność — r demonstrować symbol uczucia — zaręczynowy pierścionek z brylantem.

Lecz dzisiaj to wszystko ją ominie. Jak również pakowanie łyżeczek do herbaty. Tym zawsze obarczano Valancy i kuzynkę Stickles. Przed sześciu laty zginęła łyżeczka z kompletu, który ciotka Wellington otrzymała w prezencie ślubnym. Valancy odtąd stale o niej słyszała. Jej duch niemal jak duch Bańka, straszył na każdej rodzinnej uroczystości.

O, tak! Valancy doskonale wiedziała, jak wyglądałby dzisiejszy piknik i błogosławiła deszcz, który ją wybawił. W tym roku pikniku nie będzie. Ciotka Wellington urządza go tylko w ów historyczny dzień, albo wcale. I Bogu niech będą dzięki!

Skoro pikniku nie będzie, to jeśli nawet pogoda się nie poprawi, wybierze się do biblioteki i pożyczy którąś z książek Johna Fostera. Powieści czytać jej nie pozwalano, ale książki Fostera powieściami nie były. — To książki o przyrodzie — wyjaśniła bibliotekarka, pani Stirling. — Wszystko o lasach, ptakach, owadach i tym podobnych rzeczach. — Valancy otrzymała więc zgodę na lekturę, choć nie bez oporu, bo nie udało się ukryć, że sprawia jej ona ogromną przyjemność. A rodzina wyznawała pogląd, iż czytanie rozwijające umysł lub uczucia religijne jest dozwolone, a nawet godne pochwały — jednakże książki, które się podobają, są niebezpieczne. Valancy nie wiedziała, czy jej umysł się rozwinął, ale miała wrażenie, że gdyby natknęła się na książki Johna Fostera przed laty, jej życie wyglądałoby inaczej. One pozwalały jej zajrzeć w świat, do którego dawniej mogłaby wkroczyć, a teraz pozostawał za zamkniętymi drzwiami. Książki Fostera pojawiły się w miejscowej bibliotece przed rokiem, chociaż — jak zauważyła bibliotekarka — już od kilku lat był znanym pisarzem.

— Gdzie on mieszka? — zapytała Valancy.

— Tego nikt nie wie. Sądząc po książkach, zapewne w Kanadzie, ale brak jakichś bliższych informacji. Wydawca nie chce powiedzieć ani słowa. Bardzo prawdopodobne, że John Foster to pseudonim. Jego utwory są niezwykle popularne. Nigdy nie stoją na półce, choć nie mam pojęcia, co ludzie w nich takiego niezwykłego znajdują.

— Uważam, że są wspaniałe — powiedziała nieśmiało Valancy.

— No, cóż... — panna Clarkson uśmiechnęła się z wyższością. — Nie mogę powiedzieć, bym interesowała się specjalnie owadami. Lecz Foster istotnie zdaje się wiedzieć o nich wszystko.

Valancy również nie była pewna, czy fascynują ją owady. Nie tyle urzekła ją rozległa wiedza Fostera o świecie dzikiej przyrody, ile to coś, co z trudem mogła określić. Jakiś znak nigdy nie rozwiązanej zagadki, jakaś aluzja do znajdującej się obok tajemnicy, jakieś słabe, trudno uchwytnie echa pięknych i zapomnianych rzeczy. Magię, jaką kryły w sobie książki Fostera, trudno było sprecyzować.

A więc tak, przyniesie sobie dzisiaj nowego Fostera. Już miesiąc minął odkąd przeczytała *Leśne żniwa*, toteż matka nie będzie się mogła sprzeciwić. *Żniwa* Valancy przeczytała cztery razy i wiele stron znała na pamięć.

Postanowiła też pójść do doktora Trenta w sprawie tych dziwnych bólów serca. Ostatnio występowały coraz częściej i zaczynały być niepokojąco dokuczliwe. Poza tym miewała od czasu do czasu zawroty głowy i trudności z oddychaniem. Czy aby powinna iść, nie mówiąc o tym nikomu? Decyzja była bardzo śmiała, bo Stirlingowie nie udawali się do lekarza bez uprzedniej narady w gronie rodziny i uzyskania aprobaty stryja Jamesa. Potem dopiero szło się do doktora Ambrose'a Marsha z Port Lawrence, żonatego z cioteczną kuzynką Adelajdą Stirling.

Valancy nie lubiła doktora Marsha, a poza tym nie mogła wędrować pieszo piętnaście mil do Port Lawrence. Nie chciała również, by ktokolwiek wiedział o jej kłopotach ze zdrowiem. Zaraz nastąpiłoby wielkie zamieszanie. Każdy z członków rodziny przychodziłby udzielać jej rad, ostrzegać i opowiadać okropne historie o jakichś dalekich — dalekich ciotkach i kuzynkach, które „też tak się czuły” i niespodziewanie umierały.

Ciotka Isabel przypominałaby sobie, że zawsze uważała Doss za osobę chorowitą — „taka jest skrzywiona i wątła”, a stryj Wellington uznałby jej dolegliwość za osobistą zniewagę, „bo dotąd nikt ze Stirlingów nie chorował na serce”. Zaś kuzynka Georgiana przepowiadałaby dramatycznym i głośnym szeptem, że „biedna mała Doss już długo nie pobędzie między nami”. No a Olivia... cóż, Olivia wyglądałaby jeszcze piękniej i nieprzyzwoicie zdrowo, jakby mówiąc swą wspaniałą postacią: „Dlaczego robicie tyle szumu wokół tej przywiędłej i zbędnej Doss, jeśli macie mnie?”

Dlatego Valancy nie zamierzała informować nikogo o chorobie, chyba że będzie musiała. Zresztą była przekonana, że to nic poważnego i nie należy wywoływać zbędnego zamętu. Po prostu wymknie się z domu któregoś dnia i pójdzie do doktora Trenta. Jeśli zaś chodzi o honorarium za wizytę, to miała przecież w banku 200 dolarów złożone przez ojca w dniu jej urodzin. Weźmie potajemnie odpowiednią sumę. Potajemnie, bo nie wolno jej było wyjmować nawet procentów.

Doktor Trent był szorstkim, szczerym i roztargnionym starszym panem. Choć praktykował jako lekarz ogólny w takim prowincjonalnym Deerwood, uważano go za autorytet w sprawach chorób serca. Przekroczył siedemdziesiątkę i krążyły słuchy, że wybiera się na zasłużony odpoczynek. Nikt ze Stirlingów nie leczył się u niego od chwili, gdy dziesięć lat temu powiedział kuzynce Gladys, iż wymyśliła sobie zapalenie nerwu i dobrze się tym bawi. Nie można przecież chodzić do lekarza, który znieważył kuzynkę, nawet daleką; nie wspominając już o tym, że był prezbiterianinem, a wszyscy Stirlingowie należą do kościoła anglikańskiego. Jednak Valancy postawiona przed wyborem między grzechem niełojalności wobec klanu i groźbą dobrych rad oraz ogólnego zamieszania, zdecydowała się na grzech.

\* \* \*

Kiedy kuzynka Stickles zapukała do drzwi, Valancy wiedziała, że jest wpół do ósmej i musi wstać. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze budzono ją o tej porze. Kuzynka Stickles i pani Fryderykowa Stirling były na nogach już od siódmej. Valancy jednak otrzymywała dodatkowe pół godziny ze względu na utrwalone w rodzinie przekonanie o jej delikatności. Teraz więc wstała, choć zrobiła to z niechęcią większą niż kiedykolwiek. No bo właściwie po co miała wstawać? Czekał ją kolejny ponury dzień — pełen bezsensownych zajęć, przykrych i nudnych, które nikomu nic nie dawały. Nie mogła jednak spóźnić się na śniadanie. W domu pani Stirling obowiązywały stałe pory posiłków. Śniadanie o ósmej, obiad o pierwszej i kolacja o szóstej — i tak rok w rok. Spóźnień i usprawiedliwień nie tolerowano. Drżąca z zimna Valancy zaczęła się ubierać.

W pokoju panował przenikliwy chłód deszczowego, majowego poranka. Dom zresztą będzie zimny przez cały dzień, bo zgodnie z zasadami pani Stirling, po dwudziestym czwartym maja nie rozpała się w domu ognia. Od tego dnia posiłki przygotowywano na małym olejowym piecyku. Maj mógł być lodowaty, a październik z przymrozkami, lecz to nie miało żadnego znaczenia. Od dwudziestego pierwszego października pani Stirling zaczynała gotować na kuchennej płycie i wieczorem rozpałała ogień w bawialni. W związku z tym szeptano, że nieboszczyk Fryderyk Stirling nabawił się przeziębienia, które doprowadziło do jego śmierci, gdy Valancy miała rok, ponieważ jego żona nie rozpałała ognia dwudziestego października. Zrobiła to następnego dnia, ale dla Fryderyka było to o dzień za późno.

Valancy zdjęła i powiesiła w szafie nocną koszulę uszytą z szorstkiego niebieskiego płótna. Założyła dzienną bieliznę z podobnego materiału; suknię z brązowego prążkowanego płócienka, grube czarne pończochy i buciki na gumowych podszewkach. Ostatnio czesała się przy okiennej szybie, bo wtedy zmarszczki na twarzy były mniej widoczne. Tego ranka jednak stanęła przed lustrem, zdecydowana zobaczyć się taką, jaką widzą ją ludzie. Wrażenie, jakiego doznała, nie było przyjemne. Ujrzała proste, czarne włosy, zawsze przy tym matowe, choć szczotkowała je co wieczór sto razy i niezmiennie nacierała cudownym płynem „Vigor” firmy Redfern; gęste, czarne brwi; nos, który zawsze uważała za zbyt mały nawet przy drobnej trójkątnej twarzy; małe, lekko rozchylone usta ukazujące białe zęby; chudą i pozbawioną biustu figurę, raczej mniej niż średniego wzrostu. Udało się jej uniknąć rodzinnych wydatnych kości policzkowych, za to oczy — ciemnobrązowe, zbyt łagodne by mogły być czarne — miały skośny, wyraźnie wschodni układ. Poza oczami wszystko w niej

było ani ładne ani brzydkie, po prostu nijakie — podsumowała z goryczą. Jakże widoczne w tym bezlitosnym świetle były bruzdy wokół oczu i ust! I nigdy jej drobna, blada twarz nie wyglądała gorzej niż w tej chwili.

Uczesała włosy w wałek dookoła głowy. Fryzura taka modna była wtedy, gdy Valancy zaczęła upinać włosy do góry. Wówczas to ciotka Wellington zdecydowała, że tak powinna czesać się zawsze. — Masz taką małą twarz, że musisz ją trochę powiększyć — zawyrokowała ciotka, która zawsze wypowiadała banały tak, jakby głosiła prawdy ostateczne.

Valancy miała chęć opuścić włosy na czoło i uszy jak Olivia, lecz nakaz ciotki wywarł na niej zbyt silne wrażenie i nie śmiała zmienić fryzury. Nie była to zresztą jedyna rzecz, której nie odważyła się zrobić. — Całe życie czegoś się bałam — pomyślała z goryczą. Jednym z pierwszych wspomnień był strach przed wielkim czarnym niedźwiedziem, który — jak mówiła kuzynka Stickles — mieszkał w komórce pod schodami.

— I zawsze taka będę, wiem o tym i nic na to nie poradzę. Nie wyobrażam sobie życia bez lęku — dodała w myśli.

Obawiała się napadów złego humoru matki, pogardliwych uwag ciotki Wellington, bała się urazić stryja Beniamina, dezaprobaty stryja Jamesa, bała się biedy na starość. Strach, strach, strach — nie potrafi go uniknąć. Otaczał ją i spowijał niby stalowa pajęczyna. Tylko w Błękitnym Zamku znajdowała chwilowe wytchnienie. Tego ranka jednak zwątpiła w jego istnienie. Dwadzieścia dziewięć lat, niezamężna, nie chciana — co miała wspólnego z bajkową panią Błękitnego Zamku? Musi usunąć z życia wszystkie dziecinady i spojrzeć prawdzie w oczy.

Odwróciła się od lustra i wyjrzała oknem. Brzydotę widoku odczuła jak uderzenie: wykrzywiony płot, przycupnięty na sąsiedniej posesji stary budynek sklepu z powozami, oklejony prymitywnymi i jadowicie kolorowymi afiszami, posępna stacja kolejowa w oddali. W ulewnym deszczu wyglądało to jeszcze gorzej niż zwykle, zwłaszcza te koszmarnie reklamy: „Zachowaj dziewczęcą cerę!” Wokół nie było krzty piękna. — Zupełnie jak w moim życiu — pomyślała przygnębiona. Chwila rozgoryczenia minęła i zaakceptowała swój los ze zwykłą rezygnacją. Należała do osób omijanych przez życie i nic na to nie mogła poradzić.

W takim stanie ducha Valancy zeszła na śniadanie...

\* \* \*

Śniadanie zawsze było takie samo. Owsianka, której nie cierpiała, grzanka, herbata i jedna łyżeczka marmolady. Dwie łyżeczki pani Stirling uważała za ekstrawagancję, ale dla Valancy nie miało to znaczenia, bo marmolady też nie znosiła. Zimna i posępna, niewielka jadalnia wydała się jeszcze posępniejsza niż zazwyczaj. Deszcz uderzał o szyby; zmarli Stirlingowie spoglądali niechętnie ze ścian. I mimo wszystko kuzynka Stickles złożyła Valancy życzenia urodzinowe!

— Siedź prosto, Doss! — tylko tyle powiedziała matka.

Valancy wyprostowała się. Rozmawiała z matką i kuzynką o codziennych zwykłych sprawach. Nigdy nie zastanawiała się, co by się stało, gdyby zaczęła mówić o czymś innym. Wiedziała. Dlatego też nie próbowała.

Pani Fryderykowa obraziła się na Opatrzność za deszczowy dzień, gdyż chciała pójść na piknik. Toteż jadła śniadanie w posępnym milczeniu, za które Valancy była szczerze wdzięczna. Jednakże Christine Stickles narzekała jak zawsze na wszystko: pogodę, ceny owsianki i masła — Valancy natychmiast pojęła, że za grubo posmarowała grzanekę — i epidemię świnki w Deerwood.

— Doss niewątpliwie się zarazi — przepowiedziała.

— Doss nie pójdzie tam, gdzie mogłaby się zarazić — krótko i stanowczo oświadczyła pani Stirling.

Valancy nigdy nie chorowała na świnkę ani na koklusz, wietrzną ospę, odrę, ani na nic na co chorować powinna. Na nic oprócz okropnych zimowych przeziębień. Te zimowe przeziębienia były czymś w rodzaju rodzinnej tradycji. Zdawało się, że nic nie jest w stanie im zapobiec, choć pani Fryderykowa i kuzynka Stickles czyniły w tym kierunku heroiczne wysiłki. Jednej zimy trzymały Valancy od listopada do maja w ciepłej bawialni. Nawet zabroniły jej chodzić do kościoła. I mimo to Valancy nie uniknęła przeziębień, zakończonych w czerwcu bronchitem.

— Nikt w mojej rodzinie nie miał takiej skłonności — twierdziła pani Fryderykowa dając do zrozumienia, że musi to być wada Stirlingów.

— Stirlingowie rzadko się przeziębają — odparowała kuzynka Stickles. Ona była z domu Stirling.

— Myślę, że jeśli ktoś postanowi nie przeziębować się, to się nie przeziębą — oświadczyła pani Stirling.

To ostatecznie wyjaśniało sprawę: chorobom winna jest sama Valancy.

Jednak tego konkretnego poranka Valancy najbardziej doskwierało to, że nazywano ją Doss. Znosiła to zdrobnienie przez dwadzieścia dziewięć lat i nagle spostrzegła, iż nie ścierpi go ani chwili dłużej. Jej pełne imię brzmiało Valancy Jane, co było raczej dziwaczne, ale samo Valancy lubiła. Zawsze też dziwiła się, dlaczego Stirlingowie zgodzili się na nie. Ktoś powiedział, że wybrał je dziadek ze strony matki, stary Amos Wansbarra. Ojciec dodał Jane, aby je jakoś ucywilizować, a reszta rodziny wybrnęła z kłopotu nadając to idiotyczne przydomko Doss. Imienia Valancy używali tylko obcy.

— Mamo — poprosiła nieśmiało — czy mogłabyś od dziś mówić do mnie Valancy. Doss brzmi tak... tak... nie podoba mi się.

Pani Fryderykowa spojrzała na córkę zdziwiona. Nosiła okulary o bardzo silnych szklach, a przez to oczy nabierały wyjątkowo nieprzyjemnego wyrazu.

— A co ci się nie podoba w Doss?

— Wydaje mi się takie... dziecinne — wyjąkała Valancy.

— Och! — pani Fryderykowa była z domu Wansbarra, a uśmiech Wansbarrów nie był atrakcyjny. — Rozumiem. Ale to właśnie odpowiednie dla ciebie. Jesteś bardzo dziecinna pod każdym względem, moje dziecko.

Mam dwadzieścia dziewięć lat — powiedziało dziecko z desperacją.

Na twoim miejscu nie ogłaszałabym tego zbyt głośno — odparła pani Fryderykowa. — Dwadzieścia dziewięć! Ja w tym wieku byłam od dziewięciu lat mężatką!

— Ja wyszłam za mąż mając siedemnaście lat — wtrąciła z dumą kuzynka Stickles.

Valancy popatrzyła na nie ukradkiem. Matka, jeśli odrzucić te okropne okulary i zakrzywiony nos, który upodabniał ją do papugi, nie była brzydka. W wieku lat dwudziestu mogła nawet ładnie wyglądać. Lecz kuzynka Stickles! A przecież i ona w oczach jakiegoś mężczyzny okazała się godna pożądania. Valancy poczuła, że kuzynka z jej szeroką, płaską i pomarszczoną twarzą, z brodawką na czubku nosa, sterczącymi na podbródku włosami, żółtą zwiędłą szyją, zblakłymi wylupiastymi oczami i wąskimi ściągniętymi ustami, ma jednak nad nią przewagę. Nawet teraz kuzynka Stickles była niezbędna dla pani Fryderykowej.

Jej nie potrzebował nikt na świecie. Nikt nie tęskniłby za nią, gdyby nagle przestała istnieć. Rozczarowała matkę i nie czuła się kochana. Nigdy nie miała przyjaciółki...

— Doss, nie zjadłaś okruchów — zwróciła uwagę matka.

Przez całe popołudnie padało bez ustanku. Valancy zszywała kapę ze ścinków. Nienawidziła tego zajęcia. Poza tym było zbędne, bo dom zapełniały stopy kap. Na strychu stały trzy kufry wypchane kapami ze skrawków. Pani Fryderykowa gromadziła je wytrwale, odkąd Valancy skończyła siedemnaście lat, choć nie zanosilo się, by kiedykolwiek znalazły



zastosowanie. Valancy szła jednak dalej, bo należało mieć jakieś zajęcie, a rzeczy gotowe są bardzo drogie. Zresztą bezczynność w domu Stirlingów uważano za jeden z grzechów głównych. Kiedy Valancy była dzieckiem, kazano jej zapisywać w czarnym nienawistnym zeszytku wszystkie minuty, które danego dnia spędziła bez zajęcia. W niedzielę matka je podliczała i kazała modlić się o przebaczenie.

Tego decydującego o jej przyszłości przedpołudnia, Valancy spędziła beczynnie dziesięć minut. W każdym razie beczynnością nazwałyby to pani Stirling i kuzynka Stickles. Poszła do swego pokoju po lepszy naparstek i na oślep otworzyła *Leśne żniwa*.

„Lasy są jak ludzie — pisał John Foster — i aby je poznać, należy z nimi współżyć. Z przypadkowych spacerów, gdy trzymamy się dobrze udeptanych ścieżek, nie narodzi się nigdy bliskość. Jeśli chcemy się zaprzyjaźnić z lasem, musimy składać mu częste i pełne szacunku wizyty o różnych porach: o poranku, w południe i wieczorem; wiosną, latem, jesienią i zimą. W innym razie nie poznamy go jak należy, a wszelkie próby udawania nie zrobią na nim wrażenia. Las ma swoje sposoby trzymania obcych na dystans i zamyka serce przed zwykłymi spacerowiczami. Nie ma sensu szukać więzi z lasem z innych pobudek niż szczerą miłość. Las to rozpozna i skryje przed nami wszystkie sekrety. Jeśli okazemy mu uczucie, będzie życzliwy i obdarzy takimi skarbami piękna i radości, takich nie da się kupić ani sprzedać na żadnym targowisku”.

— Doss! — zawołała z dołu matka. — Co robisz sama tak długo?

Valancy upuściła książkę jak rozpalony węgiel i pomknęła z powrotem do szycia kapy. Czowała jednak w sobie ten spokój ducha, jaki zawsze ją ogarniał, gdy zagłębiała się w książki Johna Fostera. Niewiele wiedziała o lasach, ale zawsze za nimi tęskniła i ta książka zastąpiła jej prawdziwy las.

W południe deszcz ustał, ale słońce pojawiło się dopiero o trzeciej. Wtedy Valancy powiedziała niepewnym głosem, że wybiera się do miasta.

— A po co? — spytała matka.

— Po nową książkę z wypożyczalni.

— Ależ brałaś książkę w zeszłym tygodniu.

— Nie, przed czterema tygodniami.

— Czterema tygodniami? Bzdura!

— Naprawdę, mamo.

— Mylisz się. Niemożliwe, najwyżej dwa tygodnie temu. Nie znoszę sprzeciwu. Nie wiem też po co ci książka. Marnujesz za dużo czasu na czytanie.

— Jaką wartość ma mój czas! — zawołała rozgoryczona Valancy.

— Doss! Nie mów do mnie takim tonem.

— Potrzebujemy trochę herbaty — wtrąciła kuzynka Stickles. — Jeśli już koniecznie chce się przejść, to niech przy okazji zrobi zakupy, chociaż przy tej wilgotnej pogodzie może się przeziębic.

Rozwahały tę kwestię przez następne dziesięć minut i w końcu pani Fryderykowa dość niechętnie pozwoliła córce wyjść.

— Nałożyłaś kalosze? — zawołała kuzynka Stickles, kiedy Valancy stanęła w drzwiach. Nigdy nie zapominała zadać tego pytania, gdy Valancy wychodziła na ulicę w słotną pogodę.

— Tak.

— Masz na sobie flanelową halkę? — spytała pani Fryderykowa.

— Nie.

— Doss, naprawdę cię nie rozumiem. Czy chcesz umrzeć z przeziębienia? — Ton głosu pozwalał przypuszczać, że coś takiego zdarzyło się przynajmniej kilka razy. — Idź na górę i natychmiast załóż halkę!

— Mamo, nie potrzebuję flanelowej halki. Satynowa jest wystarczająco ciepła.

— Doss, przypomnij sobie ten bronchit sprzed dwóch lat. Idź i zrób co każe!,

Valancy weszła na górę, choć jeden Bóg wiedział, jak bliska była w tym momencie wyrzucenia przez okno doniczki z pelargonią. Z całej duszy nienawidziła flanelowej halki. Olivia nigdy czegoś takiego nie nosiła. Ubierała się w falbaniaste jedwabie i cieniutkie batysty bogato zdobione koronką. Ale ojciec Olivii „ożenił się z pieniędzmi” i ona nigdy nie chorowała na bronchit. W tym cały szkopał.

— Nie zostawiłaś mydła w wodzie? — dopytywała się pani Fryderykowa, lecz Valancy już wyszła.

Skreśliła za róg i spojrzała za siebie na paskudną ale szacowną ulicę, przy której mieszkała. Dom Stirlingów — najbrzydszy ze wszystkich — przypominał czerwoną ceglana skrzynię. Zbyt wysoki w stosunku do szerokości, wydawał się jeszcze wyższy z powodu beczkowatej kopuły na dachu. Otaczała go atmosfera smętnego, jałowego spokoju, charakterystyczna dla starego domu, który jest już martwy.

Tuż za rogiem stał bardzo ładny budynek o szerokich oknach i zgrabnych facjatkach. Był zupełnie nowy, jeden z tych, które się kocha od pierwszego wejrzenia. Zbudował go dla przyszłej żony Clayton Markley. Jego ślub z Jenny Lloyd wyznaczono na czerwiec. Mówiono, że domek oczekuje przybycia swej pani, umeblowany od strychu po piwnice.

— Nie zazdroszczę Jenny męża — pomyślała Valancy, gdyż Clayton nie był podobny do żadnego z jej ideałów — ale zazdroszczę jej tego domu. Och, gdybym miała własny dom — mały, ubogi, lecz mój własny! Ale cóż — dodała gorzko. — Nie ma co sięgać po księżyc, kiedy się nie ma nawet łojowej świecy.

W marzeniach Valancy stworzyła sobie zamek z szafirów, lecz w prawdziwym życiu zadowoliliby się zupełnie małym domkiem. Dzisiaj też rozżaliła się bardziej niż kiedykolwiek. Jenny nie była dużo ładniejsza ani dużo młodsza od niej, a jednak to ona będzie panią w tym uroczym domku. Dlaczego jedne dziewczęta dostają wszystko, a inne nic? To niesprawiedliwe.

Podążała drogą przepelniona goryczą i buntem. Skromną, niezgrabną postać w zniszczonym deszczowcu i kupionym przed trzema laty kapeluszu od czasu do czasu ochlapływały przejeżdżające samochody. W Deerwood stanowiły one wciąż jeszcze nowość, choć w Port Lawrence już spowszedniały. Jeździła nimi również większość letników w pobliskiej miejscowości Muskoka. W Deerwood mieli je tylko najbardziej wytworni, bo trzeba przyznać, że nawet Deerwood dzieliło się na społeczności. Byli więc wytworni, intelektualiści, stare rodziny (do takiej należeli Stirlingowie), zwykli śmiertelnicy i kilkoro pariasów. Nikt ze Stirlingów j nie zniżył się do kupienia samochodu, choć Olivia gorąco namawiała do tego swego ojca. Valancy nigdy jeszcze nie jechała autem, ale wcale tego nie pragnęła. Prawdę mówiąc, bała się samochodów, zwłaszcza wieczorem. Przypominały jej wielkie, pomrukujące zwierzęta, gotowe każdej chwili zmiażdżyć cię lub wykonać jakiś szalony skok. Ścieżkami wijącymi się po stromych zboczach góry, na której stał Błękitny Zamek, stapały tylko piękne wierzchowce. W realnym życiu zadowoliliby się dwukółką z łagodnym konikiem. Tylko raz zdarzyła się jej przejażdżka z jakimś kuzynem czy wujem, który postanowił zrobić wspaniałomyślny gest wobec niepozornej krewniaczki.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Herbatę naturalnie musi nabyć w sklepie stryja Beniamina. Nie do pomyślenia było, aby kupiła gdzie indziej. Valancy niechętnie myślała o wejściu do sklepu w swoje dwudzieste dziewiąte urodziny. Nie miała nadziei, by stryj o nich zapomniał.

— Dlaczego — spytał z wymownym uśmiechem — młode panny nie dają sobie rady z gramatyką?

Valancy pamiętając o testamencie, odparła potulnie: — Nie wiem.

— A dlatego, że chcą odmieniać wyłącznie rzeczownik małżeństwo — zachichotał stryj.

Dwaj sprzedawcy, Joe Hammond i Claude Bertram uśmiechnęli się drwiąco i Valancy poczuła, że nie cierpi ich bardziej niż dotąd.

Kiedy Claude Bertram zobaczył ją pierwszy raz w sklepie, usłyszała, jak szepnął do Joego: — Kto to jest? — A Joe odpowiedział: — Valancy Stirling, jedna z miejscowych starych panien. — Do uratowania, czy nie? — spytał Claude i wymownie zachichotał, uważając pytanie za wielce dowcipne. Teraz Valancy przypomniła to sobie i poczuła taką samą przykrość.

— Dwadzieścia dziewięć lat — mówił stryj Benjamin. — Doss, na Boga, jesteś niebezpiecznie blisko drugiego zakrętu i nawet nie myślisz o małżeństwie. Dwadzieścia dziewięć, to wprost niemożliwe. — I w tej chwili rzucił oryginalną uwagę. — Ach, jak ten czas leci.

— Dla mnie raczej pełnie — odparła z pasją Valancy. Pasja była czymś zupełnie obcym stryjowi, dlatego nie wiedział, co odpowiedzieć. Chcąc ukryć zmieszanie, zapakował fasolę — kuzynka Stickle w ostatniej chwili przypomniła o niej, fasola jest tania i pożywna — i zadał jeszcze jedną ze swych niezliczonych zagadek. — W czym pannie najbardziej do twarzy? — Sam też natychmiast odpowiedział: — W małżeństwie.

Valancy nie wytrzymała i rzuciła: — Za te stare dowcipy ktoś zrobi kiedyś stryjowi krzywdę. — Po czym szybko wyszła ze sklepu.

Benjamin Stirling powiódł zdumionym spojrzeniem w ślad za nią, a później pokiwał głową i powiedział: — Biedna Doss ciężko to przeżywa.

Valancy zaś, nim doszła do następnego skrzyżowania, zaczęła żałować swej gwałtowności. Dlaczego tak się zniecierpliwiła? Stryjowi będzie przykro i powie matce, że mała Doss jest impertynentką, a matka przynajmniej przez tydzień nie przestanie prawić morałów.

— Dwadzieścia lat trzymałam język za zębami — pomyślała. — Mogłam więc powstrzymać go jeszcze raz!

Tak, minęło już dwadzieścia lat, odkąd po raz pierwszy wytknięto jej brak adoratora. Dokładnie pamięta tę niezwykle przykrą chwilę. Miała dziewięć lat i stała samotnie na szkolnym boisku. Inne dziewczynki z jej klasy bawiły się w grę, w której mogły uczestniczyć tylko te, które chłopcy wybrali za partnerki. Nikt nie chciał Valancy — małej, bladej i czarnowłosej, o lekko skośnych oczach, ubranej w skromny fartuszek.

— Och! — powiedziała do niej jakaś ładna dziewczynka — tak mi przykro, że nie masz wielbiciela.

Valancy odparła wyniośle i robiła to przez następne dwadzieścia lat: — Nie potrzebuję wielbiciela! — Dzisiejszego popołudnia pierwszy raz nie powtórzyła tych słów.

— Muszę być uczciwa wobec siebie — pomyślała. — Zagadki i dowcipy stryja Beniamina są przykre, bo mówią prawdę. Chcę być mężatką. Chcę mieć dom, męża i słodkie, tłusciutki dzieci... — Tu nagle zaskoczyła ją własna lekkomyślność. Miała wrażenie, że przechodzący mimo doktor Stalling, przejrzał jej myśli i udzielił nagany. Valancy bała się pastora Stallinga od pewnej niedzieli przed dwudziestoma trzema laty, gdy pojawił się tu pierwszy raz. Spóźniła się wtedy do szkółki niedzielnej i poszła wprost do kościoła, gdzie usiadła w

rodzinnej ławce. Nowy pastor stał przed drzwiami prowadzącymi na chór. Skinął na nią i powiedział surowo. — Chodź no tutaj chłopczyku.

Valancy rozejrzała się dokoła, ale nigdzie nie było żadnego chłopca. Ten obcy mężczyzna w niebieskich okularach nie myślał chyba o niej?

— Chłopczyku — powtórzył pastor Stalling jeszcze surowiej i wskazał na nią palcem. — Podejdź tu natychmiast!

Valancy wstała jak zahipnotyzowana, po czym ruszyła wzdłuż przejścia. Zbyt się przestraszyła, aby zrobić co innego. Jakaż okropna przygoda! Czy naprawdę zamieniła się w chłopca? Podeszła bliżej i stanęła przed pastorem. Ten zaś pokiwał palcem, długim i kościstym, po czym polecił: — Zdejmij kapelusz, chłopczyku.

Valancy zdjęła kapelusz. Z tyłu głowy zwisał cieniutki warkoczek, ale doktor Stalling go nie zauważył — był krótkowidzem.

— Chłopcze, wróć na swoje miejsce i zawsze zdejmuj nakrycie głowy w kościele. Pamiętaj!

Valancy wróciła do ławki jak automat, trzymając kapelusz w ręku. Niebawem zjawiała się matka. — Doss — spytała — dlaczego zdjęłaś kapelusz? Włóż go natychmiast z powrotem.

Valancy zrobiła jak kazano, lecz zlodowaciała ze strachu przed pastorem. Kościół był już pełen ludzi... Och, cóż pocnie, gdy ten straszliwy chudy palec znowu na nią wskaże? Podczas nabożeństwa siedziała jak na rozżarzonych węglach i później przez tydzień była chora. Pani Fryderykowa zaś narzekała na swoje delikatne dziecko.

Pastor Stalling odkrył pomyłkę i serdecznie się uśmieł w jej obecności. Inni zresztą też, tylko jej nie było do śmiechu. Od tamtej chwili nie zdołała opanować lęku przed pastorem. No, a teraz dała się przyłapać na nagannych myślach.

W bibliotece dostała nową książkę Johna Fostera *Czarodziejskie skrzydła*. — To jego ostatnia książka, o ptakach — poinformowała panna Clarkson.

Valancy prawie zdecydowała, że nie pójdzie do doktora Trenta. Straciła całą odwagę. Bała się urazić stryja Jamesa, rozgniewać matkę i spotkać szorstkiego, posępnego, starego doktora. Pewnie powie jej tak jak kuzynce Gladys, że wymyśliła sobie kłopoty dlatego, bo je lubi. Nie, chyba nie pójdzie. Zamiast tego kupi Czerwone Pigułki Redferna. Były uznanym lekiem w klanie Stirlingów. Czyż nie wyleczyły kuzynki Geraldiny, gdy pięciu lekarzy opuściło ręce? Valancy dotąd odnosiła się sceptycznie do zalet Czerwonych Pigulek, lecz może naprawdę coś w nich jest. Poza tym kupno pigulek było znacznie łatwiejsze niż spotkanie z doktorem Trentem. Rzuci jeszcze okiem na czasopisma w czytelni, a potem wróci do domu.

Spróbowała czytać jakieś opowiadanie, ale wprawiło ją we wściekłość. Na każdej stronie bohaterkę otaczał tłum wielbicieli. A tu siedziała ona, Valancy Stirling i nie miała nawet jednego adoratora! Z trzaskiem zamknęła pismo i otworzyła *Czarodziejskie skrzydła*. Zatrzymała wzrok na urywku, który odmienił jej życie.

— „Strach jest pierwotnym grzechem — pisał Foster. — Prawie całe zło świata wywodzi się z faktu, że ktoś się czegoś boi. Jest to śliski, zimny wąż, owijający się wokół ciebie. Życie w strachu jest okropnością, jest czymś wyjątkowo poniżającym.” — Valancy zamknęła książkę. Jednak pójdzie do doktora Trenta.

\* \* \*

Wizyta nie okazała się wcale straszna. Doktor był jak zwykle szorstki i niecierpliwy, ale nie powiedział, że wymyśliła sobie chorobę. Wysłuchał opisu objawów, zadał kilka pytań i szybko ją zbadał. Potem przez chwilę siedział zadumany. Valancy pomyślała, że pewnie jej współczuje i na moment wstrzymała oddech. Niemożliwe by dolegało jej coś poważnego, przecież nie cierpiała aż tak bardzo. Dopiero ostatnio ból stał się uciążliwy...

Doktor otworzył usta, lecz zanim zdążył przemówić, zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i Valancy zobaczyła, jak w jednej chwili zmieniała mu się twarz.

— Och! Tak, tak... co? Tak... tak... — i po krótkiej przerwie — mój Boże! — Upuścił telefon i wybiegł z pokoju. Na Valancy nawet nie spojrzął. Słyszała tylko, jak porusza się hałaśliwie na górze, rzucając komuś, przypuszczalnie gosposi, jakieś polecenia. Po chwili zbiegł pędem ze schodów, trzymając w ręku neseser. Zerwał z wieszaka płaszcz i kapelusz, szarpnął drzwi i pobiegł ulicą w kierunku dworca.

Valancy została w gabinecie, czując się niewypowiedzianie głupio. Oto na co zdało się heroiczne postanowienie życia według zasad Johna Fostera. Nie tylko była zbędna jako członek rodziny, nie istniała jako przyjaciel czy ukochana, ale nic nie znaczyła nawet jako pacjentka. Lekarz zapomniał o jej obecności poruszony rozmową telefoniczną. Nic nie zyskała ignorując stryja Jamesa i rzucając wyzwanie rodzinnemu klanowi.

Przez chwilę obawiała się, że nie powstrzyma łez. Wszystko to było takie... upokarzające, a potem usłyszała kroki gosposi na schodach. Wstała i podeszła do drzwi gabinetu. — Doktor zapomniał o mnie — poskarżyła się ze sztucznym uśmiechem.

— O, to przykre — powiedziała współczująco pani Patterson. Ale nie należy mu się dziwić, biedakowi. Przekazano mu telegram z Port Lawrence. Jego syn został ciężko ranny w wypadku samochodowym w Montrealu. Nie mam pojęcia, co pocnie, jeśli coś naprawdę złego stanie się Nedowi — świata poza nim nie widzi. Będzie pani musiała przyjść jeszcze raz, panno Stirling. Mam nadzieję, że to nic groźnego.

— O, nie, nic poważnego — przyznała Valancy. Teraz poczuła się trochę lepiej. Cóż dziwnego, że biedny doktor zapomniał o niej w takiej chwili. Mimo to przygnębienie nie opuszczało jej przez dłuższy czas.

Wracała do domu na skróty, Aleją Zakochanych. Nie chodziła tędy często, lecz zbliżała się pora kolacji i za nic nie chciała się spóźnić. Aleja wiła się obrzeżem miasteczka wśród wysokich klonów i wiązów i zasługiwała na swoją nazwę. O każdej porze można było natknąć się na jakąś wędrującą parkę lub grupki dziewcząt zwierających sobie sekrety. Valancy nie wiedziała, który z tych widoków wprawiał ją w większe zakłopotanie.

Tego wieczoru spotkała pary i grupy dziewcząt. Zobaczyła Connie Hale i Kate Bayley w nowych sukienkach z organdy, z kwiatami kokieteryjnie wpiętymi w lśniące włosy. Sama nigdy nie miała różowej sukienki i nie wpinała we włosy kwiatów. Potem minęła nieznaną, wpatrzoną w siebie parę. Młody człowiek bez skrępowania obejmował kibić dziewczyny. Valancy nigdy w życiu nie szła otoczona męskim ramieniem. Wiedziała, że powinno ją ogarnąć święte oburzenie, bo właściwie mógł z tym zaczekać do zmierzchu, ale nic podobnego nie czuła. Z bolesną szczerością przyznała się samej sobie, że im po prostu zazdrości. Mijając ich, była przekonana, że śmieją się z niej i mówią z politowaniem: — To ta cudaczna, stara panna Valancy Stirling. Nigdy w życiu nie miała adoratora. — Resztę drogi Valancy przebyła biegiem. Dotąd nie czuła się tak bezgranicznie bezbarwna, chuda i pospolita.

Tam, gdzie Aleja Zakochanych łączyła się z ulicą, stał odrapany samochód. Znała go dobrze, chociażby z odgłosów jakie wydawał. Znał go zresztą chyba każdy w Deerwood. Działo się to jeszcze w czasach, zanim weszło w obieg wyrażenie „blaszana Lizzie”. Jeśli nawet byłoby znane, to mimo wszystko ten samochód byłby najbardziej hałaśliwą blaszanką na świecie. Wprost trudno sobie wyobrazić coś tak rozklekotanego i budzącego podejrzliwość.

Należał do Barneya Snaitha i on sam właśnie wynurzał się spod niego w zabłoconym kombinezonie. Mijając go, Valancy rzuciła szybkie i ukradkowe spojrzenie. Dopiero drugi raz miała okazję zobaczyć osławionego Barneya Snaitha, choć słyszała o nim sporo przez ostatnie pięć lat, odkąd zamieszkał gdzieś tam przy drodze do Muskoka. Pierwszy raz widziała go prawie rok temu. Też wygrzebywał się spod samochodu i gdy przechodziła, obdarzył ją

przyjaznym, nieco drwiącym uśmiechem, który nadał mu wygląd rozbawionego gнома. Nie wyglądał na typa spod ciemnej gwiazdy i nie wierzyła, by zrobił to wszystko, co o nim opowiadano. Oczywiście szalał tym swoim strasznym gruchotem po Deerwood w porze, gdy przyzwoici ludzie są w łózkach. Często nawet jeździł razem ze starym Ryczącym Ablem, wydającym dzikie okrzyki. — I do tego obaj pijaniutcy, moja droga — mawiały zacne matrony. Wszyscy naturalnie wiedzieli, że jest zbiegłym więźniem, defraudantem, ukrywającym się mordercą, bezbożnikiem, nieprawym synem Ryczącego Abła, ojcem jego nieślubnej wnuczki oraz kimś tam jeszcze. Lecz Valancy żywiła przekonanie, że zły człowiek nie miałby takiego uśmiechu.

To właśnie tej nocy w Błękitnym Zamku księcia o wydatnej szczęce i przedwcześnie posiwiałych skroniach zastąpił nieco arogancki mężczyzna z długimi rudawymi włosami, ciemnobrązowymi oczyma i lekko odstającymi uszami.

W tej chwili Barney Snaith wyglądał nieporządniej niż zwykle. Rzuciła się w oczy dawno nie golona twarz, a ręce obnażone do łokci pokrywał czarny smar. Mimo to pogwizdywał beztrosko i wydawał się szczęśliwy. Valancy pozazdrościła mu pogody ducha, braku poczucia odpowiedzialności, tajemniczej małej chatki na wysepce na jeziorze Mistawis, a nawet starego Grey Slossona. Ani Barney, ani jego wóz nie musieli liczyć się z ludzką opinią i żyć zgodnie z utartymi zwyczajami. Kiedy przemknął obok niej kilka minut później, rozparty wygodnie z wystającą z ust starą, czarną fajką, z rozwiewanymi wiatrem włosami, znowu poczuła przykrość. Mężczyznom dostają się smaczniejsze kąski w życiu, nie ulega wątpliwości. Ten wyrzutek, bez względu na to kim był, wyglądał na szczęśliwego. A ona, Valancy Stirling, z szacownej rodziny, doskonale ułożona, jest nieszczęśliwa. I nie ma na to rady.

Ledwie zdążyła na kolację. Słońce zasłoniły chmury i znowu zaczął padać drobny, gęsty deszcz. Kuzynka Stickles miała atak newralgii, a Valancy musiała zająć się cerowaniem, zabrakło więc czasu na *Czarodziejskie skrzydła*.

— Czy cerowanie nie może poczekać do jutra? — poprosiła.

— Jutro przyniesie nowe obowiązki — odparła nieugięta pani Fryderykowa.

Valancy cerowała cały wieczór, przysłuchując się, jak matka z kuzynką plotkowały o członkach klanu. Jednocześnie obie migały drutami, robiąc swoje odwieczne, czarne pończochy. Paplały o kuzynce Lilian i szczegółach zbliżającego się wesela. Ogólnie rzecz biorąc, wyrażały swą aprobatę; Lilian będzie dobrze urządzona.

— Trzeba przyznać, że się nie spieszyła — zauważyła kuzynka Stickles. — Ma już chyba dwadzieścia pięć lat.

— Na szczęście, z naszej strony nie ma zbyt wielu starych panien — zauważyła z goryczą pani Fryderykowa.

Valancy drgnęła. Ukłuła się w palec. Cioteczny kuzyn Aaron Gray został kiedyś podrapany przez kota i miał zakażenie krwi.

— Koty są ogromnie niebezpieczne — orzekła pani Fryderykowa. — Nigdy nie będę tolerować kota w domu. — Spojrzała przy tym wymownie na córkę.

Kiedyś, przed pięciu laty, Valancy spytała, czy mogłaby mieć kota. Od tamtej pory nie wspominała o tym, ale matka podejrzewała, że w głębi serca ukrywa niegodne pragnienie.

Po chwili Valancy kichnęła. Zgodnie z kodeksem zasad Stirlingów, kichanie w towarzystwie świadczyło o złych manierach.

— Zawsze można się powstrzymać, przyciskając palcem górną wargę — w głosie pani Stirling zabrzmiała nagana.

Wpół do dziesiątej — a więc — jakby to powiedział pan Samuel Pepys — pora do łóżka. Przedtem jednak trzeba natrzeć maścią Redferna obolałe plecy kuzynki Stickles. Zrobi to oczywiście, jak zawsze, Valancy. Nienawidziła zapachu maści; nienawidziła promiennego, pulchnego, zdobnego w bokobrody i okulary, widniejącego na słoiku oblicza doktora

Redferna. Wstrętny, obrzydliwy zapach maści przywarł na długo do palców mimo starannego szorowania.

Dzień życiowego przełomu nastał i minął. Skończyła go tak samo, jak zaczęła — we łzach.

\* \* \*

Na niewielkim trawniku przed domem Stirlingów, tuż przy furtce, rósł krzak róży. Nazywano go „krzakiem Doss”. Valancy otrzymała go przed pięciu laty od kuzynki Georgiany i posadziła z entuzjazmem. Bardzo lubiła róże. Ale, jak należało oczekiwać, krzak nigdy nie zakwitł. Valancy robiła, co mogła, korzystała z rozmaitych porad, lecz mimo to róża nie kwitła. Za to rozrosła się bujnie, a gałęzie nietknięte przez rdzę czy pająki były duże i zdrowe. Oglądając krzak dwa dni po urodzinach, Valancy poczuła, że ogarnia ją nienawiść. Jeśli to paskudztwo nie chce kwitnąć, to je zetnie i już. Zdecydowanie ruszyła do szopy z narzędziami po nożyce ogrodowe i z zaciętą pasją zajęła się krzakiem. Pani Fryderykowa wyszedłszy na werandę, stanęła zaskoczona niespodziewanym widokiem żałośnie ogołoczonego krzewu.

— Doss, co ty wyprawiasz? Czy zwariowałaś?

— Nie — odparła córka. Miała zamiar odpowiedzieć wyzywająco, ale przyzwyczajenie do posłuszeństwa było zbyt silne, wypadło więc to tylko nieśmiało. — Ja... ja... postanowiłam go ściąć. Nie ma z niego pożytku, dotąd nie zakwitł i już nie zakwitnie.

— Lecz to nie powód, żeby niszczyć taki piękny krzew — zaprotestowała matka. — Bardzo dekoracyjnie wyglądał na trawniku, a ty zrobiłaś z niego jakieś straszdyło.

— Róże powinny kwitnąć — powiedziała z uporem Valancy.

— Nie sprzeczasz się ze mną, Doss. Posprzątaj gałęzie i zostaw krzak w spokoju. Co powie Georgiana, gdy zobaczy, jak go pokiereszowałaś. I to bez mojej zgody!

— Krzak należy do mnie — bąknęła Valancy.

— Co takiego? Co powiedziałaś, Doss!

— Powiedziałam tylko, że krzak jest mój — powtórzyła pokornie Valancy.

Pani Fryderykowa odwróciła się i wkroczyła do domu bez słowa. Valancy wiedziała, że bardzo uraziła matkę i ta nie odezwie się i nie zauważy jej przez dwa lub trzy dni. Kuzynka Stickles będzie pleść co rano „wychowawcze” uwagi, ale matka zachowa kamienne milczenie i postawę znieważonej królowej.

Valancy westchnęła i zaniósła nożyce do szopy, zawieszając je na właściwym gwoździu. Zebrała gałęzie i zmiotła liście. Z trudem powstrzymywała uśmiech patrząc na ostrzyżony krzew, dziwnie bowiem przypominał małą, zasuszoną kuzynkę Georgianę.

— Rzeczywiście wygląda okropnie — pomyślała. Nie czuła żadnej skruchy, lecz żałowała, że uraziła matkę. Dopóki nie uzyska przebaczenia, atmosfera będzie dość nieprzyjemna. Pani Fryderykowa należała do osób, których gniew odczuwało się w całym domu. Nie chroniły przed nim ani ściany, ani drzwi.

— Idź lepiej do miasta i odbierz pocztę — poradziła kuzynka Stickles, gdy Valancy wróciła z ogrodu. — Ja sama nie mogę pójść, czuję się dziś nie najlepiej. Wstąp też do apteki i kup mi butelkę Gorzkiej Mikstury Redferna. Nic tak jak ona nie wzmacnia organizmu. James twierdzi, że najlepsze są Czerwone Pigułki, ale ja swoje wiem. Mój drogi mążonek zażywał Gorzką Miksturę aż do samej śmierci. I pamiętaj, nie płać więcej niż dziewięćdziesiąt centów. Tyle kosztuje w Port Lawrence. Co takiego powiedziałaś swej biednej matce? Czy nie pomyślałaś, że matkę ma się tylko jedną?

— Jedna najzupełniej mi wystarczy — pomyślała Valancy bez skruchy i wyszła do miasta.

Kupiła lekarstwo, a potem wstąpiła na pocztę. Nie spodziewała się nic więcej poza gazetą *Christian Times*, jedyną jaką prenumerowały. Listy otrzymywały bardzo rzadko, ale Valancy

lubiła przebywać na poczcie i przypatrywać się staremu, brodatemu panu Carewe wydającemu przesyłki tym wybrańcom, którzy je mieli szczęście otrzymać. Listy zawsze fascynowały Valancy, może dlatego, że tak rzadko je dostawała. W Błękitnym Zamku, różne przesłania przewiązane jedwabną szarfą, wręczali jej paziowie w złoto — błękitnych liberiach, ale w prawdziwym życiu jedyne listy jakie otrzymywała to okazjonalne wiadomości od krewnych, a czasem foldery reklamowe.

Toteż zdziwiła się, gdy pan Carewe, przypominający Jowisza bardziej niż zwykle, podał jej kopertę zaadresowaną wyraźnym pismem do „panny Valancy Stirling, Elm Street, Deerwood” i opieczętowaną w Montrealu. Valancy wzięła ją z przyśpieszonym biciem serca. Montreal! To musi być od doktora Trenta. A więc jednak pamiętał o niej! Przy wyjściu natknęła się na stryja Beniamina i odetchnęła z ulgą, że zdążyła schować list do torebki.

W domu ciotka rzuciła się na gazetę nie pytając, czy były jakieś listy. Matka na pewno by o to spytała, ale w tej chwili udawała obrażony majestat. Valancy była bardzo zadowolona. Na pytanie matki musiałyby odpowiedzieć prawdę, a potem pokazać list i wtedy wszystko wyszłoby na jaw.

Szła po schodach z bijącym sercem i zanim otworzyła kopertę, usiadła na chwilę przy oknie. Dotąd nie zataiła przed matką żadnego listu. Każdy czytany był przez panią Fryderykową.

Zresztą, to i tak nieistotne, bo cóż miała do ukrycia. Teraz sprawa przedstawiała się inaczej. Tego listu nikt nie mógł zobaczyć. Przy otwieraniu palce jej drżały w poczuciu winy, a pewnie trochę z obawy. Choć była zupełnie pewna, że jej dolegliwości nie są poważne, to jednak nigdy nic nie wiadomo...

List doktora Trenta był taki jak on sam: lakoniczny, szorstki i konkretny. Doktor nie owijał niczego w bawełnę. Teraz zawiadamiał ją, że cierpi na angina pectoris, bardzo poważną chorobę serca, skomplikowaną jeszcze przez aneuryzm. Choroba jest w ostatnim stadium rozwoju, stwierdzał otwarcie, i nie ma na to rady. Oszczędzając serce, przeżyje jeszcze rok, ale też może umrzeć w każdej chwili. Powinna unikać podniecenia i wszelkiego fizycznego wysiłku. Jeść i pić należy umiarkowanie, nie wolno biegać, jakikolwiek nieoczekiwany wstrząs spowoduje fatalny skutek. Musi kupić w aptece lek według załączonej recepty i zawsze nosić go przy sobie, zażywając określoną dawkę, gdy poczuje zbliżający się atak. Z wyrazami szacunku. Dr H.B. Trent.

Valancy siedziała przy oknie skamieniała. Na zewnątrz świat tonął w powodzi światła wiosennego popołudnia. Na stacji grupka młodych dziewcząt czekała na pociąg. Słyszała ich wesoły śmiech i dźwięczne głosy. Parowóz wtoczył się z hukiem i odjechał, ale żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia. Nic nie miało znaczenia oprócz faktu, że pozostał jej tylko rok życia.

Zmęczyło ją siedzenie przy oknie, więc wstała i położyła się na łóżku, patrząc na popękany, zaplamiony sufit. Ogarnęło ją dziwne odrętwienie następujące zazwyczaj po silnym psychicznym wstrząsie. Nie czuła nic poza bezgranicznym zaskoczeniem i niedowierzaniem, za którym jednak tkwiło przekonanie, że doktor Trent zna się na rzeczy i ona, Valancy Stirling, wkrótce umrze nie zaznawszy prawdziwego życia.

Kiedy zadźwięczał gong na kolację, podniosła się machinalnie i zeszła na dół kierowana wyłącznie siłą przyzwyczajenia. Dziwiła się, że pozostawiono ją tak długo samą. Ale oczywiście matka teraz demonstracyjnie nie zwraca na nią uwagi. Była z tego zadowolona i pomyślała, że sprzeczka, mówiąc stylem pani Fryderykowej, okazała się wręcz opatrnościowa. Nic nie jadła, lecz obie panie przekonane, że dręczą ją wyrzuty sumienia, nie komentowały tego faktu. Zmusiła się do wypicia filiżanki herbaty, a potem siedziała i patrzyła na obecnych z dziwnym uczuciem, że minęły całe lata, od kiedy ostatni raz siedziała z nimi za stołem. Uśmiechnęła się w głębi duszy na myśl, jakie mogła wywołać zamieszanie, gdyby



tylko pokazała im list od doktora. — Rozpętałiby takie piekło, jakby naprawdę im na mnie zależało — pomyślała z goryczą.

— Gospoia doktora Trenta otrzymała dziś od niego wiadomość — powiedziała tak nieoczekiwanie kuzynka Stickles, że Valancy aż podskoczyła. — Pani Judd spotkała ją w mieście. Jest nadzieja i może jego syn wyżyje, ale doktor napisał, że gdy tylko poczuje się on lepiej, natychmiast wyjadą za granicę i nie wrócą wcześniej niż za rok.

— Dla nas to nie ma znaczenia — oświadczyła majestatycznie pani Fryderykowa. — Nie jest naszym lekarzem i nie wezwałabym go nawet do chorego kota — dodała, wpatrując się przenikliwie i — jak sądziła — oskarżycielsko w córkę.

— Czy mogę pójść na górę i położyć się — zapytała słabym głosem Valancy. — Boli... mnie głowa.

— Od czego boli cię głowa? — wyręczyła milczącą matkę kuzynka Stickles. Pytanie było obowiązkowe. Valancy nie miała prawa samowolnie cierpieć. — Nigdy nie cierpiałaś z powodu głowy. Mam nadzieję, że to nie świnka. Masz, wypij łyżeczkę octu.

— Bzdury! — powiedziała niegrzecznie Valancy, wstając od stołu. Nic jej nie obchodziło, że zachowuje się arogancko. Była dość uprzejma przez całe życie.

Kuzynka Stickles zbladłaby, gdyby mogła, ale to nie było możliwe, więc po prostu zżółkła. — Na pewno nie masz gorączki, Doss? Zachowujesz się, jakbyś miała. Natychmiast połóż się do łóżka — poradziła bardzo zaniepokojona. — Zaraz do ciebie przyjdę i wysmaruję cię maścią Redferna.

Valancy już stała przy drzwiach, ale się odwróciła. — Nie pozwolę na żadne smarowanie maścią Redferna — stwierdziła.

Kuzynka Stickles na chwilę oniemiała, a potem wykrztusiła. — Co... coś ty powiedziała?

— Powiedziałam, że nie pozwolę się smarować maścią Redferna — powtórzyła Valancy. — Obrzydliwe, lepkie świństwo o wyjątkowo paskudnym zapachu. Poza tym nie pomaga. Chcę, żebyś zostawiła mnie w spokoju, to wszystko. — I wyszła z jadalni, pozostawiając kuzynkę Stickles w osłupieniu.

— Ona ma bez wątpienia gorączkę! — wykrzyknęła po chwili, odzyskując mowę.

Pani Fryderykowa niewzruszona jadła kolację. Obojętne czy Valancy ma gorączkę, czy nie. Istotnie było to, że Valancy zachowała się impertynencko wobec niej.

Tej nocy Valancy nie spała. Leżała bezsennie, rozmyślając długie godziny. Zaskoczyło ją odkrycie, że ona, która bała się dosłownie wszystkiego, nie czuje lęku przed śmiercią. Bliski koniec wcale nie wydawał się straszny. Już nie musiała żyć w strachu, bo dotychczas bała się nędzy na starość i stąd uległość wobec stryja Beniamina. A teraz starość jej nie grozi. Bała się zostać starą panną, a teraz długo już nią nie będzie. Bała się urazić matkę i rodzinę, bo żyjąc między nimi, nie miałyby spokoju, gdyby nie okazywała im posłuszeństwa. Lecz teraz to już nie miało znaczenia. I Valancy poczuła się prawdziwie wolna.

Wisiła nad nią tylko jeszcze jedna groźba. Niebawem zamieszanie i wrzawa czynione przez krewnych, gdy powie im o wszystkim. Na samą myśl o tym wstrząsnął ją dreszcz. Jak ona to zniesie? Wie doskonale, co się będzie działo. Najpierw zapanuje święte oburzenie, zwłaszcza ze strony stryja Jamesa, bo była u lekarza bez zasięgnięcia JEGO rady. Oburzenie matki, że jest skryta i fałszywa „wobec rodzonej matki”. Zgorszenie całego klanu, ponieważ nie poszła do doktora Marsha.

Potem zacznie się przesadna troskliwość. Kiedy doktor Marsh potwierdzi diagnozę kolegi, zawiozą ją do specjalistów w Toronto i Montrealu. Stryj Beniamin pokryje wszystkie wydatki w geście wspaniałomyślnego opiekuna wdów i sierot. Bez końca będzie opowiadał o niewyobrażalnie wysokich honorariach specjalistów, które biorą tylko za mądry wygląd, ale nie mogą w niczym pomóc. Gdy już lekarze orzekną, że są bezradni, stryj James zacznie nalegać, aby zażywała Czerwone Pigułki Redferna, gdyż „ja wiem, że pomogły nawet wtedy, gdy wszyscy lekarze opuścili ręce”. Matka zaś uprze się przy Gorzkiej Miksturze Redferna, a

kuzynka Stickles spróbuje co wieczór nacierać ją maścią Redferna, gdyż może pomóc, a na pewno nie zaszkodzi. I cała rodzina będzie proponować swoje ulubione i sprawdzone lekarstwa. Zjawi się pastor Stalling i obwieści uroczystym tonem: — Jesteś ciężko chora. Czy przygotowałaś się na to, co cię czeka?

Będą ją obserwować i kontrolować niczym niemowlę. Nie pozwolą nic robić, nigdzie wychodzić bez opieki. Może nawet nie zgodzą się, by spała sama, bo mogłaby umrzeć we śnie. Kuzynka Stickles lub matka zechcą dzielić z nią pokój i łóżko. Tak, na pewno zechcą. Ta perspektywa wpłynęła na decyzję Valancy. Nie zniesie tego wszystkiego, wcale nie zamierza znosić. Gdy zegar w hallu wybił północ, nagle i ostatecznie postanowiła, że nikomu nic nie powie. Odkąd pamiętała, uczono ją, że uczucia należy skrywać. „Demonstrowanie uczuć jest w złym tonie” — oświadczyła kiedyś z wyrzutem kuzynka Stickles. No cóż, nie zawiedzie jej oczekiwań.

Jednakże, choć nie bała się śmierci, to nie była wobec niej obojętna. Uważała, że to nie fair aby ona, która nigdy naprawdę nie żyła, musiała tak wcześnie umierać. Płomień buntu rozgorzał w jej duszy nie dlatego, że nie miała przyszłości, lecz że brakło jej przeszłości.

— Jestem uboga, brzydka, niewydarzona i... umierająca — pomyślała. Oczyma wyobraźni widziała swój własny nekrolog zamieszczony w miejscowej gazecie i powtórzony w *Journal* w Port Lawrence. „Deerwood pograżyło się w głębokim smutku... pozostawiła w żałobie grono przyjaciół...” Same kłamstwa. Smutek — akurat! Nikomu nie będzie smutno. Jej śmierć nikogo nie obejdzie. Bo nawet matka jej nie kocha; matka, która przeżywa rozczarowanie, że nie urodziła chłopca albo chociaż ładnej dziewczynki.

Od północy do brzasku Valancy dokonała przeglądu swego życia. Wiodła niezwykle bezbarwną egzystencję, choć tu i ówdzie w mdłej rzeczywistości majaczyły wydarzenia pozornie ważniejsze od innych. Wszystkie były tak czy inaczej nieprzyjemne i nie znalazła w przeszłości nic naprawdę miłego.

— Przez tyle lat nie przeżyłam jednej prawdziwie szczęśliwej godziny — pomyślała. — Zawsze byłam tylko szarą myszą. Kiedyś czytałam, że bywa nieraz godzina, w której kobieta może doznać szczęścia całego życia. Mnie coś takiego nie spotkało — nigdy, nigdy. I najgorsze, że już nie spotka. Gdybym mogła przeżyć taką godzinę, umarłabym bez słowa protestu.

Epizody z przeszłości pojawiły się teraz w jej pamięci jak nieproszeni goście, nie zachowując porządku i stopnia doniosłości.

Przypomniała sobie, że w wieku szesnastu lat za mocno ufarbkowała całą balię prania. Albo to, gdy jako ośmiolatka „podkraǳła” trochę malinowego dżemu ze spiżarni ciotki Wellington. O tych dwóch wydarzeniach klan nie omieszkiał mówić przez całe lata. Wyciągano je przy okazji każdego rodzinnego zgromadzenia. Zwłaszcza stryj Beniamin, on to bowiem przyłapał ją z umazaną buzią na wyjadaniu dżemu. Pewnie dlatego pamiętają o takich drobnych sprawach, że popełniłam za mało niecnych uczynków — pomyślała. — Boże, przecież ja nawet z nikim tak naprawdę nie pokłóciłam się. Nie mam żadnych wrogów. Jakaż trzeba być pozbawioną charakteru istotą, żeby nie mieć choć jednego wroga.

Był też incydent z piaskową górką w szkole, gdy miała siedem lat. Wspomnienie odżywało zwłaszcza wtedy, gdy pastor Stalling powtarzał cytat: „Temu, który posiada, niech będzie dane, a temu, który nie posiada, niech będzie odebrane to, co posiada”.

Och, jak dobrze rozumiała sens tej wypowiedzi. Stanowiła doskonałą ilustrację jej stosunków z Olivią. Chodziła do szkoły już od roku, a młodsza o rok Olivia dopiero rozpoczęła naukę i otaczał ją szczególny blask ładnej „nowej uczennicy”. Podczas jednej z przerw wszystkie dziewczynki, małe i duże, wyszły na drogę przed szkołę sypać górkę z piasku. Każda chciała usypać największą. Valancy była w tym bardzo dobra, miała swój sekretny sposób sypania piasku. Ale nagle okazało się, że Olivia pracująca z dała od innych, ma największą górkę. Valancy nie odczuła zazdrości. Jej własna górką była też nienajgorsza.

I właśnie wtedy jednej ze starszych dziewczynek przyszedł do głowy pomysł. — Chodźcie — zawołała. — Przesypujemy piasek z naszych górki na górkę Olivii i zrobimy jedną ogromną.

Dziewczęta rzuciły się z zapalem do dzieła. Nosiły piasek łopatkami i wiaderkami tak sprawnie, że w kilka chwil kopczyk Olivii zmienił się w imponującą piramidkę. Na próżno Valancy próbowała zasłonić swój, wyciągając nad nim chude ramionka.

Bezlitośnie odepchnięto ją na bok, a piasek zabrano na wspólny kopiec. Wtedy odeszła zrezygnowana i zaczęła sypać nowy kopczyk, ale znowu starsze dziewczynki rzuciły się do niego. Valancy, z rumieńcami oburzenia na twarzy, usiłowała protestować.

— Nie róbcie tego — wołała. — Proszę, nie zabierajcie mi go.

— Ależ dlaczego? — pytały koleżanki. — Dlaczego nie chcesz powiększyć kopca Olivii?

— Ja chcę mieć własną, piaskową górkę — płacząco wyjaśniła Valancy.

— Zazdrośnica! Zazdrośnica! — wołały drwiąco dziewczynki.

— Zachowałam się bardzo samolubnie — zganiła ją lodowatym głosem matka, kiedy Valancy opowiedziała jej wieczorem całe zajście. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy spróbowała podzielić się z matką strapieniami.

Valancy nie była ani zazdrosna, ani samolubna. Chciała tylko mieć własną piaskową górkę — nieważne dużą, średnią czy małą. Po chwili drogę przejechała bryczka zaprzężona w parę koni, piramidka Olivii rozsypała się na wszystkie strony. Zadzwieczał dzwonek i dziewczynki pobiegły do szkoły, zapominając po drodze o całym zdarzeniu. Ona do dziś zapamiętała. W głębi duszy nie mogła się z tym pogodzić, bo czyż to nie był symbol jej całego życia? — Nigdy nie zdołałam usypać własnej, piaskowej górki — westchnęła.

Pewnego jesienno-wieczoru, gdy miała sześć lat, olbrzymi czerwony księżyc wschodził na niebie nad końcem ulicy. Była tym niezwykłym widokiem przerażona. Tak blisko niej, taki ogromny.

Cała drżąca pobiegła do matki, a ta wyśmiała jej lęk. Położyła się więc do łóżka i ukryła twarz pod poduszką, by nie widzieć, jak ten straszny księżyc na nią patrzy.

Chłopiec, który próbował ją pocałować na przyjęciu, gdy miała lat piętnaście... Wtedy wyrwała się i uciekła. A to był jedyny chłopiec, jaki kiedykolwiek próbował... Teraz, czternaście lat później, żałowała, że mu na to nie pozwoliła.

Albo to, jak musiała przeprosić Olivię za coś, czego nie zrobiła. Olivia poskarżyła się, że Valancy popchnęła ją do kałuży i zniszczyła umyślnie jej nowe buciki. Nie wierząc tłumaczeniom, kazano jej prosić o wybaczenie i pocałować Olivię „na zgodę”. Niesprawiedliwość tej decyzji do dziś jeszcze sprawiała ból.

Latem Olivia nosiła przepiękny kapelus, ozdobiony jasnożółtym tiulem i wiankiem czerwonych różyczek, z małymi jedwabnymi kokardkami pod brodą. Valancy bardziej niż czegokolwiek pragnęła takiego kapelusza. Prosiła o niego i została wyśmiana. Musiała nosić brzydki, płaski kapelus z brązowej słomki z gumką, która wpijała jej się w uszy. Żadna dziewczynka nie chciała się z nią bawić, bo wyglądała zbyt ubogo. Żadna poza Olivią i wszyscy myśleli, jakie to słodkie i wspaiałomyślne.

— Byłam dla niej po prostu znakomitym tłem — pomyślała Valancy. — Nawet wtedy o tym wiedziała.

Valancy raz spróbowała uzyskać nagrodę w szkółce niedzielnej za pilność, ale otrzymała ją Olivia. Zbyt często w niedzielę pozostawała w domu z powodu przeziębień... Kiedyś chciała powiedzieć wiersz, ale się zająknęła i speszona nie potrafiła już skończyć. Za to Olivia była dobrą deklamatorką i nigdy się nie zacięła.

Albo ta noc, którą spędziła z ciotką Isabel w Port Lawrence, gdy miała dziesięć lat. Był tam też Byron Stirling, dwunastoletni, zarozumiały i sprytny kuzyn z Montrealu. W czasie wspólnej porannej modlitwy uszczypnął ją w ramię tak mocno, że krzyknęła z bólu. Po skończonej modlitwie ciotka Isabel wezwała ją do siebie. Próżno tłumaczyła co się stało, Byron się wyparł. Powiedział, że podrapał ją kociak, z którym bawiła się w czasie modłów —

i jemu uwierzono. W klanie Stirlingów zawsze wierzono bardziej chłopcom niż dziewczętom. Ją odesłano do domu w niesławie, a z powodu niewłaściwego zachowania ciotka nie zapraszała jej do siebie przez wiele miesięcy.

No i dzień, gdy kuzynka Betty Stirling brała ślub... Valancy miała nadzieję, że Betty zaprosi ją na drużną i przeżywała w tajemnicy niezwykle uniesienie. Dostanie na tę okazję nową suknię, śliczną, nową suknię — różową. Betty chciała, aby drużny ubrane były na różowo.

Ale ostatecznie Betty jej nie zaprosiła. Valancy nie zdołała odgadnąć dlaczego, lecz długo po tym jak obeschły łyzy rozczarowania, „zycliwa” Olivia jej to wyjaśniła. Otóż Betty po namyśle doszła do wniosku, że Valancy jest taka niepozorna i „zepsułaby cały efekt”. To było dziewięć lat temu, ale jeszcze dzisiaj Valancy poczuła, zapierający dech w piersiach, żal z tego powodu.

W wieku lat jedenastu, matka zmusiła ją do przyznania się do czegoś, czego nigdy nie zrobiła. Odmawiała bardzo długo, aż w końcu „dla świętego spokoju” poddała się i przyznała do winy — nie popełnionej. Pani Fryderykowa potrafiła doprowadzić do takiego stanu, że trzeba było skłamać. Gdy się już przyznała, matka kazała jej uklęknąć w salonie między sobą i kuzynką Stickles i powiedzieć: — Boże, przebac mi, że nie powiedziałam prawdy. — Valancy powtórzyła to, ale wstając z klęczek wyszeptwała: — Ty, Boże, wiesz, że mówiłam prawdę. — Wprawdzie wtedy jeszcze nie słyszała o Galileuszu, ale ich losy okazały się podobne.

A ta zima, gdy poszła na naukę tańca... Stryj James uznał to za konieczne i zapłacił za lekcje. Jakże wyczekiwała ich rozpoczęcia! I jak bardzo je znienawidziła! Nigdy nie miała partnera, który wybrałby ją z własnej woli. Zawsze doprowadzał go do niej nauczyciel i zwykle chłopiec dąsał się z tego powodu. A przecież była dobrą tancerką, poruszała się leciutko jak piórko. Ciężkiej w tańcu Olivii nigdy partnerów nie brakowało.

Lub ta historia z guzikami. Wtedy wszystkie dziewczynki w szkole miały koraliki z guzików. Olivia nosiła długi sznur z prześlicznymi guziczkami. Valancy też miała jeden, na którym nanizane były głównie pospolite guziki. Lecz pośród nich znajdowało się sześć prawdziwie pięknych, błyszczących, szklanych guzików, ozdobionych złotem, odciętych od ślubnej sukni babci Stirling. Ich posiadanie wyróżniało Valancy. Wiedziała, że zazdroszą jej wszystkie bez wyjątku dziewczynki. Kiedy Olivia je zobaczyła, przyjrzała się im tylko uważnie, lecz nic nie powiedziała, przynajmniej wtedy. Ale nazajutrz na Elm Street zjawiała się ciotka Wellington i oznajmiła, że jej zdaniem Olivia powinna dostać kilka tych guzików. W końcu babcia Stirling tak samo była matką Wellingtona jak i Fryderyka. Pani Fryderykowi zgodziła się bez sprzeciwu.

Nie mogła sobie pozwolić na konflikty z bogatą rodziną, a po drugie sprawa była błaha. Tak więc ciotka zabrała ze sobą cztery guziki, wspaniałomyślnie zostawiając Valancy dwa. Wtedy ona gwałtownie ściągnęła je ze sznurka i rzuciła na podłogę. — W tym czasie jeszcze nie wiedziała, że okazywanie uczuć jest naganne. — Za co została odesłana do łóżka bez kolacji.

Było też przyjęcie u Margaret Blunt. Wieczorem tak bardzo się starała ładnie wyglądać. Był tam bowiem zaproszony Rob Walker, który dwa dni wcześniej, w czasie przyjęcia u stryja Jamesa, wydawał się być nią prawdziwie zainteresowany. Lecz na wieczorku u Margaret ani razu nie poprosił Valancy do tańca, nawet jej nie zauważył. Jak zwykle więc podpierала ścianę. To naturalnie było wiele lat temu, lecz ona wciąż czuła upokorzenie doznane tamtego wieczoru. Twarz jej płonęła, gdy przypomniła sobie, jak siedziała z tymi żałośnie poskręcanyimi włosami i policzkami zaróżowionymi tylko dlatego, że je przez godzinę szczypała. Na dodatek wynikła z tego plotka, że Valancy przyszła na przyjęcie uróżowana. W tamtych czasach w Deerwood coś takiego zupełnie wystarczyło do zniszczenia

reputacji. Valancy jednak żadnej szkody nie wyrządziło. Ludzie dobrze wiedzieli, że ona, nawet gdyby chciała, to nie umiała być rozwiązła. A więc tylko się z niej śmiano.

— Całe moje życie to licha namiastka, wegetacja — zauważyła Valancy. — Wszystkie wielkie uczucia i namiętności ominęły mnie. Nie przeżyłam nawet prawdziwej rozpacz. A czy kochałam kogoś prawdziwie? Nie kocham nawet matki. I to jest prawda, co by o tym myśleć. Nigdy jej nie kochałam. I co gorsza nawet jej nie lubię. Nie mam więc żadnego pojęcia o miłości. Moje życie było puste, a nie ma nic gorszego od pustki. — Nie! — To „nie” wykrzyknęła z pasją. Potem jęknęła, bo w tym momencie chwyciły ją bóle.

Kiedy atak minął, coś się z nią stało. Może była to kulminacja procesu dokonującego się w jej umyśle od chwili przeczytania listu doktora Trenta? Dochodziła trzecia w nocy — najmądrzejsza i najbardziej groźna godzina całej doby. O tej porze czasem dzieje się z człowiekiem coś znaczącego — nadchodzi jego wyzwolenie.

— Przez całe życie starałam się zadowolić innych i to mi się nie udawało — powiedziała sobie. — Odtąd więc będę starała się zadowolić siebie i nigdy niczego nie będę udawać. Oddychałam atmosferą przepojoną fałszem i nieudomówieniami. Z jakąż więc przyjemnością zacznę mówić prawdę! Może nie uda się zrobić wiele z tego, co zamierzam, lecz nigdy nie zrobię tego, czego nie chcę! Matka może się dąsać, ile zapragnie, nic mnie to nie obchodzi. Rozpacz czyni człowieka wolnym, nadzieja — niewolnikiem.

Z tą myślą wstała i ubrała się, a poczucie wolności narastało w niej z minuty na minutę. Kiedy skończyła się czesać, otworzyła okno i jednym ruchem wyrzuciła na sąsiednie podwórko dzbanek z wiekowym pot-pourri. Z donośnym trzaskiem rozbił się o wymalowane na frontonie starego sklepu oblicze dziewczyny zachwalającej piękną cerę. — Niedobrze mi się robi od zapachu rzeczy martwych — stwierdziła głośno Valancy.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Pierwsze objawy dziwnego zachowania się Valancy zauważono na srebrnym weselu stryja Herberta i ciotki Alberty. Nikt ze Stirlingów za nic w świecie nie powiedziałby wprost, że Valancy jest słaba na umyśle lub nawet, że nie wszystko z jej głową jest w porządku. Stwierdzenie stryja Bena, że „ona jest stuknięta, po prostu stuknięta”, uznano za zbyt dosadne i wybaczone mu wyłącznie ze względu na niewłaściwe zachowanie Valancy podczas wspomnianej uroczystości. Jednakże pani Fryderykowa i kuzynka Stickles już przed tym pamiętnym obiadem zauważyły parę niepokojących rzeczy. Wszystko oczywiście zaczęło się od różanego krzewu i od tej pory Valancy nigdy już nie była „całkiem jak należy”. Prawdopodobnie dlatego nie przejmowała się tym, że matka się do niej nie odzywa. Stanowczo odmówiła zażywania Gorzkiej Mikstury i Czerwonych Pigulek Redferna. Oświadczyła też stanowczo, że nie ma zamiaru dłużej odpowiadać na imię Doss. Kuzynce Stickles zaproponowała, by ta przestała wreszcie nosić broszkę z puklem włosów kuzyna Artemasa Sticklesa. Łóżko w swym pokoju przestawiła na przeciwną stronę. W niedzielne popołudnie trzy godziny czytała *Czarodziejskie Skrzydła*. Gdy kuzynka Stickles zwróciła jej uwagę, odparła obojętnie. — Och, zapomniałam, że to niedziela — i zaczęła czytać dalej.

Kuzynka Stickles widziała rzecz niesłychaną; przyłapała Valancy na zjeżdżaniu po poręczy schodów! Kuzynka nic o tym nie powiedziała pani Fryderykowej — biedna Amelia i bez tego ma dość kłopotów.

Z kamiennego milczenia wytrąciło panią Fryderykowa oświadczenie Valancy, że nie pójdzie więcej do anglikańskiego kościoła.

— Nie będziesz chodzić do kościoła?! Doss, ty chyba postradałaś...

— Och, do kościoła będę chodzić — odparła pogodnie Valancy — ale do prezbiteriańskiego. Do anglikańskiego nie.

To była poważna sprawa. Pani Fryderykowa przywołała na pomoc łzy, okazało się bowiem, że poza urażonego majestatu nie skutkuje. — Co masz przeciwko anglikańskiemu kościołowi — wyszlochała.

— Nic, poza tym, że właśnie tam musiałam zawsze chodzić.

— Czy to ładnie tak mówić do matki? Och, ileż prawdy jest w stwierdzeniu, że bardziej od węża zrani cię niewdzięczne dziecko!

— Czy to ładnie tak mówić do własnej córki? — odparła niewzruszona Valancy.

Tak więc po czymś takim zachowanie Valancy na srebrnym weselu nie było dla pani Fryderykowej i Christine Stickles taką niespodzianką jak dla innych. Obie panie miały wątpliwości, czy należy ją zabierać na uroczystość. Obawiały się jednak plotek i domysłów, gdyby tego nie zrobiły. Poza tym może zachowa się przyzwoicie i nikt nie zauważy, że coś jest z nią „nie tak”. Dzięki specjalnym staraniom Opatrzności, przez całe niedzielne przedpołudnie lało jak z cebra, dlatego Valancy nie spełniła straszliwej groźby i nie poszła do kościoła prezbiteriańskiego.

Nie odczułaby przykrości, gdyby pozostawiono ją w domu. Rodzinne uroczystości były bowiem przeraźliwie nudne. Lecz Stirlingowie świętowali każdą możliwą okazję — był to dawno ustalony zwyczaj. Nawet pani Fryderykowa wydawała obiad w rocznicę swego ślubu, a kuzynka Stickles zapraszała przyjaciół na kolację w dniu urodzin. Valancy nienawidziła tych okazji, bo z ich powodu musiały potem oszczędzać i tygodniami odmawiać sobie wszystkiego. Na srebrne wesele jednak chciała pójść. Gdyby się nie zjawiła, stryjowi Herbertowi byłoby przykro, a ona go lubiła. Poza tym chciała obejrzeć krewniaków z nowej perspektywy. Będzie to także znakomite miejsce, jeśli nadarzy się sposobność, do wygłoszenia deklaracji niepodległości.

— Włóż brązową, jedwabną suknię — powiedziała pani Stirling. Zupełnie jakby miała co innego do wyboru! Valancy posiadała jedną jedyną odświętną sukienkę w tabaczkowo-brązowym kolorze, podarowaną przez ciotkę Isabel. Ciotka zdecydowała, że Valancy nie powinna nosić sukien w jasnych kolorach. Gdy była młoda, pozwalano jej ubierać się na białe, ale już od dłuższego czasu przestała to robić. Tak więc ubrała się w brązową suknię ze stojącym kołnierzykiem i długimi rękawami. Nigdy nie miała sukienki z dekoltem i krótkimi rękawami, choć było to modne i od dłuższego czasu noszone nawet w Deerwood. Nie ułożyła jednak włosów w wąż wokół głowy. Zwinęła tylko węzeł na karku i zasłoniła uszy. Uznała, że jej w tym bardziej do twarzy, choć węzeł był żałośnie malutki. Pani Fryderykowej fryzura się nie podobała, ale pomyślała, że tuż przed przyjęciem lepiej licha nie budzić. Było bardzo ważne, aby nie drażnić Valancy, dopóki uroczystość się nie skończy. Pierwszy raz w życiu pani Stirling wzięła pod uwagę nastroj i humory córki. No, ale przecież dotychczas Valancy nie była „dziwna”.

W drodze do stryja Herberta obie starsze panie szły przodem a za nimi dreptała skromnie Valancy. Minał je Ryczący Abel, jak zwykle wstawiony, choć nie „na rycząco”, a na tyle, by być wyjątkowo uprzejmym. Uniósł zniszczoną, kraciastą czapkę gestem monarchy witającego swych poddanych i złożył im niski, zamaszysty ukłon. Obie panie nie śmiały udać, że go wcale nie widzą, ponieważ tylko on w Deerwood potrafił dokonywać niektórych napraw domu. Dlatego nie należało go sobie zrażać. Odpowiedziały więc sztywnym i ledwo zauważalnym skinieniem głowy. Nie ulegało przecież wątpliwości, że Ryczący Abel powinien znać swoje miejsce.

Na szczęście nie zauważyły, na co pozwoliła sobie Valancy. Uśmiechnęła się pogodnie i pomachała Ablowi ręką. No a dlaczego by nie? Zawsze lubiła starego grzesznika. Był takim wesołym, malowniczym i niepoprawnym hultajem. Odbijał się od spłowiałej szacowności Deerwood i jego obyczajów jak czerwony sztandar rewolucji i protestu. Zaledwie kilka dni temu galopował późnym wieczorem przez miasteczko, przeklinając donośnym głosem i zacinając konia do wściekłej jazdy.

— Wrzeszczał i bluźnił jak zły duch — powiedziała nazajutrz przy śniadaniu z dreszczem obrzydzenia kuzynka Stickles.

— Nie pojmuję, dlaczego dotąd nie dosięgła tego człowieka kara boska — dodała z wyrzutem pani Fryderykowa. Pewnie myślała, że Opatrzność się zaniedbuje i wymaga łagodnego upomnienia.

— Któregoś ranka znajdą go martwego. Wpadnie pod końskie kopyta i zostanie stratowany na śmierć — oświadczyła pocieszająco kuzynka Stickles.

Valancy milczała myśląc, że może te hałaśliwe wysoki Ryczącego Abła były próbą protestu przeciwko ubóstwu, harówce nad siły i monotonii bytowania. Ona wyprawiała się w marzeniach do Błękitnego Zamku. Ryczący Abel był pozbawiony wyobraźni i jego ucieczki od rzeczywistości przybierały inne formy. Dlatego pomachała mu dzisiaj w nagłym poczuciu wspólnoty, a Ryczący Abel, nie aż tak pijany, by nie odczuć zdumienia, omal nie spadł z kozła.

Tymczasem doszły już do Mapie Avenue i do domu stryja Herberta, wielkiej, pretensjonalnej budowli ozdobionej mnóstwem wykuszowych okien i półokrągłych balkonów. Domu, który zawsze wyglądał jak głupi, dobrze prosperujący, zadowolony z siebie człowiek z brodawkami na twarzy.

— Taki dom — powiedziała uroczyście Valancy — to bluźnierstwo. Pani Fryderykowa była wstrząśnięta do głębi. — Co ona mówi? Czy to profanacja? — Zdjęła kapelusz drżącymi rękami i zrobiła nieśmiałą próbę uniknięcia katastrofy. Zatrzymała Valancy na podeście i poprosiła:

— Czy zechcesz pamiętać o tym, że jesteś damą?

— Och, gdybym miała najmniejszą nadzieję, że zdołam zapomnieć — odparła znużona Valancy.

Pani Fryderykowska uznała, że na to sobie od niebios nie zasłużyła...

\* \* \*

— Pobłogosław Panie te dary i przyjmij nasze za nie podziękowanie — powiedział głośno i prędko stryj Herbert.

Ciotka Wellington skrzywiła się. Zawsze uważała modlitwy stryja Herberta za zbyt krótkie i mało poważne. Modlitwa ma być modlitwą, powinna trwać przynajmniej trzy minuty i być odmówiona tonem pośrednim między jękiem i monotonnym pieniem. Teraz, w niemym proteście, dłużej niż inni trzymała głowę pochyloną nad stołem. Kiedy wreszcie wyprostowała się, spostrzegła, że Valancy patrzy na nią badawczo. Później ciotka Wellington stanowczo twierdziła, że już w owym momencie wiedziała, że „z dziewczyną dzieje się coś złego. — Te jej niesamowite skośne oczy... dawno powinniśmy wiedzieć, że z takimi oczami człowiek nie może być zupełnie normalny”. Pojawił się w nich jakiś błysk rozbawienia, zupełnie jakby Valancy kpiła sobie z niej. Było to nieprawdopodobne i ciotka Wellington przestała o tym myśleć.

Valancy bawiła się wybornie. Dotychczas rodzinne spotkania nie sprawiały jej żadnej przyjemności, bo w obowiązkach towarzyskich wypełniała tylko puste miejsce. Klan uważał ją za osobę nieciekawą i nudną. Nie umiała prowadzić lekkiej konwersacji i podczas rodzinnych uroczystości uciekała myślami do Błękitnego Zamku. Roztargniony i nieobecny wyraz twarzy umacniał przekonanie o jej tępotcie i ograniczoności.

— Ona nie ma żadnych talentów towarzyskich — orzekła raz na zawsze ciotka Wellington. Nikt z nich nie wyobrażał sobie, że Valancy zachowuje się w ten sposób, bo się po prostu boi swych krewnych. Teraz jednak już nie czuła lęku. Jej dusza została uwolniona z więzów, a ona sama była przygotowana do przemowy, gdy tylko nadarzy się okazja. Tymczasem zaś pozwalała swobodnie szybować swoim myślom. Przeżyła moment szczególny, gdy stryj Herbert kroił indyka, bowiem dzisiaj zwrócił na nią uwagę! Będąc mężczyzną, nie wiedział, co zrobiła z włosami, ale pomyślał ze zdziwieniem, że mała Doss wcale nie jest taka brzydka i... położył na jej talerzu dodatkowy płat indyczej piersi.

— Jakie ziele najbardziej szkodzi damskiej urodzie? — zapytał stryj Benjamin, usiłując ożywić trochę nastrój.

Stałym obowiązkiem Valancy było zadanie pytania: „a co”. Tym razem milczała. Nikt inny też nie zapytał i stryj, po chwili wyczekiwania musiał odpowiedzieć: „tymianek”. Czuł jednak, że dowcip „padł”. Spojrzał z wyrzutem na Valancy, która dotąd nigdy nie zawiodła, lecz ona zdawała się go nawet nie zauważać. Wodziła wzrokiem wokół stołu, badając uważnie każdego z obecnych. Oto ludzie, przed którymi zawsze czuła respekt i których się bała. Dziś widziała ich inaczej, jakby po raz pierwszy.

Solidnie zbudowana, wyniosła i gadatliwa ciotka Mildred, mająca się za najbardziej bystrą kobietę w klanie. Swego męża uważała prawie za anioła, a dzieci uznawała za cudowne. Czyż to nie jej syn Howard miał wszystkie ząbki przed dwunastym miesiącem życia? Czy to nie ona potrafiła dawać najlepsze przepisy na wszystko — od przyrządzania grzybów do chwytania węży? Boże, cóż z niej za straszliwa nudziara! Jakie ma brzydkie pieprzyki na twarzy!

Kuzynka Gladys wiecznie wychwalająca syna, który zmarł we wczesnej młodości i zawsze skłócona z tym, który żyje. Cierpi na zapalenie nerwu czy coś, co ona tak nazywa. Dolegliwość przenosi się z jednej części ciała na drugą. Jest to bardzo wygodne, bo gdy ma



iść tam, dokąd nie chce, zapalenie umieszcza się w nogach. Gdy potrzebny jest wysiłek umysłowy, lokuje się w głowie. — Ale z ciebie stara blagierka! — pomyślała kpiąco Valancy.

Ciotka Isabel. Valancy policzyła jej podbródki. Ciotka jest głównym krytykiem w ich klanie. Zawsze stara się komuś przygadać. Nie tylko Valancy czuje przed nią obawę. Wszyscy wiedzą, że ma jadowity język.

— Zastanawiam się, jakby wyglądała twoja twarz, gdybyś się uśmiechnęła — rozważała bez emocji Valancy.

Cioteczna kuzynka Sarah Taylor, osoba o dużych, jasnych i pozbawionych wyrazu oczach, znana przede wszystkim z umiejętności przygotowywania marynat. Tak pełna lęku by nie powiedziec czegoś niewłaściwego, że nigdy nie powiedziała nic wartego wysłuchania. Tak dobrze ułożona i cnotliwa, że rumieni się na widok reklamy gorsetów, a na statuetkę Wenus z Milo nałożyła specjalną sukienkę.

Droga kuzynka Georgiana. Nie taka znowu zła, ale nudna i zręczna. Zawsze wygląda tak, jakby ją dopiero co wykrochmalono i wyprasowano. Wiecznie pełna obawy, żeby się nie odprężyć. Jedno, co naprawdę lubi, to pogrzeby. No bo z nieboszczykami nic już nie może się wydarzyć. Lecz tam, gdzie jest życie, jest zawsze strach.

Stryj James. Przystojny, z ustami ściśniętymi sarkastycznym uśmiechem i przyprószonymi siwizną bakami. Jego ulubioną rozrywką jest pisanie do *Christian Times* listów, atakujących modernizm we wszystkich przejawach. Valancy zawsze ciekawiło, czy we śnie jest równie uroczyście jak w dzień. Nic dziwnego, że jego żona umarła tak młodo. Valancy ją pamiętała — była ładna, delikatna i wrażliwa. Stryj James odmawiał jej wszystkiego, czego pragnęła i obsypywał rzeczami, których nie chciała. Zabił ją — najzupełniej legalnie. Zmarła stłamszona i zagłodzona.

Stryj Benjamin. Posapujący, wąsaty, z wielkimi workami pod oczyma patrzącymi na wszystko bez krzty szacunku.

Stryj Wellington. Długa, blada twarz, rzadkie, jasnozłote włosy — „jeden z jasnowłosych Stirlingów” — chuda, przygarbiona sylwetka, niezwykle wysokie czoło z brzydkimi zmarszczkami i oczy „inteligentne jak u ryby” — pomyślała Valancy. — Wygląda jak karykatura samego siebie.

Ciotka Wellington. Ma na imię Mary, ale nazywają ją po mężu dla odróżnienia od stryjecznej babki. Masywna i dostojna dama. Wspaniale ułożone szpakowate włosy. Bogata i modna suknia. Kazała sobie usunąć pieprzyki, co ciotka Mildred uznała za złośliwe sprzeciwianie się woli bożej.

Stryj Herbert ze sztywnymi, siwymi włosami. Ciotka Alberta nieprzyjemnie krzywiąca usta w rozmowie. Cieszy się reputacją hojnej, bo zawsze oddaje rzeczy, których nie potrzebuje. Nad nimi Valancy się nie znęcała, bo ich lubiła, nawet jeśli byli, jak to określił John Milton, „dobrodusznymi głupcami”.

A potem spojrzała przez stół na Olivie, którą zawsze, odkąd sięgała pamięcią, stawiano jej za wzór urody, zachowania i powodzenia. — Dlaczego nie trzymasz się tak jak Olivia, Doss? Dlaczego nie mówisz tak wdzięcznie jak Olivia, Doss? Dlaczego nie starasz się, Doss?

Skośne oczy Valancy utraciły kpiący wyraz, stały się smutne i zamyślane. Olivii nie można było lekceważyć ani ignorować. Nie można też zaprzeczyć, że jest urodziwa i zręczna, choć czasem niezbyt inteligentna.

Może miała trochę za duże usta, może częściej i chętniej niż należało demonstrowała w uśmiechu zdrowe, białe i równe zęby. Ale ogólnie rzecz biorąc, w całej rozciągłości potwierdzała lakoniczną konkluzję stryja Beniamina — „niezwykła, wspaniała dziewczyna”. Tak, z tym Valancy całkowicie się zgadzała.

Bujne, brązowozłote włosy wymyślnie ułożone i podtrzymywane lśniąca przepaską; wielkie, błyszczące, błękitne oczy ocienione gęstymi jedwabistymi rzęsami; twarz o różanej cerze i alabastrowo biała szyja; wielkie, perłowe kolczyki w uszach i niebieskawo

połyskujący brylant na smukłym palcu. Piękne ramiona prześwitujące przez zielony szyfon i koronki. Nagle Valancy poczuła zadowolenie, że jej własne chude ramiona są dokładnie osłonięte brązowym jedwabiem, ale zaraz podjęła dalsze wylizywanie cnot i wdzięków Olivii.

Wysoka, pewna siebie. Oczywiście są i dołeczki na policzkach i brodzie. — Kobieta z dołeczkami zawsze osiąga to, co chce — pomyślała w przystępie goryczy i pretensji do losu, który odmówił jej choćby jednego dołka. Olivia była od niej rok młodsza, ale ktoś obcy mógłby pomyśleć, że jest między nimi przynajmniej dziesięć lat różnicy. Olivii nikt nie przepowiadał staropanieństwa. Już jako podłotek była otoczona tłumem adoratorów i tak zostało do dziś. Mając lat osiemnaście, po ukończeniu college'u w Havergall zaręczyła się z Willim Desmondem, młodym prawnikiem. Ale Will Desmond zmarł i Olivia przez dwa lata — jak należało — nosiła po nim żałobę. W wieku dwudziestu trzech lat zakochała się w Donaldzie Jacksonie, ale rodzicom kandydat na męża nie przypadł do gustu, więc w końcu posłusznie zeń zrezygnowała. Nikt ze Stirlingów — bez względu na to, co mogli opowiadać obcy — nie napomknąłby, że sam Donald ochłódnął w miłosnych zapałach. Jakby tam jednak było, trzecia matrymonialna próba Olivii spotkała się z powszechną aprobatą. Inteligentny, przystojny Cecil Price pochodził „z tych Price'ów z Port Lawrence”. Olivia była z nim zaręczona od trzech lat. Cecil właśnie skończył studia inżynierskie i ślub miał się odbyć, jak tylko podpisze korzystny kontrakt.

Kufer z wyprawą Olivii kipiał mnóstwem wytwornych rzeczy. Ona sama zaś któregoś dnia zwierzyła się Valancy, jaka będzie jej ślubna suknia. Jedwab w kolorze kości słoniowej ozdobiony koronką, biały tren na podszewce z seledynowej żorżety, welon z brukselskich koronek pozostający w rodzinie od dziesięcioleci. Valancy wiedziała również, choć o tym Olivia nie wspomniała, że druhny już były wybrane, a jej nie ma wśród nich.

Choć mogło to wydawać się dziwne, lecz Valancy zawsze była powiernicą sekretów Olivii. Pewnie dlatego, że nie mogła jej zanudzać własnymi zwierzeniami. Olivia opowiadała jej ze szczegółami o swych sprawach sercowych od czasów, gdy w szkole mali chłopcy „prześladowali” ją — jak mówiła — miłosnymi listami i Valancy nie mogła pocieszać się, że opowieści te są zmyślone. Olivia wszystko to naprawdę przeżywała. Oprócz trzech szczęśliwców, wielu mężczyzn szalało za nią bez nadziei na wzajemność.

— Nie wiem, co ci biedni głupcy widzą we mnie, że robią z siebie podwójnych głupców — mawiała Olivia. Valancy przeważnie miała chęć odpowiedzieć: — Ja również nie wiem. — Ale poczucie prawdy i wrodzony takt powstrzymały ją. Wiedziała bowiem doskonale, że Olivia Stirling była jedną z tych dziewcząt, za którymi mężczyźni szaleją, gdy ona, Valancy, należała do tych, na które nie spoglądają.

A mimo to — pomyślała, oceniając kuzynkę nowym i bezlitosnym spojrzeniem — ona jest jak poranek bez rosy. Czegoś jej brakuje.

Tymczasem obiad przebiegał zgodnie ze zwyczajami Stirlingów. Choć była kalendarzowa wiosna, w pokoju jadalnym panował chłód. Ciotka Alberta włączyła gazowe ogrzewanie. Wszyscy oprócz Valancy zazdrościli jej tego urządzenia. W Błękitnym Zamku nie stosowano środków zastępczych; tam w kominkach płonęły wspaniałe ognie i paliło się drewnem.

Stryj Herbert wygłosił coroczny dowcip, pomagając ciotce Wellington w krojeniu zimnego mięsa. Ciotka Mildred opowiedziała kolejny raz o tym, jak znalazła kiedyś pierścionek w żołądku indyka. Stryj Benjamin powtórzył swoją ulubioną opowieść, jak dawno temu przyłapał na podkradaniu jabłek i przykładowo ukarał bardzo sławnego obecnie człowieka. Stryjeczna kuzynka Jane dokładnie opisała własne cierpienia wywołane zapaleniem dziąseł. Ciotka Wellington podziwiała kształt srebrnych łyżeczek do herbaty ciotki Alberty i opłakała utratę jednej ze swojego pamiątkowego kompletu.

— Teraz to już nie jest komplet. Nigdzie nie mogłam znaleźć takiej samej. A to był ślubny prezent od drogiej, świec Panie nad jej duszą, ciotki Matyldy — wyjaśniła.

Ciotka Isabel stwierdziła, że klimat się zmienia, no bo gdzie się podziały nasze dawne, piękne wiosny? Kuzynka Georgiana jak zwykle rozprawiała o pogrzebach i głośno się zastanawiała „kto z nas odejdzie pierwszy”. Valancy już chciała odpowiedzieć, ale się powstrzymała. Kuzynka Gladys zgodnie ze swym zwyczajem, miała coś komuś za złe. Goszczący u niej bratankowie oberwali wszystkie kwiatki z doniczek i oskubali stadko kurcząt: „prawie na śmierć je przy tym zadusili moja droga...”

— Chłopcy zawsze są tacy sami — wtrącił pobłaźliwie stryj Herbert.

— Ale nie muszą się zachowywać jak dzikie zwierzęta — protestowała kuzynka Gladys, rozglądając się wokół w poszukiwaniu poparcia. Wszyscy się uśmiechnęli i pokiwali ze zrozumieniem głowami — z wyjątkiem Valancy. I kuzynka sobie to zapamiętała. Kilka minut później, gdy rozmawiano o Ellen Hamilton, Gladys określiła ją jako „jedną z tych nieśmiałych, brzydkich dziewcząt, które nigdy nie znajdują męża” i spojrzała wymownie na Valancy.

Stryj James uznał, że poziom konwersacji obniża się niebezpiecznie, zмирzając w stronę osobistych wycieczek i plotek. Spróbował więc to naprawić, rozpoczynając dyskusję na dość abstrakcyjny temat „wielkiego szczęścia”. Każdy miał odpowiedzieć, co jego zdaniem jest największym szczęściem.

Ciotka Mildred uważała, że największym szczęściem dla kobiety jest być kochającą i kochaną żoną i matką. Ciotka Wellington twierdziła natomiast, że podróżowanie po Europie; Olivia, że zostanie wielką śpiewaczką jak Tetrzzini. Kuzynka Gladys zauważyła smutno, że dla niej największym szczęściem byłoby uwolnienie się od zapalenia nerwu. Kuzynka Georgiana zaś pragnęła, by „znowu był z nią jej zmarły ukochany brat Richard”. Ciotka Alberta bąknęła coś niewyraźnie o największym szczęściu, które znajduje się „w poezji życia” i natychmiast zaczęła wydawać jakieś polecenia pokojówce, aby nikt nie mógł spytać, co to właściwie znaczy. Pani Fryderykowa stwierdziła, że największym szczęściem jest poświęcenie życia służbie innym, a kuzynka Stickles i ciotka Isabel zgodziły się z tym bez zastrzeżeń.

Jesteśmy skłonni — ciągnęła pani Fryderykowa, zdecydowana nie tracić takiej znakomitej okazji do zaprezentowania swych poglądów — żyć w samolubstwie, próżności i grzechu. — Pozostałe panie poczuły się skarcone za brak wzniosłych ideałów, a stryj James pomyślał, że rozmowa znowu przybiera niewłaściwy obrót.

— Największym szczęściem jest — odezwała się nagle Valancy głośno i wyraźnie — kichać, kiedy ma się na to ochotę. Wszyscy wybałuszili oczy. Nikt nie chciał ryzykować komentarza. Czyżby Valancy próbowała być dowcipna? Nie do wiary! Pani Fryderykowa, która w miarę jak obiad trwał i córka nie robiła żadnych uwag, zaczynała się uspokajać, teraz znowu zadrżała. Uznała jednak, że przezorniej będzie się nie odzywać. Stryj Benjamin nie był taki przewidujący i pośpiesznie zrobił to, czego bała się pani Fryderykowa.

— Doss — spytał z chichotem — jaka różnica jest między młodą i starą panną?

— Jedna jest szczęśliwa i beztraska, a druga smutna i zatroskana. Jeśli mnie pamięć nie myli, zadawałeś stryju tę zagadkę przynajmniej pięćdziesiąt razy. Dlaczego nie wymyślisz czegoś nowego, skoro już musisz je zadawać? To fatalny błąd odgrzewać stare dowcipy.

Stryj Benjamin siedział oszołomiony. Dotąd nikt do niego, Beniamina Stirlinga z firmy Stirling i Frost, tak się nie odezwał. Co za słowa i to z ust Valancy! Powiódł spojrzeniem po obecnych, starając się dociec, co o tym myślą, ale wszyscy wyglądali na zaskoczonych. Biedna pani Fryderykowa zamknęła nawet oczy i lekko poruszała wargami, jakby się modliła. Może rzeczywiście to robiła. Sytuacja była niezwykła i rodzina nie wiedziała, jak się zachować. Tylko Valancy dalej spokojnie jadła sałatkę, jakby nic się nie stało.

Ciotka Alberta postanowiła ratować przyjęcie i gorączkowo zaczęła opowiadać o tym, że niedawno pokąsał ją pies. Stryj James, chcąc przyjść jej z pomocą, spytał, gdzie pies ją ugryzł.

— Niedaleko, za katolickim kościołem — wyjaśniła ciotka Alberta. W tym momencie Valancy roześmiała się... I nikt poza nią. No bo z czego tu się śmiać?

— Czy to ważna część ciała? — spytała Valancy.

— Co masz na myśli? — zachnęła się zdziwiona ciotka Alberta, a pani Fryderykowa pomyślała, że daremnie służyła Bogu przez tak długie lata.

Ciotka Isabel uznała za konieczne poskromić Valancy. — Doss — powiedziała — jesteś okropnie chuda. Sama skóra i kości. Czy nigdy nie próbowałaś trochę przytyć?

— Nie — odparła Valancy. — Ale tobie, ciociu, mogę podać adres salonu piękności w Port Lawrence, gdzie wytną ci kilka zbędnych podbródków.

— Va-lan-cy! — wyrwało się z piersi pani Fryderykowej. Zamierzała mówić surowo i majestatycznie, jak zawsze, lecz teraz zabrzmiało to niczym jękliwa prośba. I co najważniejsze, nie powiedziała do córki „Doss”.

— Ona ma gorączkę — zwróciła się dramatycznym szeptem do stryja Beniamina kuzynka Stickles. — Wydawało nam się od kilku dni, że gorączkuje.

— Ma nie po kolei w głowie — mruknął stryj Beniamin. — A jeśli nie, to należy sprawić jej lanie. Tak, dać parę klapsów.

— Nie można dawać jej klapsów — zaprotestowała kuzynka Stickles. — Ona ma dwadzieścia dziewięć lat.

— A więc nareszcie jest z tego jakaś korzyść — wtrąciła Valancy, która dosłyszała tę wymianę zdań.

— Doss — powiedział stryj Beniamin. — Kiedy umrę, możesz sobie mówić, co ci się podoba. Dopóki jednak żyję, żądam, by traktowano mnie z szacunkiem.

— Ale przecież my wszyscy jesteśmy martwi — odparła Valancy. — Cały klan Stirlingów. Tyle tylko, że jedni są już pogrzebani, a inni jeszcze nie... i to cała różnica.

— Doss — — ciągnął uparcie stryj Beniamin sądząc, że może spieszy bratanicę. — Czy pamiętasz, jak wyjadłś malinowy dżem?

Valancy spurpurowiała, lecz nie ze wstydu, a z powstrzymywanego śmiechu. Wiedziała, że prędzej czy później stryj wyciągnie ten dżem naienne światło.

— Oczywiście, że pamiętam — odrzekła. — To był bardzo smaczny dżem. Zawsze żałowałam, iż nie zdążyłam zjeść go więcej. Och, spójrzcie na profil cioci Isabel tam na ścianie! Czy widzieliście kiedyś coś tak śmiesznego?

Wszyscy, z ciotką Isabel włącznie, spojrzeli na ścianę, co naturalnie zepsuło kształt cienia. Po chwili stryj Herbert odezwał się zyczliwie. — Na twoim miejscu, Doss, nie jadłbym nic więcej. Nie żebyśmy ci żalowali, ale... nie sądzisz, że tak będzie lepiej? Twój... żołądek jest widocznie nie w porządku...

— Nie martw się o mój żołądek, drogi staruszku — powiedziała spokojnie Valancy. — Nic mu nie jest i mogę jeść, ile zechcę. Tak rzadko mam okazję zjedzenia porządnego posiłku.

Określenie „drogi staruszku” usłyszano wtedy w Deerwood po raz pierwszy. Stirlingowie sądzili, że wymyśliła je Valancy i od tej chwili zaczęli się jej obawiać. W tym wyrażeniu było coś niepokojącego. Zdaniem biednej pani Fryderykowej najgorsza jednak, z tego co dotychczas powiedziała Valancy, była uwaga o porządnym posiłku. Zawsze czuła się córką rozczarowana, a teraz musiała się za nią wstydzić. Pragnęła wstać i odejść od stołu, ale bała się zostawić Valancy bez dozoru.

Weszła służąca z deserem, co przyjęto z westchnieniem ulgi. Wszyscy postanowili ignorować Valancy i prowadzić rozmowę tak, jakby jej tu nie było. Stryj Wellington wspomniał Barneya Snaitha, w czym nie było nic dziwnego, bo na każdym spotkaniu Stirlingów ktoś wcześniej czy później to robił. — Cóż, kimkolwiek był, nie można go było ignorować — pomyślała Valancy i z rezygnacją przygotowała się do słuchania. Temat ten jednak zaczął ją interesować, choć jeszcze sobie tego wyraźnie nie uświadomiła.

Naturalnie, nikt nie powiedział o nim dobrego słowa. Wyciągnięto wszystkie stare, nieprawdopodobne opowieści. Defraudancko–fałszersko–bezbożno–mordercze legendy roztrząsano długo i dokładnie. Stryja Wellingtona oburzył fakt, że takiemu osobnikowi w ogóle pozwala się przebywać w sąsiedztwie Deerwood. I co sobie myśli policja w Port Lawrence. Którejś nocy wszyscy zostaną wymordowani we własnych łóżkach. To wstyd i hańba, że po tym, co zrobił, pozwala mu się przebywać na wolności.

— A co on właściwie zrobił? — nieoczekiwanie spytała Valancy. Stryj Wellington popatrzył na nią zapomniawszy, że należy ją ignorować. — Co zrobił? Co zrobił? Wszystko!

— Ale co zrobił? — powtórzyła Valancy niewzruszenie. — Co zrobił, o czym ty wiesz? Zawsze tylko go potępiać, ale co mu udowodniono?

— Nie dyskutuję z kobietami — oznajmił stryj Wellington. — Ja nie potrzebuję dowodów. Gdy człowiek ukrywa się na wyspie Muskoka i to przez kilka lat i nikt nie wie, skąd przybył lub z czego żyje i co tam robi — to są wystarczające dowody. Jeśli jest tajemnica, to jest i przestępstwo.

— Nie chciałabym go spotkać w ciemnej ulicy — powiedziała wzdygając się kuzynka Georgiana.

— A jak sądzisz, co by ci zrobił — zapytała Valancy.

— Zamordowałby mnie — odrzekła Georgiana dostojnie.

— Tak dla zabawy? — podpowiedziała Valancy.

— Właśnie — odparła ufnie kuzynka. — Nie ma dymu bez ognia. Od kiedy się tu pojawił, byłam pewna, że to przestępca. Czuję, że on coś ukrywa. A moja intuicja rzadko mnie zawodzi.

— Przestępca! Pewnie że przestępca — włączył się stryj Wellington. — Nikt nie ma wątpliwości — tu spojrział z wyrzutem na Valancy. — Mówi się, że siedział w więzieniu za defraudację i ja w to wierzę. Mówią też, że jest członkiem gangu, który ograbił wiele banków w całym kraju.

— Kto mówi? — spytała Valancy.

Stryj Wellington zmarszczył czoło. Co, do licha, wstąpiło w tę dziewczynę? I postanowił zignorować pytanie.

— Ma wygląd kryminalisty — zauważył stryj Benjamin. — Spostrzegłem to, gdy tylko go zobaczyłem po raz pierwszy.

„Człowiek ręką natury naznaczony, Musi dopuścić się czynów haniebnych”. — wyrecytował stryj James.

Wydawał się niezmiernie zadowolony z tego, że nareszcie udało mu się przytoczyć ten cytat. Całe życie czekał na taką okazję.

— Jedną brew ma łukowatą, a drugą trójkątną — stwierdziła Valancy — i dlatego uważasz go za rzezimieszka?

Stryj James uniósł w górę swoje brwi. Zwykle, gdy to robił, świat padał na kolana. Dziś jednak nic się nie stało.

— Skąd znasz takie szczegóły, Doss? — zapytała Olivia nie bez cienia złośliwości. Dwa tygodnie temu taka uwaga sprawiłaby kuzynkę w straszliwe zakłopotanie, o czym Olivia doskonale wiedziała.

— Właśnie, skąd? — dorzuciła ciotka Wellington.

— Widziałam go dwa razy i dokładnie mu się przyjrzałam — odparła z niezmaconym spokojem Valancy. — Uważam, że jego twarz jest niezwykle interesująca.

— Ale nie ulega wątpliwości, że w przeszłości tego typka jest coś ciemnego — ciągnęła Olivia uznając, że rozmowa zbyt się koncentruje wokół Valancy. — Choć trudno uwierzyć, że jest winien wszystkiemu, o co się go oskarża.

Valancy zdziwiły słowa kuzynki. Dlaczego to ona staje w obronie Barneya Snaitha? Co ona ma z nim wspólnego? Mogłaby zapytać też — a co wspólnego mam ja, Valancy? — Tylko że takiego pytania sobie nie zadała.

— Mówią, że w tej chacie na Mistawis trzyma mnóstwo kotów — wtrąciła kuzynka Sarah Taylor, by wykazać się znajomością tematu.

Koty. Dla Valancy zabrzmiało to interesująco, zwłaszcza ta liczba mnoga. Wyobraziła sobie wysepkę Muskoka zapełnioną puszystymi kotami.

— To jedno już świadczy, że coś z nim nie w porządku — stwierdziła ciotka Isabel.

— Ludzie, którzy nie lubią kotów — powiedziała Valancy, z zapałem zabierając się do deseru — zawsze myślą, że ta niechęć jest jakąś szczególną zaletą.

— Ten człowiek nie ma żadnych przyjaciół oprócz Ryczącego Abla — oświadczył stryj Wellington. — A gdyby Ryczący Abel trzymał się od niego z daleka, tak jak to robią inni, byłoby to korzystne dla... pewnych członków jego rodziny. — Niezręcznie zakończył zdanie pod surowym spojrzeniem ciotki Wellington przypominającym, że przy stole są dziewczęta.

— Jeśli miałeś na myśli to, że Barney Snaith jest ojcem dziecka Cecily Gay, to nieprawda, lecz złośliwa obmowa i kłamstwo — oznajmiła bez emocji Valancy.

Choć była oburzona, rozbawił ją widok twarzy członków klanu. Nie widziała czegoś podobnego od pewnego dnia, siedemnaście lat temu, gdy na przyjęciu u kuzynki Gladys odkryto, że przyniosła ze szkoły COŚ we włosach. Przyniosła wtedy wszy! — Valancy miała już dość eufemizmów.

Biedna pani Fryderykowa była bliska omdlenia. Wierzyła biedaczka lub udawała, że wierzy w przekonanie Valancy o znajdowaniu dzieci w kapuście.

— Przestańcie! Ci-i-cho! — błagała kuzynka Stickles.

Nie mam zamiaru być cicho — z uporem powiedziała Valancy. — Przez całe życie siedziałam jak mysz pod miotłą. A teraz będę nawet krzyczeć, jeśli zechcę. I nie zmuszajcie mnie do tego. I przestańcie opowiadać bzdury o Barneyu Snaithu.

Mówiąc szczerze, nie bardzo rozumiała, dlaczego czuje takie oburzenie. Cóż bowiem znaczyły dla niej przypisywane Barneyowi Snaithowi przestępstwa? I dlaczego szczególnie rozgniewało ją oskarżenie, że był niewiernym kochankiem tej biednej Cecily Gay? Bo z tym właśnie nie mogła się pogodzić. Nie robiło na niej wrażenia nazywanie go złodziejem, fałszerzem i kryminalistą, ale nie mogła znieść myśli, że kochał i skrzywdził Cecily. Przypomniała sobie jego twarz widzianą podczas dwóch przypadkowych spotkań — ten drwiący, zagadkowy i jednocześnie ujmujący uśmiech. Ten błysk w oczach, wąskie wrażliwe usta i otaczająca go aura wyzywającej śmiałości. Człowiek z takim uśmiechem, takimi ustami, mógł kraść lub zabijać, ale nie mógłby zdradzić. Nagle poczuła nienawiść do każdego, kto go o to oskarżał.

— Kiedy ja byłam młodą dziewczyną, nigdy nie rozmawiałam, ani nawet nie myślałam o takich sprawach, Doss — oznajmiła oskarżycielsko ciotka Wellington.

— Ale ja nie jestem młodą dziewczyną — odparła niesforna Valancy. — Czy mi ciągle o tym nie przypominałaś? I wszyscy jesteście złośliwymi, bezmyślnymi plotkarzami. Czy nie możecie zostawić w spokoju biednej Cecily? Ona umiera. Cokolwiek zrobiła, Bóg czy Szatan ukarali ją za to dostatecznie.

Wy już nie musicie się dokładać. A jeśli chodzi o Barneya Snaitha, jedyną jego zbrodnią jest to, że żyje jak chce i interesuje się wyłącznie sobą. Wygląda na to, że doskonale radzi sobie bez was. Co z punktu widzenia waszej małej snobokracji jest naturalnie śmiertelnym grzechem. Słowo „snobokracja” Valancy wymyśliła w przyptywie natchnienia i poczuła się z niego dumna. To było dokładnie to, czym byli.

— Valancy, twój biedny ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby cię usłyszał — wyjęczała pani Fryderykowa.

— Przypuszczam, że byłby zadowolony z odmiany — odparła ironicznie Valancy.

— Doss — wtrącił surowo stryj James. — Dziesięcioro przykazań ciągle obowiązuje, zwłaszcza czwarte. Czyżbyś o tym zapomniała?

— Nie — odrzekła. — Ale myślałam, że ty zapomniałeś, zwłaszcza o ósmym. Stryju Jamesie, czy zastanawiałeś się kiedyś, jakie nudne byłoby życie bez dziesięciorga przykazań? Przecież dopiero rzeczy zabronione stają się naprawdę pociągające. — Jednak całe to podniecenie okazało się dla niej zbyt silne. Znane już sygnały świadczyły, że zbliża się atak bólów. Nie mogła pozwolić, by dosięgnął ją tutaj. Wstała z krzesła i powiedziała. — Idę teraz do domu. Przyszedłam tylko na obiad, który był doskonały, ciociu Alberto, choć sałatce dobrze by zrobiła odrobina pieprzu cayenne i soli.

Nikt z oszołomionych i osłupiałych gości nie był w stanie wymyślić odpowiedzi, dopóki za Valancy nie zatrzasnęły się frontowe drzwi. A wtedy...

— Ona ma gorączkę, cały czas to mówię — wyjęczała kuzynka Stickles.

Stryj Benjamin gwałtownie uderzył kantem prawej ręki w lewą dłoń i warknął gniewnie. — A ja wam powtarzam, że jest stuknięta. Całkiem pomyłona.

— Och, Benjaminie — próbowała łagodzić emocje kuzynka Georgiana. — Nie potępiaj jej zbyt pochopnie. Musimy pamiętać, co mówił drogi, stary Szekspir — „miłosierdzie nie zna zła”.

— Miłosierdzie! Babskie gadanie! — wybuchnął stryj. — Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby młoda kobieta wygadywała takie rzeczy! Rozprawiała o sprawach, o których dziewczyna wstydzi się myśleć, a co dopiero głośno mówić. To bluźnierstwo! Znievažyla nas! Należy jej się solidna porcja klapsów i chętnie bym jej przyłożył. — Tu stryj Benjamin wypił jednym haustem pół filiżanki gorącej kawy i zakrzuszył się.

— Czy waszym zdaniem świnka może wpłynąć w ten sposób na czyjeś zachowanie? — zastanawiała się kuzynka Stickles.

— Otworzyłam wczoraj w domu parasolkę — mruknęła kuzynka Georgiana. — Od razu wiedziałam, że przepowiada to nieprzyjemności.

— Czy próbowałyście jej zmierzyć temperaturę? — spytała ciotka Mildred.

— Nie pozwoliła Amelii włożyć sobie termometru do ust — wyszeptała zawstydzona kuzynka Stickles.

Pani Fryderykowa nie skrywała łez; wszystkie jej mechanizmy obronne przestały działać. — Muszę wam wyznać — szlochała — że Valancy zachowuje się dziwnie już od dwóch tygodni. Christine może potwierdzić. To nie ta sama dziewczyna. Miałam nadzieję, że to tylko jedno z jej przeziębień. Lecz to znacznie coś, coś... gorszego.

— Nie płacz Amelio — powiedział łagodnie stryj Herbert, nerwowo szarpiąc sztywne, szpakowate włosy. Nie znosił rodzinnych awantur i uważał, że Doss postąpiła nieładnie, wywołując jedną z nich właśnie na jego srebrnym weselu. Kto mógł się czegoś takiego po niej spodziewać? — Będziesz musiała zaprowadzić ją do doktora. To może być... hm... tylko chwilowe zaburzenie. W dzisiejszych czasach zdarzają się przecież takie rzeczy, prawda?

— Proponowałam jej wczoraj pójście do lekarza — odparła pani Fryderykowa. — Ale odmówiła, stanowczo odmówiła. Och, czyżbym miała za mało kłopotów?

— I nie chce pić Gorzkiej Mikstury Redferna — dodała kuzynka Stickles.

— Ani niczego — uzupełniła pani Fryderykowa.

— Postanowiła też chodzić do kościoła prezbiteriańskiego — ciągnęła kuzynka Stickles, nie wspominając jednak o zjeżdżaniu po poręczy.

— Wszystko to świadczy, że jest stuknięta — mruknął stryj Benjamin. — Zauważyłem w niej coś dziwnego, jak tylko tu dziś weszła. Jej wypowiedzi wskazują na zachwianie równowagi umysłowej. Choćby pytanie: — Czy to ważna część ciała? Jaki sens miała ta uwaga? Żadnego! Stirlingom nigdy coś takiego się nie przydarzyło. To musi pochodzić od Wansbarrów.

Nieszczęsna pani Fryderykowa była zbyt przybita, aby się oburzyć.

— Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym wśród Wansbarrów — powiedziała płacząc.

— Twój ojciec był dziwakiem — upierał się stryj Benjamin.

— Biedny ojczulek był... oryginałem — zgodziła się pani Fryderykowa — ale umysł miał w zupełnym porządku.

— Całe życie mówił dokładnie tak samo jak Valancy dzisiaj — nie ustępował stryj. — Wierzył, że jest swoim powtórnie narodzonym pra — pradiadkiem. Sam słyszałem. Nie opowiadaj więc, że człowiek, który wygłasza takie rzeczy, jest zdrow na umyśle. No już dobrze, dobrze, Amelio, przestań chlipać. Oczywiście, Doss zrobiła z siebie straszne widowisko, lecz nie może za to odpowiadać. Wiadomo, że stare panny mają skłonności do podobnych wyskoków. Gdyby wyszła za mąż wtedy gdy powinna, nic podobnego by się nie wydarzyło.

— Nikt nie chciał się z nią żenić — powiedziała pani Fryderykowa, odnosząc wrażenie, że stryj obarcza ją za to winą.

— Całe szczęście, że nie ma między nami obcych — przerwał stryj.

— Wszystko zostanie w rodzinie. Jutro zabiorę ją do doktora Marsha. Wiem, jak sobie radzić z uparciuchami. Czy nie sądzisz, Jamesie, że to będzie najlepsze?

— Oczywiście, że musimy zasięgnąć porady lekarskiej — zgodził się stryj James.

— No to sprawa załatwiona. Tymczasem ty, Amelio, zachowuj się tak, jakby nic się nie stało, ale miej ją na oku. Nie pozwalaj być samej. Przede wszystkim nie powinna spać oddzielnie w nocy.

— Nic na to nie poradzę — płaczliwie oznajmiła pani Fryderykowa. — Przedwczoraj zaproponowałam, żeby spała z nią Christine, ale ona stanowczo odmówiła i zamknęła swoje drzwi na klucz. Och, nie macie pojęcia, jak się zmieniła. Nie chce pracować, a w każdym razie szyć. Prace domowe wykonuje jak zwykle. Lecz wczoraj nie chciała pozamiatać salonu, choć zawsze robimy to w czwartki. Powiedziała, że poczeka aż się zabrudzi. A gdy ją zapytałam, czy woli zamiatać brudny pokój zamiast czystego, odparła: — Naturalnie. Wówczas widzę efekt swego trudu. — Pomyślcie tylko!

— Albo ten dzbanek z potpourri — kuzynka Stickles słowo „pot-pourri” wymówiła fonetycznie — zniknął z jej pokoju. Znalazłam go w kawałkach na sąsiednim podwórku. Nie chciała nam jednak powiedzieć, co się z nim stało.

— Nigdy bym nie oczekiwał od Doss czegoś takiego — zauważył stryj Herbert. — Zawsze zdawała się być taką cichą i rozsądną dziewczyną. Trochę tępawą, ale rozsądną.

— Jediną pewną rzeczą na tym świecie jest tabliczka mnożenia — oznajmił stryj James, czując się inteligentniejszy niż kiedykolwiek.

— No cóż, przestańmy się zamartwiać — zakończył stryj Benjamin. — Dlaczego chórzystki noszą ładne pończochy?

— Dlaczego? — spytała kuzynka Stickles, bo ktoś powinien to zrobić wobec braku Valancy.

— Bo lubią obnażać łydki — zachichotał stryj w odpowiedzi. Kuzynka uznała żart za trochę niedelikatny. I to w obecności Olivii! Lecz cóż, tacy są mężczyźni.

Zaś stryj Herbert pomyślał, że odkąd wyszła Doss, na przyjęciu zrobiło się raczej nudnawo.

\* \* \*

Valancy pośpieszyła do domu przez pogrążone w błękitnawym zmierzchu ulice i chyba szła zbyt prędko. Atak, który ją chwycił, gdy szczęśliwie dotarła do swego pokoju, był silniejszy niż wszystkie dotąd.



To byłoby straszne umrzeć w takim bólu. Może... może właśnie nadchodzi śmierć? Poczuli się straszliwie osamotniona. Kiedy po jakimś czasie mogła już myśleć, zaczęła się zastanawiać, jakby to było, gdyby miała obok siebie kogoś współczującego, kogoś naprawdę troszczącego się o nią. Kogoś, kto zamiast robić szum i zamieszanie, ująłby ją za rękę i mówił: — Tak, wiem. To straszne, ale bądź dzielna, wkrótce poczujesz się lepiej. — Na pewno nie mogła to być matka ani kuzynka Christine. Skąd nagle przyszedł jej na myśl Barney Snaith? Dlaczego, pogrążona w bólu i samotności, poczuła, że on potrafiłby współczuć, żałować kogoś cierpiącego? Czy dlatego wydawał się starym, dobrze znanym przyjacielem, że stanęła w jego obronie przeciwko całej rodzinie? Nie miała siły zażyć lekarstwa przepisanego przez doktora Trenta. Wreszcie zdołała po nie sięgnąć. Wkrótce ból minął, ale leżała na łóżku całkowicie wyczerpana i obłana zimnym potem. Och, to było przerażające! Nie przetrzyma następnych ataków. Można nie obawiać się śmierci, gdy jest nagła i bezbolesna, lecz tak cierpieć umierając...!

Nagle roześmiała się. Ten obiad był zabawny. I wszystko okazało się takie proste. Po prostu mówiła to, co zawsze myślała. A te ich twarze! Stryj Benjamin — biedny, oszołomiony stryj Benjamin! Valancy wiedziała, że jeszcze tego wieczoru zmieni testament i przeznaczoną dla niej część majątku zapisze Olivii. Olivia zawsze otrzymywała wszystko, co należało do niej. Pamiętała piaskową górkę. Mogła chociaż pośmiać się z klanu, tak jak zawsze chciała. Sprawiało jej to niezmierną satysfakcję, ale jednocześnie myślała, że jest to raczej żałosne.

Wstała z łóżka i podeszła do okna. Wilgotny, łagodny wiaterek poruszał gałązkami. Włoskie topole na trawniku pani Tredgold — z lewej strony domu — rysowały się ciemnofioletowymi sylwetkami na tle czystego nieba. Wysoko nad nimi drżała mlecznobiała gwiazda jak żywa perła na srebrnozielonym jeziorze. Daleko, za stacją kolejową, widać było otulone cieniem lasy rosnące wokół jeziora Mistawis. Nad wszystkim unosiła się delikatna biaława mgiełka, a wyżej stał młodziutki sierp księżyca. Valancy spojrzała nań przez lewe ramię i powiedziała: — Chciałabym, zanim umrę, mieć własną, małą piaskową górkę.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Stryj Benjamin przekonał się, że wziął na siebie zbyt wiele, tak beztrąsko obiecując zawieźć Valancy do doktora. Ona bowiem pojechać nie chciała i roześmiała mu się prosto w twarz.

— Po jakie licho miałabym jechać do doktora Marsha? Z moją głową wszystko jest w porządku, choć wy upieracie się, że zwariowałam. Nic z tego. Po prostu zmęczyło mnie sprawianie przyjemności innym. Postanowiłam zacząć sprawiać przyjemność sobie. To da ci nowy temat do rozmyślań, bo historia z malinowym dżemem zestarzała się.

— Doss — nastawał dostojnie, ale bezskutecznie stryj. — Ty... ty nie jesteś sobą, nie jesteś do siebie podobna.

— A do kogo? — zapytała Valancy.

— Do twojego dziadka Wansbarra — odparł po chwili zdesperowany stryj Benjamin.

— Dziękuję. — Valancy wyglądała na zadowoloną. — To prawdziwy komplement. Pamiętam dziadka. Był jedną z najzabawniejszych osób, jakie znałam. A teraz, stryju, posłuchaj: nie pomogą żadne udręczone spojrzenia, prośby i groźby, bo i tak nie pójdę do żadnego doktora. Jeśli zaś przywieziesz go tutaj, nie pozwolę się zbadać. Co więc zamierzasz zrobić?

— No właśnie co? Nie wypadło i nie wydawało się możliwe zaprowadzenie Valancy do doktora siłą. Na nic też się nie zdały łzy i namowy matki.

— Nie martw się, mam — powiedziała lekko, lecz z szacunkiem Valancy. — Jest raczej mało prawdopodobne, bym zrobiła coś naprawdę strasznego. Mam jednak zamiar trochę się rozerwać...

— Rozerwać się! — Pani Fryderykova powtórzyła to takim tonem, jakby córka mówiła o zafundowaniu sobie gruźlicy.

Olivia, którą matka wysłała, aby wpłynęła na kuzynkę, wyszła z pokoju zaczerwieniona i z gniewnie błyszczącymi oczami. Matce powiedziała, że z Valancy nic się nie da zrobić. Po tym, gdy ona, Olivia, przemawiała do niej jak siostra, mądrze i czule, Valancy miała do powiedzenia tyle: „Ja nie pokazuję dziąseł, kiedy się śmieję”.

— Zupełnie jakby mówiła do siebie, nie do mnie! Wiesz, mam, cały czas, gdy do niej przemawiałam, sprawiała wrażenie, że wcale nie słucha. Ale to nie wszystko. Kiedy ostatecznie uznałam, że nic z tego co mówię, nie ma na nią wpływu, poprosiłam, żeby nie wygadywała głupstw w obecności Cecila. I wiesz, mam, co na to powiedziała?

— Nawet sobie nie potrafię wyobrazić — jęknęła ciotka Wellington przygotowana na najgorsze.

— Powiedziała: „Chętnie bym potrząsnęła tym twoim Cecilem. Ma zbyt czerwone usta jak na mężczyznę”. — Jestem pewna, że nigdy nie będę jej lubić jak dawniej.

— Pamiętaj Olivio, że ma zmałowany umysł — oświadczyła z powagą ciotka. — Nie można jej obarczać odpowiedzialnością za wszystko, co mówi.

Gdy pani Fryderykova dowiedziała się, co jej córka powiedziała Olivii, kazała Valancy przeprosić kuzynkę.

— Przez piętnaście lat kazałaś mi przeproszać Olivię za to, czego nie zrobiłam — odparła Valancy. — Uważam, że tych dawnych przeprosin wystarczy za obecną obrazę.

Sprawy tak się skomplikowały, że zwołano rodzinną radę. Obecni byli wszyscy, z wyjątkiem kuzynki Gladys, cierpiącej z powodu zapalenia nerwu od chwili, gdy biedna Doss zrobiła się taka... dziwna. Zdecydowano, że najlepszym i najmądrzejszym wyjściem będzie pozostawienie Valancy przez jakiś czas w spokoju. „Popuścić jej cugli i zostawić samej sobie”. Wyrażenie „czujne wyczekiwanie” jeszcze nie było w użyciu, ale takie właśnie stanowisko wobec Valancy postanowiła zająć skonsternowana rodzina.

— Musimy działać odpowiednio do rozwoju wydarzeń — wyjaśnił stryj Benjamin. — Łatwiej jest przecież potłuc jajka, niż je pozlepiać. Oczywiście, jeśli zacznie być gwałtowna...

Stryj James radził się doktora Marsha i ten poparł ich decyzję. Zwrócił uwagę rozsierdzonemu stryjowi Jamesowi, który chciałby umieścić Valancy gdzieś pod kluczem, że ta — jak dotąd — nie zrobiła i nie powiedziała nic takiego, co można uznać za dowód szaleństwa. Bez dowodów w tych zdegenerowanych czasach nikogo nie można zamykać w domu wariatów. Nic z tego o czym mówił stryj James, nie wydało się doktorowi Marshowi zbyt alarmujące. Kilkakrotnie przykrywał usta ręką kryjąc uśmiech. Ale on nie był Stirlingiem i mało wiedział o dawnej Valancy. Stryj James opuścił go mocno zirytowany i wrócił do Deerwood myśląc, że doktor Marsh nie okazał się znowu takim nadzwyczajnym lekarzem, i że Adelajda Stirling mogła zrobić lepszą partię.

\* \* \*

Życie toczy się dalej, mimo że wkracza w nie tragedia. Posiłki muszą być przygotowane, choć syn umiera, a garnki wyszorowane, nawet jeśli jedyna córka traci zmysły.

Pani Fryderykova, osoba niesłychanie systematyczna i pedantyczna, dawno przeznaczyła drugi tydzień czerwca na remont frontowego ganku. Ryczący Abel został umówiony wiele miesięcy temu i pojawił się rankiem pierwszego dnia drugiego tygodnia. Natychmiast też zabrał się do pracy — oczywiście pijany. Ale to był jego normalny stan. Na szczęście znajdował się dopiero na etapie wstępnym, więc cechowała go rozmowność i dobroduszość. Roztaczał wokół silny zapach whisky, który obie panie przypawił o ból głowy. Nawet Valancy, przy całej emancypacji, to się nie podobało. Ale lubiła Abła i jego dosadny sposób mówienia. Dlatego też, gdy umyła naczynia po obiedzie, usiadła na stopniach ganku i zaczęła z nim rozmawiać.

Pani Fryderykova i kuzynka Stickles uważały to za straszne wykroczenie, lecz cóż mogły zrobić? Valancy tylko się kpiąco uśmiechała, gdy przywoływały ją do domu i nie ruszyła się z miejsca. Jak się tylko zacznie, to nieposłuszeństwo przychodzi z łatwością. Liczy się pierwszy krok. Matka i kuzynka obawiały się powiedzieć coś więcej, by nie zrobiła sceny w obecności Ryczącego Abła, który rozgłosiłby to, mocno ubarwiając, po całej prowincji. Dzień jak na czerwiec był chłodny, więc pani Fryderykova nie mogła siedzieć przy otwartym oknie i słuchać, o czym mówią. W ten sposób Abel i Valancy mogli rozmawiać bez świadków. Gdyby pani Fryderykova przewidziała, jaki będzie tego skutek, przeszkodziłaby rozmowie nawet za cenę nie naprawionego dachu nad gankiem.

Valancy siedziała na schodkach, nie zwracając uwagi na porywy chłodnego wiatru. Nie troszczyła się o to, czy się zaziębi czy nie. Sprawiało jej radość siedzenie w chłodzie, wdychanie wonnego powietrza i poczucie wolności. Słuchała uważnie Ryczącego Abła, opowiadającego między uderzeniami młotka i szkockimi przyśpiewkami o swych kłopotach.

Stary Abel Gay mimo siedemdziesiątki ciągle był przystojnym mężczyzną w dostojnym patriarchalnym stylu. Miał bujną, rudą brodę opadającą na niebieską, flanelową koszulę i srebrzystosiwą czuprynę. Krzaczaste, białe — rude brwi ocieniające młodzieńczo niebieskie oczy przypominały sumiaste wąsy. Może właśnie dlatego górną wargę zawsze starannie golił. Całości dopełniały rumiane policzki i wydatny, orli nos, z jakiego byłby dumny każdy najlepiej urodzony Rzymianin. Abel miał sześć stóp i dwa cale wzrostu, szerokie ramiona i wąskie biodra. W młodości — znany pożeracz kobiecych serc — uważał wszystkie kobiety za zbyt czarujące, by wiązać się tylko z jedną. Jego życie było szaleńczą i barwną panoramą przygód, romansów, zdarzeń szczęśliwych i niepowodzeń. Ożenił się, mając czterdzieści pięć lat z młodziutką, śliczną dziewczyną, którą w kilka lat później jego wyczyny wpędziły do

grobu. Na pogrzebie żony był kompletnie pijany i usiłował powtarzać pięćdziesiąty piąty rozdział z Księgi proroka Izajasza — Abel znał prawie całą Biblię i wszystkie Psalmy na pamięć — podczas gdy pastor, którego zresztą nie cierpiało, próbował się modlić. Od tej pory jego domem zajęła się stara, niechlujna kuzynka. W tym mało obiecującym otoczeniu wyrosła jedyna córka Abła, Cecilia.

W demokratycznej atmosferze szkoły publicznej Valancy zdołała dobrze poznać Cissy Gay, choć ta była od niej trzy lata młodsza. Gdy skończyły szkołę, ich drogi rozeszły się. Stary Abel był prezbiterianinem i choć o teologii wiedział więcej od większości pastorów, do kościoła nie chodził. Każdy nowy pastor próbował nakłonić Ryczącego Abła do pojawienia się na nabożeństwie, lecz bez skutku. Teraz dano mu spokój. Wielebny pan Bently przybył do Deerwood przed ośmiu laty, jednak zrezygnował ze starań bardzo szybko. Na początku swego duszpasterstwa odwiedził Abła. Zastał go pijanego, ale chętnego do dyskusji. Wyznał pastorowi, że jest zdecydowanym prezbiterianinem i nie ma grzechów do odpokutowania.

— Czy nigdy w życiu nie popełniłeś czynu, którego byś żałował? — spytał pan Bently.

Ryczący Abel, podrapał się po potarganej, siwej głowie, udając że się zastanawia. — Chyba tak — powiedział po namyśle. — Parę kobitek miałem chęć pocałować, ale tego nie zrobiłem. Tego zawsze żałowałem.

Pan Bently wyszedł bez słowa.

Abel dopilnował, żeby Cissy została jak należy ochrzczona, a sam upił się na wesoło. Kazał jej regularnie uczęszczać do szkółki niedzielnej. Kongregacja przyciągnęła dziewczynkę, która została nawet członkiem chóru misyjnego, skautką i członkiem Towarzystwa Kobiet Misjonarek. Była pracowita, sumienna, uczciwa i skromna. Wszyscy lubili Cissy Gay i litowali się nad nią. Taka łagodna i wrażliwa, taka ładna tą delikatną urodą, co szybko wędnie, jeśli nie ożywia jej miłość i czułość. Ale ta sympatia i litość nie przeszkodziły im rzucić się na nią jak stado dzikich kotów, gdy TO się jej przydarzyło.

Cztery lata temu Cissy Gay zaczęła pracować w hotelu w Muskoka jako sezonowa kelnerka. Wróciła jesienią zupełnie odmieniona. Ukrywała się i nigdzie nie wychodziła. Powód niebawem stał się widoczny i... wybuchł skandal. Tamtej zimy urodziła dziecko, lecz nikt nie wiedział, kim jest ojciec. Cecily nikomu nie wyznała tajemnicy. Nikt też nie śmiał zadawać Ryczącemu Ablowi pytań na ten temat. Plotki i podejrzenia obciążały winą Barneya Snaitha, ponieważ prowadzone wśród hotelowej służby energiczne śledztwo ujawniło fakt, że nigdy nie widziano tam Cissy Gay z „mężczyzną”. Niechętnie przypominano sobie, jak to „zawsze unikała towarzystwa”, jakby „gardziła naszymi potańcówkami”, no a teraz proszę, co się stało?

Dziecko przeżyło rok. A po jego śmierci Cissy zaczęła schnąć w oczach. Dwa lata temu doktor Marsh dawał jej tylko sześć miesięcy życia — oba płuca miała zajęte. Ale żyła do dzisiaj. Nikt jej nie odwiedzał, bo kobiety nie wchodziły do domu Ryczącego Abła. Pastor Bently poszedł raz, lecz ta okropna starucha szorująca w kuchni podłogę powiedziała mu, że Cissy nie chce nikogo widzieć. Stara kuzynka wkrótce zmarła. Potem Abel miał dwie czy trzy gospodynie — co jedna to gorsza, ale tylko takie godziły się przyjść do domu, w którym ktoś umierał na suchoty. Teraz odeszła kolejna i nie miał kto zaopiekować się Cissy ani zająć domem. Na to właśnie skarżył się Abel i potępiając deerwoodzkich „hipokrytów”, używał malowniczych i soczystych przekleństw, które wpadły w ucho przechodzącej przez hali kuzynce Stickles i o mało nie skróciły jej życia. Czy Valancy przysłuchiwała się i temu?

Valancy ledwie to zauważyła. Myślała o biednej, pohańbionej i samotnej Cissy Gay; chorej i bezradnej w wielkim starym domu przy drodze do Mistawis. I to wszystko w społeczności mieniącej się chrześcijańską, w roku pańskim tysiąc dziewięćset którymś tam!

— Czy to znaczy, że teraz Cissy jest sama, że nie ma nikogo kto mógłby się nią zająć?

— Och, ona może się trochę poruszać i zrobić sobie coś do jedzenia, jeśli musi. Ale nie jest w stanie pracować. To diabelnie ciężko dla człowieka, kiedy po dniu harówki wraca do

domu zmęczony i głodny wnusi gotować sobie posiłek. Czasami żałuję, że wykopałem starą Rachel Edward. Ale ona była straszna — powolna, ospała, ponura i brudna, diabelnie brudna! Wyrzuciłem ją, gdy zobaczyłem, jak pies włożył łapę do słoika z dżemem, a ona ją nad tym słoikiem otrząsnęła z syropu, spokojnie zakręciła słoik i odstawiła do spiżarni. Opowiadała później wszystkim, że jestem wariat, dlatego teraz nikt nie chce u mnie pracować.

— Ale Cissy musi mieć kogoś przy sobie — upierała się Valancy zainteresowana przede wszystkim tą kwestią. Nie obchodziło jej specjalnie, czy ktoś ugotuje Ablowi obiad czy nie, ale serce ją bolało z powodu biednej Cecylii Gay.

— Och, ona ma opiekę. Barney Snaith zawsze wstępuje, kiedy przejeżdża obok nas i spełnia wszystkie prośby Cissy. Przywozi jej pomarańcze, kwiaty i różne takie rzeczy. Oto prawdziwy chrześcijanin. A mimo to, ta banda świętoszków z kościoła St. Andrew przechodzi na drugą stronę ulicy na jego widok. Ich psy łatwiej dostaną się do nieba niż oni. A ten pastor! Gładki, jakby go kot oblizał!

— Jest dużo zacnych ludzi w obu kościołach — i St. George'a i St. Andrews — gotowych pomóc Cissy, gdyby pan zachowywał się jak należy — powiedziała surowo Valancy. — Boją się jednak zbliżyć do pańskiego domu.

— Bo jestem takim marnym, starym kundlem? Ale ja nie gryzę. Nie skrzywdziłem nikogo w życiu. I nikogo do siebie nie zapraszam. Nie chcę, żeby we wszystko wtykali nosy. Potrzebuję tylko gospodyni. Gdybym się co niedziela golił i chodził do kościoła, miałbym gospodyń do koloru do wyboru. Ale jaki to ma sens, jeśli i tak wszystko jest z góry człowiekowi przeznaczone? No, niech panienka powie?

— A tak jest?

— Jasne. I nic nie można na to poradzić. Chciałbym coś zmienić. Nie chcę iść na stałe ani do nieba, ani do piekła. Byłoby dobrze, gdyby człowiek mógł je wymieszać po połowie.

— A czy właśnie nie tak jest świat urządzony? — powiedziała z wolna Valancy, ale nie na teologii skupiały się jej myśli.

— Nie, nie — zahuczał Abel, uderzając z całej siły w jakiś uparty gwóźdź. — Tu jest za dużo piekła, zdecydowanie za dużo. To dlatego tak często zalewam robaka. Wtedy czuję się wolny, wolny od samego siebie i tak, właśnie tak — od swego przeznaczenia. Próbowала pani tego?

— Nie. Ja uwalniam się w inny sposób — odparła z roztargnieniem Valancy. — Ale jeśli chodzi o Cissy, ona musi mieć kogoś do opieki...

— Dlaczego się panienka przyczepiła do Cissy? Jakoś dotąd się panienka o nią nie martwiła. Nigdy panienka jej nie odwiedziła. A pamiętam, że ona panienkę lubiła.

— Powinam — zgodziła się Valancy. — Ale nie o to chodzi. Pan by mnie nie zrozumiał. Rzecz w tym, że pan musi mieć gospodynię.

— A skąd mam ją wziąć? Zapłacę przyzwoitą pensję, jeśli znajdę przyzwoitą kobietę. Myśli panienka, że chcę jakąś starą wiedźmę?

— Czy ja będę odpowiednia? — spytała Valancy.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Zachowajmy spokój — prosił stryj Benjamin. — Zachowajmy absolutny spokój. — Spokój! — zawołała pani Fryderykova załamując ręce. — Jak można zachować spokój po takiej kompromitacji?

— No to dlaczego pozwiliście jej tam pójść? — spytał stryj James.

— Pozwiliłyśmy!?! — zawołała kuzynka Stickles. — A kto ją mógł powstrzymać? Ona po prostu spakowała walizkę i dała ją Ryczącemu Ablowi, gdy pojechał do domu po kolacji. A potem zeszła na dół z torebką w ręku, ubrana w zielony kostium. Ogarnęło mnie straszne przeczucie. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale wiedziałam, że Doss ma zamiar zrobić coś okropnego.

— Szkoda, że nie miałaś tego przeczucia trochę wcześniej — wtrącił cierpko stryj Benjamin.

— Spytałam ją: „Dokąd idziesz Doss?” A ona na to: „Idę poszukać mego Błękitnego Zaniku”.

— Ciekaw jestem, czy to nie przekonałoby Marsha, że zwariowała — przerwał stryj James.

— Wtedy powiedziałam: „Co masz na myśli Valancy?” A ona: „Idę prowadzić dom Ryczącemu Ablowi i opiekować się Cissy. Abel będzie mi płacił trzydzieści dolarów miesięcznie”. — Mówię wam, aż się dziwię, że nie padłam martwa, jak to usłyszałam.

— Nie powinniście pozwolić jej tam pójść, nie powinniście wypuścić jej z domu. Trzeba było zamknąć drzwi na klucz, zrobić cokolwiek... — oburzył się stryj James.

— Ona stała przy frontowych drzwiach i nie macie pojęcia, jaka była zdeterminowana. Twarda jak skała. To najdziwniejsze ze wszystkiego, bo zawsze była taka grzeczna i posłuszna, a teraz... Ale ja i tak zrobiłam, co mogłam, aby ją zmusić do opamiętania. Mówiłam, że nie szanuje swej reputacji. Oświadczyłam z całą powagą: Doss, gdy reputacja kobiety zostaje zbrukana, nic nie zdoła jej oczyścić. Twoja opinia będzie zaszargana na zawsze, jeśli pójdziesz do Ryczącego Abła, opiekować się taką upadłą dziewczyną jak Cissy Gay. — A ona mi na to: „Cissy nie jest upadła i zła, ale nawet gdyby była, to nic mnie nie obchodzi.” — Tak, jej własne słowa: „Nic mnie nie obchodzi”.

— Zupełnie straciła poczucie przyzwoitości — wybuchnął stryj Benjamin.

— „Cissy Gay jest umierająca — powiedziała mi. — Wstyd i hańba, że umiera w chrześcijańskiej społeczności, a nikt nic dla niej nie chce zrobić. Kimkolwiek jest, jest ludzką istotą.”

— Cóż, gdy już o tym mowa, to zapewne tak jest — oświadczył stryj James tonem, jakby robił wspaniałomyślne ustępstwo.

— Spytałam też Doss, czy nie powinna zważać na zachowanie pozorów. A ona odparła: „Całe życie zachowywałam pozory. Teraz interesują mnie konkrety. Wypchajcie się pozorami!”

— „Wypchajcie się!” — rozumiecie?

— To bezczelność! — orzekł wstrząśnięty stryj Benjamin. — Bezczelność! — Okrzyk ten sprawił mu ogromną ulgę, ale nie zmienił sytuacji.

Pani Fryderykova płakała. Kuzynka Stickles kontynuowała relację przerywaną od czasu do czasu jękiem rozpacz.

— Powiedziałam jej, obie powiedziałyśmy, że Ryczący Abel z całą pewnością zabił swoją żonę w przystępie pijackiego szału i że ją też zabije. A ona tylko się roześmiała i powiada: „Nie boję się Ryczącego Abła. On mnie nie zabije. Na zaloty też jest już za stary, więc nie muszę się tego obawiać”. — Co ona miała na myśli? Co to są zaloty?

Pani Fryderykova spostrzegła, że musi przestać płakać, jeśli chce zachować kontrolę nad konwersacją.

— Zapytałam: Valancy, jeśli nie zważasz na swoją reputację i pozycję rodziny, to czy nie zależy ci choćby na moich uczuciach? — A ona odparła: „Wcale”. — Tak po prostu: Wcale.

— Ludzie obłąkani nie zważają na uczucia otoczenia — odezwał się stryj Benjamin. — To jeden z symptomów choroby.

— Wtedy się rozplakałam, a ona na to: „Przestań, mamó, bądź rozsądna. Idę przecież spełnić chrześcijański obowiązek. A jeśli chodzi

o ruinę mojej reputacji, to jakie ma znaczenie przy braku matrymonialnych szans?” — To powiedziawszy, wyszła z domu.

— Ostatnie słowa, jakie do niej skierowałam — oznajmiła z patosem kuzynka Stickles — brzmiały: Kto teraz będzie nacierał mi wieczorem plecy? — A ona odparła... nie, nie mogę tego powtórzyć.

— Bzdury — orzekł stryj Benjamin. — Powtórz. To nie pora na pruderię.

— Odpowiedziała — wyszeptała że zgrozą kuzynka Stickles: — Idź do diabła!

— Pomyślcie, że doczekałam chwili, gdy moja córka zakłęła! — zapłakała pani Fryderykova. — I co gorsze — dodała, szukając suchej chusteczki — że teraz wszyscy dowiedzą się, iż jest pomyłona. Dłużej nie utrzymamy tego w sekrecie. Och, ja tego nie przeżyję!

— Powinnaś być dla niej surowa, gdy była młodsza — zauważył z naganą w głosie stryj Benjamin.

— Nie wiem, jak miałabym to zrobić — odparła pani Fryderykova, zresztą zgodnie z prawdą.

— Najgorsze, że ten hultaj Snaith ciągle kręci się koło domu Ryczącego Abła — zauważył stryj James. — Będę szczęśliwy, jeśli nic gorszego niż parę tygodni u Ryczącego Abła nie wyniknie z tego szalonego kroku. Cissy Gay nie może przecież żyć dłużej.

— Nawet nie wzięła ze sobą flanelowej halki — lamentowała kuzynka Stickles.

— Jutro porozmawiam o tym z Marshem — zakomunikował stryj Benjamin, myśląc o Valancy, a nie o flanelowej halce.

— Ja zaś zobaczę się z mecenasem Fergusonem — oznajmił stryj James.

— Tymczasem zaś — dodał stryj Benjamin — zachowajmy spokój.

\* \* \*

Valancy szła do znajdującego się przy drodze do Mistawis domu Ryczącego Abła, ciesząc się widokiem nieba w kolorach bursztynu i fioleto, z uczuciem lekkości i oczekiwania. Bez żalu zostawiła matkę i kuzynkę Stickles opłakujące przede wszystkim siebie. Tutaj wiatr delikatnie muskał jej twarz i poruszał wysoką trawę na obrzeżach drogi. Och, jakże kochała ten wiatr! Rudziki sennie pogwizdywały w wysokich sosnach, a wilgotne powietrze pachniało balsamicznie. Samochody warcząc mijały ją w fioletowym zmierzchu, najazd letników na Muskoka już się rozpoczął, ale Valancy im nie zazdrościła. Chatki w Muskoka mogły być urokliwe, lecz za purpurowym w zachodzącym słońcu horyzontem wznosił się Błękitny Zamek. Jednym gestem odsunęła od siebie przeszłość, nawyki i kompleksy jak martwe liście. Teraz nie pozwoli się nimi zasypać.

Obszerny, pochylony ze starości dom Ryczącego Abła położony był około trzech mil od Deerwood. Na samym skraju „pustkowiec”, jak w potocznym języku nazywano słabo zaludnioną, pagórkowatą i zalesioną okolicę wokół jeziora Mistawis. Trzeba szczerze przyznać, że nie przypominał Błękitnego Zamku. W czasach, gdy Abel był młodszy i dobrze mu się wiodło, dom był porządny i wygodny, a szyld z napisem „A.Gay — cieśla”

umieszczony nad bramą, starannie pomalowany. Dzisiaj jednak była to zaniedbana, posępna rudera z połatanym dachem i krzywo wiszącymi okiennicami. Można by przypuszczać, że Abel nigdy nie wykonywał ciesielskich robót we własnym domu, który wydawał się senny, jakby zmęczony życiem. Na jego tyłach rósł rzadki, świerkowy lassek. Ogród, który dawniej Cissy starannie pielęgnowała, zdziczał. Po obu stronach budynku ciągnęły się poją porośnięte wyłącznie dziewanną. Dalej leżał spory kawał nieużytków, gdzie rosły niskopienne krzewy dzikiej wiśni i jodełki. Ugory dochodziły aż do pasma lasów, otaczających brzegi jeziora Mistawis. Do jeziora prowadziła przez las wyboista, usłana kamieniami ścieżka.

Ryczący Abel spotkał Valancy na progu domu. — A więc jednak panienka przysła — powiedział z niedowierzaniem. — Nie przypuszczałem, że ten gang Stirlingów panienkę wypuści.

Valancy pokazała w uśmiechu białe zęby. — Nie mogli mnie zatrzymać.

— Nie myślałem, że ma panienka tyle odwagi — oświadczył z uznaniem Ryczący Abel. — A do tego jakie zgrabne nóżki — dodał, odsuwając się na bok, by ją wpuścić do domu.

Gdyby słyszała to kuzynka Stickles, byłaby pewna, że los Valancy — doczesny i pozagrobowy — został przypieczętowany. Nadzwyczajna galanteria Abła jednak nie zaniepokoiła Valancy. Poza tym był to pierwszy, jaki usłyszała w życiu komplement i spodobał się jej. Już wcześniej podejrzewała, że ma ładne nogi, ale nikt o tym nie wspominał. W klanie Stirlingów o nogach nie rozmawiano.

Ryczący Abel wprowadził ją do kuchni, gdzie na kozetce leżała Cissy. Szybko i ciężko oddychała. Na policzkach miała silne, niezdrowe rumieńce. Valancy nie widziała jej od lat. Wtedy było to śliczne stworzenie; dziewczyna jak kwiat o miękkich, złocistych włosach, delikatnych rysach i wielkich, pięknych oczach. Teraz zmiana zaszła w Cissy wstrząsnęła nią. Czy ta żalosna istota to dawna Cissy Gay? Kontrast między rzeczywistością a wspomnieniem był tak widoczny, że w oczach Valancy pojawiły się łzy. Uklękła przy Cissy i objęła ją mocno. — Moja droga Cissy, przyszedłem, żeby się tobą opiekować. Zostanę tu dopóki, dopóki... tak długo, jak zechcesz.

— Och! — Chude ramiona Cissy oplotły szyję Valancy. — Naprawdę? Taka się czułam samotna. Mogę coś zrobić koło siebie, ale ta samotność... To będzie jak... w niebie, gdy zamieszkasz ze mną. Zawsze byłeś dla mnie dobra.

Valancy tuliła Cissy do siebie i czuła się szczęśliwa. Oto jest ktoś, kto jej potrzebuje, ktoś komu może pomagać. Nareszcie przestała być zbędna. Przeszłość odchodziła w cień, wszystko było nowe.

— Większość zdarzeń jest z góry przewidziana, a zaledwie parę z nich to wyłącznie szczęśliwy przypadek — powiedział Ryczący Abel, pykając fajkę w kącie kuchni.

\* \* \*

Po tygodniu przebywania u Ryczącego Abła Valancy czuła się tak, jakby lata dzieliły ją od dawnego życia i ludzi, których kiedyś znała. Zaczynali wydawać się jej dalecy jak postacie ze snu. Z czasem oddalali się coraz bardziej, aż wreszcie zupełnie przestali coś dla niej znaczyć.

Była szczęśliwa. Nikt nie dokuczał jej zagadkami i kalamburami, nie zmuszał do łykania Czerwonych Pigulek. Nikt nie nazywał jej Doss i nie martwił się jej przeziębieniami. Nie było tu kap do zszywania, okropnych pelargonii do podlewania, matczyńskich kaprysów i fochów, które należało znosić. Mogła być sama, kiedy tylko chciała. Kłaść się do łóżka i kichać. Podczas długich, nudnawych zmierzchów, gdy Cissy spała, a Abła nie było w domu, siadywała na schodkach kuchennej werandy, spoglądając na majaczące w oddali, porośnięte bujną zielenią wzgórze. Przysłuchiwała się melodiom wygrywanym przez wiatr i upajała



słodkim aromatem traw. Siedziała tak, dopóki wieczorna ciemność nie otuliła wszystkiego dokoła.

Czasami, po południu, gdy Cissy czuła się lepiej, szły obie na ugory w poszukiwaniu leśnych kwiatów. Ale ich nie zrywały. Valancy odczytała kiedyś Cissy ewangelię Johna Fostera, głosząca: „Szkoda zrywać leśne kwiaty. Zabrane ze swego naturalnego środowiska tracą połowę piękna i czaru. Cieszyć się nimi należy inaczej: szukając i znajdując w oddalonych zakątkach, napawając wzrok ich widokiem i pozostawiać je nietknięte. Ze sobą zabieramy tylko wspomnienie ich uroku i zapachów”. Teraz, po latach przebywania pod kloszem Valancy znalazła prawdziwe życie. Miała niezmiernie dużo zajęć. Dom wymagał gruntownego sprzątnięcia. Nie na darmo przecież wpojono jej stirlingowski nawyk do czystości. Jeśli sprawiało jej satysfakcję zamiatanie brudnych pokojów, to teraz miała tego pod dostatkiem. Ryczący Abel uważał za głupotę robienie czegoś więcej, niż było konieczne, ale nie wtrącał się. Był zadowolony ze swego nabytku. Valancy dobrze gotowała; uważał, że umie doprawiać potrawy jak należy. Jediną jej wadę stanowiło jego zdaniem to, że nie śpiewała przy pracy.

— Ludzie powinni zawsze śpiewać przy pracy — powtarzał z uporem.

— Wtedy jest weselej.

— Nie zawsze — oponowała Valancy. — Niech pan sobie wyobrazi rzeźnika śpiewającego przy pracy. Albo grabarza.

— Nie można panienki przegadać. Na wszystko ma panienka odpowiedź. Myślę, że Stirlingowie są radzi, że się panienki pozbyli. Oni nie lubią, jak się z nimi ktoś nie zgadza.

W ciągu dnia Abel zazwyczaj przebywał poza domem. Jeśli nie pracował, to polował lub łowił ryby z Barneyem Snaithem. Wracał wieczorem, zawsze bardzo późno i najczęściej pijany. Gdy pierwszego wieczoru usłyszały na podwórzu głośny śpiew, Cissy uspokoiła Valancy: — Ojciec tylko hałasuje — wyjaśniła.

Valancy, leżąc na kanapie w pokoju Cissy na wypadek, gdyby ta czegoś potrzebowała w nocy, wcale nie czuła strachu. Abel po wyprzęgnięciu konia przeszedł ze stadium hałaśliwości w nabożność i w pokoju po drugiej stronie domu modlił się, szlochając. Zасыpiając, ciągle jeszcze słyszała dochodzące z oddali pojękiwanie. Zwykle Abel zachowywał się spokojnie i pogodnie, ale od czasu do czasu miewał napady złego humoru. Któregoś dnia Valancy zagadnęła go chłodno:

— Jaki sens ma wpadanie we wściekłość?

— To taka diabelna ulga — odpowiedział.

Po czym oboje równocześnie wybuchnęli śmiechem.

— Fajna z panienki dziewczyna — powiedział Abel z uznaniem. — Nie zwraca panienka uwagi na mój niewyparzony jęzor. Ja nie mam nic złego na myśli, to tylko przyzwyczajenie. Lubię kobiety, które nie boją się do mnie odezwać. Cissy zawsze była, jakby to powiedzieć... trochę za łagodna. To pewnie dlatego się rozeszłyście. Bardzo lubię panienkę...

— Jednakże — kontynuowała z uporem Valancy — nie ma sensu ciągle przywoływać diabła i posyłać wszystko do piekła. Poza tym nie mam zamiaru jeszcze raz myć świeżo wyszorowanej podłogi. Musi pan wycierać buty o wycieraczkę, nawet jeśli się to panu nie podoba.

Cissy upajała się panującym w domu porządkiem i czystością. Ona też dbała o schludność otoczenia, dopóki starczało jej sił. Teraz czuła się bezgranicznie szczęśliwa, mając przy sobie Valancy. Wzdrygała się na wspomnienie długich, samotnych dni i nocy, gdy nie widywała nikogo prócz niemiłych, starych kobiet.

Nie było wątpliwości, co do tego, że Cissy umiera. A przy tym wcale nie wyglądała na ciężko chorą; nawet rzadko kasłała. Prawie co dzień mogła wstać i ubrać się, czasem zrobiła coś w ogrodzie. Przez pierwsze tygodnie po przybyciu Valancy wyglądała na tyle lepiej, że ta zaczęła mieć nadzieję na jej wyzdrowienie. Cissy jednak przecząco potrząsnęła głową.

— Nie, ja już nie wyzdrowieję. Prawie nie mam płuc. Zresztą nie chcę. Jestem taka zmęczona. Śmierć jest dla mnie wybawieniem. Lecz bardzo się cieszę, że jesteś tutaj, Valancy. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy. Ale za ciężko pracujesz. Nie musisz tego wszystkiego robić. Ojciec chce mieć jedynie przygotowany posiłek. Myślę, że nie jesteś zbyt silna, czasem bardzo bledniesz. I te krople, które zażywasz... Czy jesteś zupełnie zdrowa, kochanie?

— Nic mi nie jest — odparła beztrąsko Valancy. Za nic nie chciała niepokoić Cissy. — Wcale tak ciężko nie pracuję. Jestem zadowolona, że mam jakieś zajęcia i robię coś, co rzeczywiście powinno być zrobione.

— W takim razie — tu Cissy ujęła dłoń Valancy — nie mówmy więcej o mojej chorobie. Zapomnijmy o niej. Udawajmy, że znowu jestem małą dziewczynką, a ty przysłaś się ze mną pobawić. Dawniej bardzo tego pragnęłam. Ale wiedziałam, że nie możesz przyjść. Zawsze byłaś inna niż pozostałe dziewczęta — życzliwa, łagodna... jakbyś miała jakiś sekret, coś ukrytego w sobie. Czy tak było, Valancy?

— Miałam Błękitny Zamek — odparła Valancy, uśmiechając się słabo. Cieszyło ją, że Cissy tak właśnie o niej myślała. Nigdy nie podejrzewała, że ktoś mógł ją podziwiać, myśleć o niej, czy po prostu lubić. Teraz opowiedziała Cissy o Błękitnym Zamku. O nim też nikomu przedtem nie mówiła.

— Sądzę, że każdy ma jakiś Błękitny Zamek — rzekła półgłosem Cissy. — Tylko każdy go po swojemu nazywa. Ja też miałam go kiedyś.

Ukryła twarz w dłoniach. Nie powiedziała jednak, kto zniszczył jej Błękitny Zamek. Valancy mimo to wiedziała, że z pewnością nie był to Barney Snaith.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Valancy poznała już Barneya i to całkiem nieźle, choć rozmawiała z nim zaledwie kilka razy. Ale od pierwszego spotkania miała wrażenie, że zna go doskonale. Kiedyś o zmierzchu szukała w ogrodzie białych narcyzów do pokoju Cissy, gdy usłyszała straszliwy warkot nadjeżdżającego od strony Mistawis starego Grey Slossona. Ten samochód było słyhać z odległości kilku mil. Nie podniosła wzroku, gdy zbliżył się do domu, podskakując na wybojach. Nigdy nie patrzyła w jego stronę, choć odkąd zamieszkała u Ryczącego Abła, Barney przejeżdżał tędy każdego wieczoru. Tym razem warkot nie oddalił się. Stary gruchot zatrzymał się z hałasem większym niż w czasie jazdy. Valancy wiedziała, że Barney wyskoczył z wozu i oparł się o przekrzywioną furtkę. Nagle wyprostowała się i spojrzała... wprost w jego twarz. Spotkali się wzrokiem, a wówczas Valancy poczuła, że ogarnia ją błogość. Czyżby nadchodził kolejny atak? Ale to byłby nowy symptom.

Jego oczy, o których zawsze myślała, że są piwne, teraz wydawały się fiołkowe, głębokie i przezrocyste. Był bardzo szczupły, wręcz chudy. Zapragnęła móc go trochę podkarmić, przyszyć guziki do marynarki, nakazać podciąć włosy i golić się każdego dnia. W jego twarzy było coś trudnego do określenia. Zmęczenie? Smutek? Rozczarowanie? Gdy się uśmiechał, w zapadniętych policzkach pojawiały się dołeczki. To wszystko uświadomiła sobie błyskawicznie Valancy, gdy tylko spojrzeli sobie w oczy.

— Dobry wieczór, panno Stirling.

Nie mogło być nic bardziej zwyczajnego i konwencjonalnego. Każdy mógł to powiedzieć. Ale Barney Snaith umiał nadawać słowom szczególne znaczenie. Kiedy mówił „dobry wieczór”, odnosiło się wrażenie, że wieczór jest dobry i że w części jest to także jego zasługą. Jednocześnie miało się przeświadczenie, iż część zasługi należy do ciebie. Valancy wyczuwała to wszystko, choć niezbyt jasno i nie mogła pojąć, dlaczego drży od stóp do głowy. To z pewnością jej serce! Oby tylko tego nie zauważył!

— Jadę do Port Lawrence — powiedział Barney. — Czy mogę być w czymś pomocny? Coś zrobić, albo kupić dla pani lub Cissy?

— Mógłby nam pan kupić sztokfisz? — spytała Valancy. To jedno tylko przyszło jej na myśl. Ryczący Abel wyraził życzenie, by na obiad był gotowany sztokfisz. Gdy w Błękitnym Zamku pojawiali się rycerze, wysyłała ich z licznymi poleceniami, lecz nigdy nie prosiła żadnego z nich o przywiezienie suszonego dorsza...

— Z przyjemnością. I to wszystko? W mojej Lady Jane jest dużo miejsca.

— Nie, nie trzeba mi nic więcej — odparła Valancy. Wiedziała, że i tak przywiezie Cissy pomarańcze. Zawsze to robił.

Barney nie od razu odszedł od furtki. Przez chwilę milczał, a potem powiedział powoli i z namysłem. — Wspaniała z pani dziewczyna, panno Stirling. Przyjść tu i pielęgnować Cissy... w takich okolicznościach... to nie byle co.

— Nie ma w tym nic nadzwyczajnego — odrzekła Valancy. — Nie miałam nic do roboty. Poza tym... podoba mi się tutaj. I nie mam wrażenia, że robię coś szczególnego. Pan Gay płaci mi pensję, a ja nigdy przedtem nie zarabiałam pieniędzy. To też mi się podoba. — Rozmowa z Barneyem Snaithem okazała się zupełnie łatwa; z tym straszliwym Snaithem, bohaterem ponurych opowieści, osobnikiem o ciemnej przeszłości.

— Za żadne pieniądze nie kupi się tego, co pani robi dla Cissy — powiedział Barney. — To wspaniałe, szlachetne z pani strony. Gdybym mógł w czymś pomóc, to wystarczy powiedzieć. Jeżeli Ryczący Abel kiedykolwiek sprawi pani kłopot...

— Nic takiego się nie dzieje. Jest dla mnie bardzo miły. Lubię Ryczącego Abła — szczerze wyznała Valancy.

— Ja również. Lecz są takie etapy jego pijaństwa... może jeszcze pani nie słyszała, jak śpiewa sprośne piosenki...

— Ależ tak. Właśnie w takim stanie wrócił wczoraj do domu. Obie z Cissy poszłyśmy do naszego pokoju i zamknęłyśmy drzwi, żeby go nie słyszeć. Przepraszał nas dzisiaj rano. Nie boję się Ryczącego Abła na żadnym z jego „etapów”.

— Doskonale. Jestem pewien, że będzie się zachowywał jak należy, z wyjątkiem chwil gdy jest pijany. Już mu mówiłem, aby przestał wyczyniać te swoje brewerie teraz, gdy pani tu przebywa.

— Ale dlaczego? — zapytała nieśmiało Valancy, zerkając po swoim z ukosa i zarumieniła się na myśl, że Barney Snaith już tyle dla niej zrobił. — Ja sama często mam ochotę poprzeklinać.

Przez chwilę Barney patrzył na nią w milczeniu. Czy ten subtelny elf, to ta sama osoba o wyglądzie starej panny, która rozmawiała z nim przed chwilą? Czyżby ten stary, zaniedbany ogród posiadał jakieś ukryte, magiczne moce? Roześmiał się. — Niech Abel robi to za panią. Czy naprawdę oprócz ryby nic pani nie potrzebuje?

— Nie dzisiaj. Ale chcę uprzedzić, że często będę miała różne zlecenia, gdy będzie pan jechał do Port Lawrence. Nie ufam panu Gay, że nie zapomni kupić potrzebne w domu rzeczy.

Barney oddalił się swą Lady Jane, a Valancy jeszcze długo pozostała w ogrodzie.

Od tamtej pory wstępował kilkakrotnie. Przychodził spacerem przez ugory, pogwizdując. Jak daleko niósł się ten gwizd pomiędzy świerkami w czerwcowe zierzchy! Valancy przyłapała się na tym, że nadśłuchuje go każdego wieczoru. Zganiła się najpierw za to, a potem pozwoliła sobie na słuchanie bez przeszkód. Ostatecznie, dlaczego nie miałyby słuchać jego pogwizdywania?

Barney zawsze przynosił Cissy owoce i kwiaty. Raz przyniósł Valancy pudełko czekoladek — jej pierwszą w życiu bombonierkę. Zjedzenie słodczy wydawało się świętokradztwem.

Przyłapała się na tym, że często o nim rozmyśla. Chciała wiedzieć, czy i on myśli o niej wtedy, gdy go tu nie ma, a jeśli tak, to co. Pragnęła zobaczyć jego tajemniczą chatkę gdzieś tam na jeziorze Mistawis. Cissy jej nigdy nie widziała. Cissy, choć chętnie i często mówiła o Barneyu i знаła go od pięciu lat, tak naprawdę wiedziała o nim niewiele więcej od Valancy.

— Lecz on nie jest zły — twierdziła Cissy. — Nikt nie przekona mnie, że jest zły. On nie mógłby zrobić czegoś, czego należałoby się wstydzić.

— Dlaczego więc żyje, tak jak żyje? — pytała Valancy tylko po to, by usłyszeć, jak go ktoś broni.

— Nie wiem. Jest tajemniczy i coś z pewnością ukrywa. Ale wiem, że nic hańbiącego. Barney nie mógłby popełnić haniebnego czynu.

Valancy nie miała takiej pewności. Barney musiał kiedyś coś zrobić. Był człowiekiem wykształconym i inteligentnym. Dostrzegła to bardzo prędko, przysłuchując się jego rozmowom i sprzeczkom z Ryczącym Ablem, który okazał się zdumiewająco odcytany i potrafił dyskutować na każdy temat... Kiedy był trzeźwy. Taki człowiek nie zechciałby zakopać się na pięć lat w Muskoka, żyć i wyglądać jak włóczęga, gdyby nie miał ku temu dobrych, czy złych powodów. Ale to nie miało znaczenia. Ważne było to, że nie był kochankiem Cissy Gay. Między nimi nie było nic takiego. Choć lubił Cissy a ona jego, czego zresztą nie ukrywali. Ich przywiązanie i sympatia nie niepokoiły jej.

— Nie wiesz, kim był Barney dla mnie przez te ostatnie dwa lata — wyznała kiedyś szczerze Cissy. — Bez niego wszystko byłoby nie do zniesienia.

— Cissy Gay jest najmilszą dziewczyną, jaką znam. A gdzieś jest mężczyzna, którego chętnie bym zastrzelił, gdybym go znalazł — powiedział szorstko Barney.

Barney był doskonałym gawędziarzem. Umiał opowiadać wiele o swoich przygodach i mało o sobie. Któregoś deszczowego dnia obaj z Ablem opowiadali na przemian rozmaite historie, podczas gdy Valancy cerowała obrusy i słuchała w milczeniu. Barney mówił o swych przeżyciach w pociągach, gdy jako włóczęga przemierzał kontynent. Valancy pomyślała, że powinna być oburzona, gdyż oszukiwał konduktorów, ale nie była. Opowieść o tym jak na statku płynącym do Anglii pracował przy bydle by opłacić przejazd, była już bardziej „legalna”. Albo opowieści o Yukonie... Szczególnie rozpałała jej wyobraźnię ta, w której zabłądził w nocy na wzniesieniu między Gold Run a Sulphur Valley. Spędził na Północy dwa lata. Gdzie między tym wszystkim było miejsce i czas na więzienie i inne przypisywane mu przewinienia?

— Nie znalazłem złota — powiedział. — Wróciłem z Yukonu biedniejszy, niż pojechałem. Ale co to za miejsce! Ta cisza północy i wiatr opętały mnie. Od tej pory już nie należałem do siebie.

A przy tym wszystkim nie był gadatliwy. Mógł powiedzieć wiele w kilku odpowiednio dobranych słowach. Miał też rzadki dar mówienia o czymś, milcząc.

— Lubię mężczyzn, których oczy mówią więcej niż usta — myślała.

Lecz gdy o niego chodziło, to podobało jej się wszystko. Jasne włosy, kapryśne uśmiechy, krótkie błyski rozbawienia w oczach, przywiązanie do pogruchotanej Lady Jane, zwyczaj siedzenia z rękami w kieszeniach, podbródek oparty na piersi i spojrzenie spod niejednakowych brwi. Lubiła jego przyjemny głos, w którym dźwięczały pieszczotliwe nuty. Chwilami wprost bała się takich myśli. Były tak żywe i intensywne, że przypuszczała, iż otoczenie musi je odgadywać.

— Cały dzień obserwowałem dzięcioła — oznajmił któregoś wieczoru, siadając na chybotliwej kuchennej werandzie. Sprawozdanie z obserwacji dzięcioła okazało się bardzo ciekawe. Często też miał w zanadru jakąś wesołą anegdotę o mieszkańcach lasu. Niekiedy zaś obaj z Ablem cały wieczór w milczeniu palili fajki, podczas gdy Cissy leżała w hamaku, a Valancy beczynn timer siedziała na schodkach, obejmując rękami kolana. Zastanawiała się, czy Valancy Stirling to naprawdę ona, i że minęły dopiero trzy tygodnie, odkąd opuściła brzydki, stary dom przy Elm Street.

Przed nią leżało skąpane w blasku księżycy pasmo ugorów i biegał po nim przynajmniej tuzin dzikich królików. Barney, gdy miał na to ochotę, wabił króliki jakimiś sobie tylko znanymi magicznymi sztuczkami. Raz Valancy widziała, jak z sosnowego pnia skoczyła mu na ramię wiewiórka i siedziała tam, z ożywieniem popiskując coś do ucha. To przypomniało jej Johna Fostera.

Jedną z radości nowego życia Valancy było to, że mogła czytać książki Fostera, kiedy tylko chciała. Przeczytała je wszystkie Cissy, która się nimi zachwyciła. Próbowwała czytać je również Ablowi i Barneyowi, ale nic z tego nie wyszło. Abla nudziły, a Barney grzeczenie lecz stanowczo odmówił słuchania. — Dyrzymałki — powiedział.

\* \* \*

Nie należy przypuszczać, że Stirlingowie zostawili rodzinną dziwaczkę własnemu losowi, lub że powstrzymali się od heroicznego próbu ocalenia jej nieszczęsnej duszy i reputacji.

Stryj James, któremu adwokat pomógł w tej sprawie równie mało co doktor, zjawił się sam pewnego dnia i zastał Valancy w kuchni. Wygłosił wstrząsającą przemowę, oskarżając ją, że łamie matce serce i przynosi wstyd rodzinie.

— Ale dlaczego? — spytała Valancy, nie przestając szorować garnka po owsiance. — Wykonuję uczciwą pracę za uczciwą zapłatę. Co w tym wstydlwego?

— Nie wykręcaj się Valancy — odrzekł dostojnie stryj James. — To nie jest odpowiednie miejsce dla ciebie i dobrze o tym wiesz. Mówiono mi, że ten kryminalista Snaith kręci się tu każdego wieczoru.

— Nie każdego — odparła z namysłem Valancy. — Nie, na pewno nie każdego wieczoru.

— To... to jest nie do zniesienia! — wybuchnął stryj. — Valancy, musisz wrócić do domu. Zapewniam, że nie osądzimy cię surowo. Postaramy się o tym zapomnieć.

— Dziękuję — odrzekła Valancy.

— Czy nie masz rozsądku ani wstydu? — grzmiał stryj.

— Ależ tak. Tylko to, czego ja się wstydzę, to nie to samo, czego wy się wstydzicie. — Powiedziawszy to, Valancy zaczęła skrupulatnie płukać garnek.

Stryj James ciągle jeszcze był cierpliwy. Mocno ścisnął oparcie krzesła i zazgrzytał zębami. — Wiemy, że nie jesteś przy zdrowych zmysłach i bierzemy to pod uwagę, ale musisz wrócić do domu. Nie możesz pozostawać pod jednym dachem z tym pijanym, grzesznym, starym łajdakiem...

— Czy przypadkiem nie o mnie chodzi, panie Stirling? — zapytał Ryczący Abel, wynurzając się zza drzwi werandy, na której siedział paląc fajkę i wysłuchując z wielką przyjemnością tyrady „starego Jima Stirlinga”. Teraz ruda broda najeżyła się z oburzenia, a krzaczaste brwi drżały. Ale tchórzostwo nie należało do wad Jamesa Stirlinga.

— Dokładnie tak. Ponadto chcę powiedzieć, że odegrałeś niegodziwą rolę, wywabiając tę niedoświadczoną i nieszczęsną dziewczynę z rodzinnego domu. Za to każę cię ukarać...

James Stirling nie skończył zdania. Ryczący Abel jednym susem przebył dzielącą ich przestrzeń, chwycił go za kołnierz i spodnie, po czym wypchnął przez drzwi i ogród bez widocznego wysiłku, jakby usuwał z drogi nieznośnego kodaka.

— Kiedy przyjdiesz tu następnym razem — ryknął — wyrzucę cię przez okno, a jeszcze lepiej przez zamknięte okno! Przyłazi tu i myśli, że jest Panem Bogiem. Ważny mi naprawiacz świata!

Valancy szczerze i bez zakłopotania przyznała w duszy, że trzepoczące nad grządkami poły surduta stryja Jamesa były widokiem wyjątkowo godnym uwagi. Pomyśleć, że kiedyś tak się obawiała jego opinii i sądów. Teraz zobaczyła wyraźnie, że jest on tylko zadufanym w sobie, małomiasteczkowym, nadętym bożkiem.

Ryczący Abel odwrócił się i wybuchnął głośnym śmiechem. — Będzie pamiętał o tym, budząc się w nocy, przez długie lata. Wszechmogący popełnił błąd, stwarzając tylu Stirlingów. Ale skoro już istnieją, to trzeba się jakoś przyzwyczaić. Za dużo ich do odstrzału. Lecz jeśli będą cię tu nachodzić, rozprawię się z nimi w jednej chwili.

Następnym razem rodzina przysłała pastora Stallinga. Jego przecież Ryczący Abel nie wyrzuci za drzwi. Pastor nie miał tej pewności, ani szczególnej ochoty na wizytę. Nie wierzył też, by Valancy zwariowała. Zawsze była trochę dziwna, a teraz jej stan bardziej się uwidocznił. Poza tym pastor Stalling nie lubił Ryczącego Abła. Kiedy przybył do Deerwood, jego pasją były piesze wyprawy w okolice Mistawis i Muskoka. Podczas jednej z nich zgubił się w lesie i po długim błędzeniu natknął się na Ryczącego Abła ze strzelbą na ramieniu.

Pastorowi udało się sformułować pytanie w sposób najbardziej idiotyczny z możliwych. Spytał mianowicie: „Może mi pan powiedzieć, dokąd idę?”

— A skąd u licha, gapo, miałbym niby to wiedzieć? — odpalił pogardliwie Abel.

Pastor tak się rozniewał, że zaniemówił, a Abel tymczasem zniknął wśród drzew. W końcu pastor jakoś znalazł drogę do domu, lecz odtąd unikał spotkań z Ablem.

Teraz jednak uznał za konieczne spełnić swój obowiązek. Valancy przywitała go ze ściśniętym sercem. Pastor do dziś napawał ją lękiem. Miała wrażenie, że jeśli pokiwa długim, kościstym palcem i każe jej wrócić do domu, to nie odważy się sprzeciwić.

— Panie Gay — powiedział pastor uprzejmie choć wyniośle — czy mógłbym chwilę porozmawiać z panną Stirling na osobności?

Ryczący Abel był trochę podпиты. Na tyle, aby stać się wyjątkowo uprzejmym i przebiegłym. Gdy pastor zjawił się, był gotów do wyjścia, ale teraz założywszy ręce, usiadł w kącie bawialni.

— Nie, proszę pana, o nie — odparł z powagą. — To nie wypada, to absolutnie niemożliwe. Muszę dbać o reputację mego domu. Muszę też opiekować się tą młodą damą. Nie mogę pozwolić na żadne tam pogaduszki i zaloty za moimi plecami.

Oburzony pastor Stalling wyglądał tak groźnie, że Valancy zdziwiła się, jak Abel jest w stanie znieść ten widok. Ale na Ablu nie zrobiło to żadnego wrażenia. — A pan w ogóle coś o tym wie? — zapytał grzecznie.

— Wiem o czym?

— O zalotach — odparł spokojnie Abel.

Pastor Stalling pozostawał kawalerem, gdyż uznawał konieczność celibatu u duchownych. Udał, że nie słyszy rubasznej uwagi. Odwrócił się plecami do Abła i powiedział do Valancy:

— Panno Stirling, jestem tu na prośbę pani matki. Błagała mnie, bym przyszedł. Mam przekazać pani jej słowa. Czy zechce pani — tu pokijał palcem — mnie wysłuchać?

— Tak — rzekła słabym głosem Valancy, wpatrując się, jak zahipnotyzowana w palec pastora.

— Po pierwsze. Jeśli opuści pani to... to...

— Dom — wtrącił Ryczący Abel. — Dom. Czy pan się zaczął jąkać pastorze?

— ... to miejsce i wróci do rodzinnego domu, pan James Stirling wynajmie i opłaci dobrą pielęgniarkę do opieki nad panną Gay.

Mimo lęku Valancy uśmiechnęła się w duchu. Stryj James musi uważać tę sprawę za bardzo ważną, skoro zdecydował się sypnąć groszem. W każdym razie klan już jej nie ignoruje. Stała się dla nich kimś.

— To już jest moja sprawa, pastorze — wtrącił Abel. — Panna Stirling może odejść lub zostać. Mam z nią uczciwą umowę i ona zadecyduje, co zrobi. Panna Stirling dobrze mnie karmi, nigdy nie trzaska drzwiami i nie odzywa się, gdy nie ma nic do powiedzenia. To, jak pan wie, rzecz w kobiecie niezwykła. Ja tam jestem z niej zadowolony. Jeśli ona nie, to może odejść. Ale nie przyjdzie tu żadna kobieta opłacona przez Jima Stirlinga. A gdy się zjawi — głos Abła pozostał niezwykle równy i spokojny — to daję słowo, wywalę ją stąd na łeb na szyję. Powiedz mu pan to ode mnie.

— Pastorze, nie pielęgniarki potrzebuje Cissy — powiedziała przejęta Valancy. — Nie jest jeszcze aż tak chora. Jej potrzeba towarzystwa kogoś bliskiego. Pan to zrozumie, na pewno.

— Rozumiem, że pani motywy są, hm, godne pochwały... — pastor Stalling czuł się bardzo tolerancyjny, zwłaszcza, że w głębi duszy motywów postępowania Valancy za takie nie uważał. Nie miał najmniejszego pojęcia, o co jej chodzi, ale sądził, że nie ma w tym nic godnego pochwały. A kiedy pastor czegoś nie rozumiał, to potępiał to bez pardonu.

— Najważniejszym pani obowiązkiem jest matka. Ona panią potrzebuje i błaga o powrót do domu. Matka wybaczy pani wszystko, jeśli tylko pani wróci.

— Jak to ładnie i miło z jej strony — zauważył wolno Abel, wciskając tytoń do fajki.

Pastor Stalling zignorował go. — Ona panią prosi, a ja, panno Stirling, nakazuję. Jako opiekun duchowy, nakazuję pani powrót do domu, razem ze mną, zaraz. Proszę wziąć płaszcz, kapelusz i wychodzimy.

Valancy była bliska okazania pastorowi posłuszeństwa. Wróci z nim do domu — i podda się. Znowu stanie się Doss Stirling i ostatnie miesiące przeżyje jako pokorne i nikomu niepotrzebne stworzenie. Taki już jej los wyznaczony tym podniesionym w górę palcem. Nie umknie mu tak samo, jak Ryczący Abel swemu przeznaczeniu. Patrzyła nań teraz jak ptak na węża. Jeszcze chwila... — Strach, to grzech pierworodny — odezwał się w niej słaby głos. — Prawie całe zło świata wywodzi się z faktu, że ktoś się czegoś boi.

Valancy wstała. Ciągle jeszcze znajdowała się we władzy strachu, ale jej dusza należała tylko do niej. Nie będzie walczyć z wewnętrznym głosem. — Pastorze Stalling — powiedziała powoli. — W tej chwili nie mam żadnych obowiązków wobec mej matki. Jest zdrowa i ma towarzystwo, jakiego potrzebuje. Nie jestem jej potrzebna. Ale jestem potrzebna tutaj. Dlatego tu zostanę.

— To rozumiem! — wyraził swoje uznanie Abel.

Pastor Stalling opuścił palec. Nie można przecież kiwać palcem bez ustanku. — Panno Stirling, czy nic nie jest w stanie pani przekonać? Pamięta pani swoje dzieciństwo...

— Doskonale. I nienawidzę go.

— Zdaje sobie pani sprawę z tego, co powiedzą ludzie? Co już mówią?

— Mogę sobie wyobrazić — odparła Valancy, wruszając ramionami. Nagle poczuła się całkowicie wolna od strachu. — Nie na darmo przez dwadzieścia lat przysłuchiwałam się plotkom na rozmaitych spotkaniach i herbatkach. Lecz zapewniam pana, pastorze, że to, co mówią, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

Zgorszony pastor Stalling poszedł do domu. Dziewczyna, której nie zależy na opinii publicznej! Która nie szanuje świętych więzów rodzinnych i na którą rodzina nie ma wpływu! Dziewczyna z nienawiścią wspominająca dzieciństwo! Toż to istna zgroza!

Później zjawiała się kuzynka Georgiana — już z własnej inicjatywy — bo nie sądzono, że warto ją posyłać. Zastała Valancy samą, zajęta pielieniem warzywnego ogródka, przez nią samą urządzonego. Georgiana wygłosiła wszelkie banalne stwierdzenia, jakie zdołała wymyślić. Valancy wysłuchała cierpliwie, w końcu kuzynka nie była taka zła. Wreszcie odezwała się. — A teraz, gdy już powiedziałaś wszystko, co miałaś do powiedzenia, wyjaśnij mi, jak należy przyrządzić sztokfisz w śmietanie, żeby nie był lepki jak kleik i słony jak Morze Martwe.

\* \* \*

Musimy po prostu czekać — stwierdził stryj Benjamin. — Ostatecznie Cissy Gay długo nie pożyje. Doktor Marsh mówił, że może zamknąć oczy w każdej chwili.

Pani Fryderykova rozplakała się. Łatwiej byłoby znieść śmierć Valancy. Wtedy mogłaby przynajmniej nosić żałobę.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy Abel Gay wypłacił Valancy pierwszą pensję, pachnącymi whisky i tytoniem banknotami, poszła do Deerwood i wydała wszystko, co do centa. Kupiła sobie na wyprzedaży sukienkę z zielonej krepy z paskiem wyszytym purpurowymi koralikami, parę jedwabnych pończoch i zgrabny zielony kapelusik z czerwoną różą. Kupiła też zabawną nocną koszulę, ozdobioną mnóstwem zakładeczek i koronkową falbanką.

Dwukrotnie przeszła obok domu na Elm Street — nigdy nie myślała o nim jako o „domu” — ale nie spotkała nikogo. Matka z pewnością w to piękne czerwcowe popołudnie siedziała w pokoju i rozkładała pasjansa, oszukując przy tym niemiłosiernie. Valancy wiedziała, że pani Fryderykowa zawsze oszukiwała i nigdy nie przegrała żadnej gry.

Większość spotkanych po drodze ludzi, spoglądała na nią uważnie i mijała z chłodnym skinieniem głowy. Nikt nie zatrzymał się, by z nią porozmawiać.

Po powrocie do domu przebrała się w nową sukienkę, a potem znowu ją zdjęła. Czuli się okropnie nieubrana z tym dekoltem i krótkimi rękawami. A nisko na biodrach umieszczony czerwony pasek wydawał się wprost nieprzyzwoity. Odwiesiła sukienkę do szafy przekonana, że wyrzuciła pieniądze w błoto. Nigdy nie odważy się ją włożyć. Teoria strachu Johna Fostera nie była w tym przypadku wystarczająco silna. Stare nawyki ciągle jeszcze mocno się trzymały. Mimo to westchnęła z żalem, gdy zeszła na dół przywitać Barneya Snaitha w starej, jedwabnej, brązowej sukni.

W tej zielonej, bardzo jej było do twarzy — zdążyła to zauważyć, rzuciwszy spojrzenie w lustro. Na jej tle oczy lśniły jak dwa brązowe klejnoty, a pasek nadawał postaci zupełnie nowy wygląd. Bardzo pragnęła mieć tę sukienkę na sobie, ale... były sprawy, o których nawet John Foster nie wiedział.

W każdą niedzielę, wieczorem Valancy chodziła do położonego na skraju doliny kościółka metodystów, niewielkiego szarego budynekczku wśród sosen. Obok znajdował się skromny cmentarzyk i nieduży, porośnięty trawą dziedziniec. Lubiła tamtejszego, szczerego i bezpośredniego kaznodzieję. Był to starszy już człowiek mieszkający w Port Lawrence, skąd przepływał motorową łodzią przez jezioro, by prowadzić modły. Jego słuchaczami byli mieszkańcy małych, rozsianych w pagórkowatej okolicy farm, którzy — gdyby nie on — nie mieliby żadnego kontaktu ze Słowem Bożym. Valancy podobały się skromne, proste nabożeństwa i żarliwe śpiewy. Chętnie siadywała przy otwartym oknie i spoglądała na sosnowy las. Kongregacja była nieliczna, gdyż niewielu metodystów mieszkało w okolicy; byli to ludzie biedni i przeważnie analfabeci. Jednakże bardzo sobie ceniła te niedzielne wieczory. Po raz pierwszy w życiu szła do kościoła z przyjemnością. Gdy do Deerwood dotarła wieść, że „przeszła do metodystów”, pani Fryderykowa dwa dni nie wstawała z łóżka. Ale w rzeczywistości Valancy do nikogo „nie przeszła”. Chodziła do tego kościoła, bo dobrze się w nim czuła.

Stary pastor Tower szczerze wierzył w głoszone prawdy, a ona uznała to za niezmiernie ważne.

Zupełnie nieoczekiwanie Ryczący Abel przyjął z dezaprobatą jej udział w nabożeństwach u metodystów. Okazało się, że jako prezbiterianin zupełnie ich nie uznawał. Valancy jednak chodziła tam dalej.

— Usłyszmy o niej jeszcze nie takie rzeczy — przepowiedział złowieszczo stryj Benjamin.

I rzeczywiście usłyszeli.

Valancy nie potrafiła wytłumaczyć, nawet sobie samej, dlaczego tak chciała pójść na tę zabawę. Tańce w Chidley Corners z reguły nie gromadziły towarzystwa odpowiedniego dla panien z dobrych domów. Wiedziała, że taki wieczór się odbędzie, bo Ryczący Abel został

wynajęty jako jeden ze skrzypków. Właśnie on podsunął jej przy kolacji pomysł udania się tam.

— Pójdiesz ze mną na tę potańcówkę — zdecydował. — Dobrze ci to zrobi, nabierzesz rumieńców. Wyglądasz na zmęczoną, potrzeba ci jakiejś rozrywki.

I Valancy nagle zapragnęła pójść na ten wieczorek. Nic nie wiedziała o zabawach w Chidley Corners i ich złej sławie. Jej wyobrażenia o wieczorkach opierały się na znajomości imprez odbywających się w Deerwood i Port Lawrence. Zdawała sobie oczywiście sprawę z tego, że zabawa w Corners nie będzie taka sama. Na pewno mniej tam spotka sztywnej formalności, ale to będzie tym bardziej interesujące. Dlaczego właściwie nie mogłaby pójść? Cissy znajdowała się w wyjątkowo dobrej formie i nie miała nic przeciwko temu, żeby zostać sama w domu. Namawiała nawet Valancy do pójścia, jeśli ma ochotę... A Valancy chciała... bardzo.

Poszła przebrać się do swego pokoju i tam ogarnęła ją złość na odwieczną, brązową sukienkę. Ubrać się w to na zabawę? Nigdy! Ściągnęła z wieszaka zielony nabytek i ubrała się gorączkowo. To zupełna bzdura czuć się tak... obnażoną... tylko dlatego, że ma się dekolt i krótkie rękawy. Oto w czym przejawia się jej staropanieństwo. Nie pozwoli mu się przytłoczyć. Ubierajmy się dalej, teraz pantofle...

Pierwszy raz od czasów gdy jako nastolatka nosiła stroje z organdy miała na sobie ładną i modną sukienkę. A i w organdynie nigdy nie wyglądała tak jak teraz. Gdyby jeszcze jakiś naszyjnik lub korale, nie czułaby się taka odsłonięta. Po chwili namysłu pobiegła do ogrodu. Znalazła tam, ukryte w głębokiej trawie, wielkie purpurowe kwiaty koniczyny. Zerwała garść i połączyła nitką. Zawieszona na szyi, sprawiały wrażenie kołnierza i doskonale harmonizowały z sukienką. Kolejny wianek włożyła na włosy uczesane w miękkie pukle. Podniecenie wymalowało na policzkach żywe rumieńce. Narzuciła na ramiona płaszcz i nałożyła kapelusz.

— Wyglądasz bardzo ładnie i tak... inaczej, kochanie — powiedziała Cissy. — Jak zielony, księżycowy promień z czerwonym połyskiem — jeśli coś takiego może istnieć.

Valancy zatrzymała się, by ją pocałować. — Mam wyrzuty sumienia, zostawiając cię samą.

— Och, nie martw się. Dobrze się dzisiaj czuję. Byłoby mi przykro, że ze względu na mnie siedzisz tu jak przykuta. Mam nadzieję, że dobrze się zabawisz. Nigdy nie chodziłam na tańce do Corners, ale bywałam w innych miejscach. Zawsze było wesoło. Bądź spokojna, ojciec się nie upije. Nigdy tego nie robi, gdy ma grać na zabawie. Lecz tam pewnie podadzą alkohol. Co zrobisz, jeśli towarzystwo sobie podpije?

— Nikt mnie nie spróbuje napastować.

— Być może nie na poważnie. Zresztą ojciec już tego dopilnuje. Ale tam może być głośno i... nieprzyjemnie.

— To mnie nie obchodzi. Idę tylko popatrzeć. Nie będę przecież tańczyć. Chcę po prostu zobaczyć, jak wygląda taka zabawa. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Tylko sztywne wieczorki w Deerwood.

Cissy uśmiechnęła się z powątpiewaniem. Wiedziała lepiej od Valancy, jak wygląda wiejska zabawa z alkoholem. Ale z drugiej strony wszystko może być w porządku. — Mam nadzieję, że się rozerwiesz — powiedziała na pożegnanie.

Jazda sprawiła Valancy dużą przyjemność. Wyruszyli dość wcześnie, bo do Chidley Corners mieli dwanaście mil, a jechali starą bryczką Abła. Droga była wyboista jak większość dróg na terenie Muskoka, lecz pełna uroku i piękna dostojnych, północnych lasów. Prowadziła wśród smukłych, szumiących sosen, wspaniale prezentujących się w promieniach zachodzącego, letniego słońca i dalej brzegami nefrytowozielonych rzeczek obrośniętych paprociami.

Ryczący Abel okazał się czarującym towarzyszem. Znał wszystkie historie i legendy tego odległego, dzikiego zakątka. Valancy kilkakrotnie tłumiała śmiech na myśl, co powiedziała by stryj Benjamin i reszta Stirlingów, gdyby zobaczyli ją jadącą z Ryczącym Ablem tą odrapaną bryczką na tańce do Chidley Corners.

Początkowo zabawa przebiegała całkiem spokojnie i Valancy dobrze się bawiła. Zatańczyła nawet dwa razy z wiejskimi chłopcami, którzy byli doskonałymi tancerzami i pochwalili jej umiejętności. Dobiegł jej uszu i następny, mniej subtelny komplement, ale nie słyszała ich dotąd zbyt wiele, więc nie obraziła się. Usłyszała rozmowę dwóch miejscowych młodzieńców stojących w pobliżu.

— Wiesz, kim jest ta dziewczyna w zielonej sukience?

— Nie. Ale pewnie z miasta. Może z Port. Ma taki elegancki wygląd.

— Nie piękność, lecz muszę przyznać, że coś w sobie ma. Czy widziałeś kiedy takie oczy?

Wielkie pomieszczenie w szopie udekorowano świerkowymi i sosnowymi gałęziami i oświetlono lampionami. Podłogę natarto woskiem. Skrzypce pod palcami Ryczącego Abła wydawały czarodziejskie tony. Wiejskie dziewczęta były ładnie i starannie ubrane. Jednym słowem Valancy uważała, że jest to najlepszy wieczorek taneczny w jej życiu.

O jedenastej zmieniła jednak zdanie. Na zabawie pojawiło się nowe towarzystwo i do tego pijane. Whisky zaczęła krążyć bez ograniczeń. Wkrótce prawie wszyscy mężczyźni byli mocno podchmieleni. Część gości znajdująca się na ganku i przy drzwiach wywołała zamieszanie. W sali zrobiło się głośno i cuchnęło alkoholem. Tu i tam wybuchały kłótnie, padały głośne przekleństwa i nieprzyzwoite słowa. Dziewczęta przemocą ciągnięto do tańca. Valancy siedząca samotnie w kącie patrzyła na to z niesmakiem i oburzeniem. Żałowała teraz swojej decyzji. Swoboda i niezależność są bardzo ważne, ale nie należy popełniać z tego powodu głupstw. Powinna przewidzieć taką sytuację, zrozumieć dyskretne ostrzeżenia Cissy. Rozbolała ją głowa i miała wszystkiego serdecznie dość. Lecz co mogła zrobić? Musi zostać. Abel nie wyjedzie przed końcem zabawy. A to nastąpi wcześniej, niż o trzeciej lub czwartej nad ranem.

Przybycie nowej grupy chłopców sprawiło, że zaczęło brakować partnerek do tańca. Valancy zapraszano, lecz odmawiała krótko i stanowczo. Jednak niektórzy źle przyjmowali odmowę; padały przekleństwa, krzywo na nią patrzono. Pod ścianą spostrzegła grupę obcych, szepczących coś między sobą i rzucających w jej stronę wymowne spojrzenia. To ją zaniepokoiło. Co oni knuli?

W tym momencie zobaczyła Barneya Snaitha, spoglądającego od drzwi ponad głowami gości. Valancy pomyślała, że teraz jest bezpieczna i jednocześnie uświadomiła sobie, że to właśnie z jego powodu chciała pójść na tę zabawę. Nadzieja na spotkanie była nikła i nawet nie brała tego pod uwagę, jednak liczyła, że i on tu się zjawi. Wiedziała, że powinna wstydzić się takich myśli, ale jakoś nie mogła. Teraz, gdy lęk ustąpił, zirytowało ją, że Barney przyszedł nie ogolony. Mógł się przecież jakoś ogarnąć przed wyjściem na zabawę! A oto stał zarośnięty, w starych spodniach i niebieskiej płóciennej koszuli. Nawet bez marynarki. Valancy miała chęć porządnie nim potrząsnąć. Nic dziwnego, że ludzie są gotowi wierzyć w najgorsze opowieści na jego temat.

Tymczasem jeden z szepczących pod ścianą mężczyzn ruszył w jej stronę. Był wysoki, barczysty, dobrze ubrany, ale też i mocno wstawiony. Poprosił Valancy do tańca, a ona grzecznie odmówiła. Wtedy spurpurowiał i przyciągnął ją do siebie. Gorący, ziejący whisky oddech wionął jej w twarz.

— My tu nie pozwalamy na pańskie fochy, panienko. Jeśli nie byłaś dość ważna i przysłaś tu, to nie będziesz zbyt ważna, aby ze mną zatańczyć. Ja i moi przyjaciele długo cię obserwujemy. Każdy z nas zatańczy z tobą jeden raz i każdemu dasz całusa.

Valancy z desperacją, ale na próżno, usiłowała uwolnić się z uścisku. Czuła, że zagłębia się w korowód krzyczących, przytupujących i wyśpiewujących tancerzy. I nagle trzymający ją

mężczyzna zatoczył się, otrzymawszy dokładnie wymierzony cios w brodę. Przewrócił jakąś wirującą parę i sam upadł. Ktoś chwycił Valancy za ramię.

— Tędy, szybko — powiedział Barney Snaith. Pomógł jej wyjść przez otwarte okno, sam zręcznie przeskoczył parapet i ujął jej rękę. — Biegiem, będą nas gonili.

Valancy biegła, tak jak jeszcze nigdy dotąd, wczepiona z całej siły w rękę Barneya i dziwiła się, dlaczego nie pada martwa na ziemię od takiego wysiłku. A gdyby tak padła? Jakież to byłby skandal i wstyd dla rodziny. Po raz pierwszy im współczuła. Cieszyła się, że uniknęła awantury na tańcach. W ogóle jej uczucia były straszliwie wzburzone i pomieszane, bo nigdy w życiu nie miała tylu przeżyć w tak krótkim czasie.

Po chwili dotarli do jakiegoś spokojnego zakątka w lesie. Pogoń poszła w innym kierunku. Okrzyki i nawoływania stawały się coraz słabsze i odleglejsze. Valancy zdyszana i z szaleńczo bijącym sercem, opadła na pień przewróconego drzewa.

— Dzięki — wysapała.

— Ależ z pani głuptas, żeby przyjść w takie miejsce! — powiedział Barney.

— Ja... nie wiedziałam... że to tak... będzie wyglądało — próbowała się bronić Valancy.

— Powinna pani wiedzieć. Do Chidley Corners — dobry Boże!

— Nic mi to nie mówiło.

Valancy wiedziała, że Barney nie zdaje sobie sprawy ze stopnia jej ignorancji, gdy chodziło o sprawy życia na wsi, obyczajów itd. Całe dotychczasowe życie spędziła w Deerwood. On nie wiedział, jak ją wychowano. Wszystko to było trudne do wyjaśnienia.

— Kiedy przyszedłem dziś wieczorem do Abła i Cissy mi powiedziała, że pojechała pani z nim do Corners, byłem zdumiony i mocno przestraszony. Cissy mówiła, że od początku bała się o panią, ale nie chciała nastawać z obawy, że uzna ją pani za egoistkę. Tak więc zamiast jechać do Deerwood, zjawiłem się tutaj.

Valancy poczuła, jak przepełnia ją radosne ciepło. A więc przyszedł tu ze względu na nią!

— Jak tylko przestaną nas szukać, wymkniemy się na szosę prowadzącą do Muskoka. Zostawiłem tam Lady Jane. Zawiozę panią do domu. Myślę, że już dosyć tej zabawy.

— Najzupełniej — przyznała potulnie Valancy.

Przez część drogi do domu milczeli. Zresztą rozmowa na wiele by się nie zdała. Lady Jane robiła tyle hałasu, że nie słyszeli się nawzajem. Poza tym Valancy nie miała nastroju do rozmowy. Strasznie się wstydziła całej tej historii. Wstydziła się, że Barney Snaith znalazł ją w takim miejscu. Wprawdzie był to Barney Snaith mający opinię kryminalisty, fałszerza, bezbożnika i defraudanta, ale mimo to wstydziła się.

Zarazem jednak napawała ją radość, niezwykle uniesienie, któremu nie przeszkadzało nawet podskakiwanie na wybojach — bo obok był Barney Snaith. Wielkie drzewa migały, gdy mijali je w pędzie. Wysokie osty wyglądały jak pijane elfy w światłach latarni auta. Valancy pierwszy raz jechała samochodem i była zachwycona. Z Barneyem za kierownicą niczego się nie bała. W czasie jazdy poprawił jej się nastrój. Przestała się też wstydzić. Nie czuła nic poza tym, że jest fragmentem komety mknącej beztrosko przez kosmos.

I nagle, właśnie wtedy, gdy las zaczął rzednąć i ukazały się zagony nieużytków, Lady Jane ucichła, zwolniła i... stanęła w miejscu.

Barney krzyknął zdziwiony, wyszedł, zaczął coś sprawdzać i wrócił przepraszając. — Jestem nieodpowiedzialnym bałwanem. Zabrakło benzyny. Wiedziałem, że jest jej mało, kiedy wyjeżdżałem z domu, lecz miałem zamiar napełnić bak w Deerwood. A potem w pośpiechu zapomniałem o tym.

— Co możemy zrobić? — spytała spokojnie Valancy.

— Nie wiem. Benzyny nie dostaniemy bliżej niż w Deerwood. Prawie dziewięć mil stąd. Poza tym nie ośmielę się zostawić pani samej. Na tej drodze zawsze trafiają się jacyś włóczędzy. Mogą też zabłąkać się tu niektórzy z tych pomyleńców z Corners. Moim zdaniem,

najlepsze co możemy zrobić, to czekać cierpliwie, aż pojawi się jakiś samochód i kierowca pożyczycy nam trochę benzyny, byle dojechać do domu Ryczącego Abla.

— No to musimy czekać — stwierdziła Valancy.

— Ale możemy tak siedzieć całą noc — powiedział Barney.

— To nie ma znaczenia.

Barney roześmiał się. — Jeśli nie ma dla pani, to nie ma i dla mnie. Mojej reputacji nic już nie zaszkodzi.

— Mojej także — podsumowała najspokojniej w świecie Valancy.

\* \* \*

— Będziemy tu sobie siedzieli — oznajmił Barney — a jeśli przyjdzie nam chęć coś powiedzieć, to powiemy. W przeciwnym razie milczymy. Proszę się nie uważać za zobowiązaną do rozmowy ze mną.

— John Foster powiada — zacytowała Valancy — że „jeśli możesz z jakąś osobą spędzić pół godziny w milczeniu i czuć się dobrze, to możecie zostać przyjaciółmi. Jeśli nie możesz, to przyjaciółmi nie będziecie i nie warto tracić czasu na próby”.

— Okazuje się, że John Foster od czasu do czasu potrafi powiedzieć coś sensownego — zgodził się Barney.

Siedzieli w milczeniu dłuższy czas. Dzikie króliki skakały przez drogę. Raz czy dwa głośno zachichotała sowa. Daleko na południowym zachodzie niebo zasnuwały drobne, srebrzyste obłoki, akurat gdzieś w okolicach wysepki Barneya.

Valancy była bezgranicznie szczęśliwa. Niektóre sprawy docierają do świadomości powoli, niektóre z szybkością błyskawicy. Przez nią właśnie przemknęła taka błyskawica.

Zrozumiała, że kocha Barneya. Wczoraj jeszcze należała wyłącznie do siebie. Teraz należała do tego mężczyzny. A przecież on niczego nie zrobił, niczego nie powiedział. Nie patrzył na nią jak na kobietę. Lecz to nie miało znaczenia. Podobnie nic dla niej nie znaczyło, kim był i jaką miał przeszłość. Jedno wiedziała na pewno: wszystko w niej garnęło się do niego. Nie miała zamiaru tłumić tej miłości, ani się jej wyrzekać. Czuli, że całkowicie należy do Barneya i nawet myśli może poświęcać wyłącznie jemu.

Stwierdziła też, szczerze i z prostotą, że kocha go, a nastąpiło to właśnie wtedy, gdy oparty o drzwi samochodu wyjaśniał, że Lady Jane nie może dalej jechać. Spojrzała mu głęboko w oczy i wiedziała. W mgnieniu oka wszystko się zmieniło. Stare sprawy odeszły, minęły i świat dokoła stał się zupełnie inny.

Już nie była nieciekawą, drobną, starą panną Valancy Stirling. Stała się kobietą pełną miłości, a więc bogatą i ważną. Życie już nie było puste i jałowe, a śmierć nie mogła jej niczego pozbawić. Miłość przepędziła precz ostatnie lęki.

Miłość! Rozpalające, dręczące i nieznośnie słodkie uczucie, przepelniające ciało, duszę i umysł! Żaden sen, żadne marzenie nie mogło się z nią równać. Przestała być sama i samotna. Stała się członkiem bractwa — jedną z tych kobiet, które kochają.

Barney nigdy się o tym nie dowie, choć wcale by jej nie przeszkadzało, gdyby wiedział. Nie prosi, by ją kochano. Dostatecznie zachwycające jest to, że siedzi w milczeniu obok niego, w tę letnią noc skapaną w księżycowym blasku, a między sosnami powiewa delikatny wietrzyk. Zawsze zazdrościła wiatrowi wolności. Mknie dokąd ma ochotę, ponad wzgórzami, ponad jeziorami. A jak pachnie!

Valancy czuła, że swą dawną, zmęczoną duszę wymieniła na nową, świeżo wykutą w kuźni jakichś dobrych bogów. Odkąd pamiętała, życie wionęło nudą, bezbarwne i pozbawione smaku. Teraz natknęła się na polanę zarośniętą fiołkami, ciemnymi i wonnymi

— tylko zrywać! Nie ma znaczenia przeszłość Barneya i to, jaka będzie przyszłość, ma bowiem cudownie doskonałą teraźniejszość. Bez ograniczeń poddała się jej czarowi.

— Czy marzyła pani kiedyś o lataniu balonem? — zapytał nieoczekiwanie Barney.

— Nie — odrzekła.

— A ja marzę o tym często. Marzę o żeglowaniu wśród obłoków, oglądaniu zachodów słońca, spędzaniu wielu godzin wśród straszliwej burzy, z błyskawicami przecinającymi niebo nad i pode mną, o unoszeniu się nad srebrzystą chmurą przy pełni księżyca. To wspaniałe!

— Chyba tak — zgodziła się Valancy i dodała. — W marzeniach zawsze pozostawałam na ziemi.

Opowiedziała mu o Błękitnym Zamku. Nie miała z tym trudności. Czuła, że on potrafi zrozumieć nawet to, co przemilczała. Później mówiła trochę o swej przeszłości. Chciała, by wiedział, dlaczego poszła na tę zabawę w Corners. — Widzi pan, ja nigdy nie zaznałam prawdziwego życia — wyznała z naciskiem. — Ja tylko., oddychałam. Przede mną wszystkie drzwi były zamknięte.

— Jest pani jeszcze młoda — zauważył Barney.

— Och, wiem, oczywiście. Jeszcze młoda, ale to co innego niż po prostu młoda — odparła Valancy z goryczą. Przez chwilę miała chęć powiedzieć mu, dlaczego przyszłość dla niej nie istnieje, lecz powstrzymała się. Nie ma zamiaru myśleć dzisiaj o śmierci.

— Właściwie nigdy nie byłam młoda — ciągnęła, a w myśli dodała

— aż do dzisiaj. Nigdy nie pędziłam takiego życia jak inne dziewczęta. Pewnie nie potrafi pan tego zrozumieć. Czy pan wie — tu ogarnęło ją desperackie pragnienie, by Barney wiedział o niej najgorsze — ja nawet nie kocham matki. Czy to nie straszne?

— Dla niej, niewątpliwie — zgodził się Barney.

— Och, ona o tym nie wie. Zawsze z góry zakładała, że ją kocham. A do tego nie stanowiłam dla niej ani dla innych żadnej pociechy. Byłam... po prostu rośliną. I to mnie zmęczyło. Dlatego przyszedłam prowadzić dom Ryczącemu Ablowi i opiekować się Cissy.

— Przypuszczam, że rodzina uznała panią za wariatkę.

— Oczywiście — odparła. — Ale to stanowi dla nich pocieszenie. Wolą wierzyć, że jestem niespełna rozumu niż zła. Innego wyjścia nie ma. Lecz ja, odkąd zamieszkałam u pana Gaya, czuję, że żyję. To cudowne wrażenie. Pewnie zapłacę za to, gdy wrócę do domu, ale przynajmniej będę miała za co.

— To prawda — potwierdził Barney. — Jeśli się płaci za jakieś doświadczenie, staje się ono twoją własnością. Dlatego cena nie gra roli. Czyjeś doświadczenie nigdy nie będzie twym własnym. Cóż, tak urządzono ten śmieszny stary świat.

— Sądzi pan, że jest rzeczywiście stary? — spytała z rozmarzeniem Valancy. — W czerwcu nigdy nie mogę w to uwierzyć. Wszystko wydaje mi się dziś takie młode. Zwłaszcza w tej drżącej księżycowej poświacie. Niby oczekująca na coś młoda dziewczyna w bieli.

— Światło księżyca, tutaj na wsi, jest zupełnie inne niż gdzie indziej — zgodził się Barney. Odnoszę wrażenie, że staję się czystszy — duszą i ciałem.

Po północy jakaś ciemna chmura zasłoniła księżyc i wiosenne powietrze ochłodziło się. Valancy zadrzała. Barney sięgnął w przepaściste wnętrze Lady Jane i wyciągnął starą, przesiąkniętą zapachem tytoniu marynarkę.

— Proszę to nałożyć — przykazał.

— A panu nie będzie potrzebna?

— Nie. Nie chcę też, żeby się pani przeze mnie zaziębiła.

— Och, nie przeziębę się. Nie miałam kataru, odkąd mieszkam u pana Gaya, choć wcale o siebie nie dbam. To zabawne, dawniej bywałam nieustannie zakatarzona. Czuję się taka samolubna, zabierając panu marynarkę.

— Kichnęła pani trzy razy. Nie ma potrzeby do tych „doświadczeń” z Corners, dodawać grypy lub zapalenia płuc. — Ściągnął brzegi marynarki mocno pod szyję i zapiął guziki. Valancy poddała się temu z tajoną radością. Jak to miło mieć kogoś, kto o ciebie dba! Wtuliła się w pachnące tytoniem sukno i zapragnęła, aby ta noc trwała wiecznie.

Dziesięć minut później oślepił ich samochód jadący do miasta. Barney wyskoczył z Lady Jane i pomachał ręką. Samochód zatrzymał się i Valancy zobaczyła stryja Wellingtona z Olivią, wpatrujących się w nią z przerażeniem.

A więc stryj Wellington kupił auto! Musiał spędzać wieczór w Mistawis u kuzyna Herberta. Valancy omal nie roześmiała się, widząc wyraz jego twarzy, gdy ją rozpoznał. Stary, pompatyczny nudziarz!

— Czy mógłby mi pan odstąpić trochę benzyny, tyle by starczyło do Deerwood? — zapytał uprzejmie Barney. Lecz stryj Wellington nie zwrócił na niego uwagi.

— Valancy, jak się tutaj dostałaś? — zdumiał się.

— Przez przypadek — odparła Valancy.

— Z tym rzezimieszkiem, o północy! — zagrział.

Valancy zwróciła się do Barneya. Chmura już odpłynęła i w świetle księżycy widać było jej oczy pełne kpiny i przekory. — Czy jest pan rzezimieszkiem?

— A ma to jakieś znaczenie? — spytał z kolei Barney i jego oczy również rozbliły się wesoło.

— Nie dla mnie. Pytam tylko z ciekawości — ciągnęła Valancy.

— W takim razie nie odpowiem. Nigdy nie zaspokajam niczyjej ciekawości. — Odwrócił się do stryja Wellingtona i głos mu się trochę zmienił. — Panie Stirling, spytałem, czy może mi pan odstąpić trochę benzyny. Jeśli tak, to dobrze i dziękuję. Jeśli nie, to nie chcemy pana zatrzymywać bez potrzeby.

Stryj Wellington stanął przed straszliwym dylematem. Dać benzynę tej bezwstydną parze!? A z kolei nie dać? Odjechać i pozostawić ich w gąszczu lasów Mistawis, najpewniej aż do świtu? Już lepiej dać benzynę i niech stąd znikną, zanim ich kto zobaczy. — Ma pan coś na benzynę? — mruknął niechętnie.

Barney wyjął z auta kanister i obaj mężczyźni podeszli do samochodu stryja Wellingtona. Valancy rzuciła zza kołnierza marynarki ukradkowe spojrzenie na Olivię. Ta siedziała wyprostowana, ponuro wpatrując się przed siebie, z wyrazem oburzenia na twarzy. Wcale nie miała zamiaru zauważać Valancy. Cecil niedawno przyjechał do Deerwood i oczywiście dowiedział się o niej. Przyznał, że jej umysł nie jest całkiem w porządku i zaniepokoił się, czy to nie jest aby dziedziczna choroba. To poważna sprawa mieć w rodzinie hm... taki przypadek. Bardzo poważna sprawa. Trzeba myśleć nie tylko o sobie, ale i... hm... o potomkach.

— Ona ma to po Wansbarrach — stwierdziła kategorycznie Olivia.

— Wśród Stirlingów nic takiego nie ma. Nic!

— Mam nadzieję, mam nadzieję, że nie — odrzekł z powątpiewaniem Cecil. — Ale wynajęła się na służącą, bo jak to inaczej nazwać? Twoja kuzynka!

Biedna Olivia pojęła implikację tej wypowiedzi. Price'owie z Port Lawrence nie mieli zwyczaju spokrewniać się z rodzinami, których członkowie komuś usługiwali.

Valancy w końcu uległa pokusie. Wychyliła się do przodu i powiedziała: — Olivio, czy to boli?

Olivia odparła sztywno: — Co boli?

— No, kiedy się wygląda tak jak ty.

Przez moment Olivia sądziła, że zignoruje obecność kuzynki, lecz poczucie obowiązku wzięło górę. Nie wolno jej stracić okazji. — Doss

— poprosiła, również nachylając się do przodu — nie mogłabyś wrócić do domu teraz, razem z nami?

Valancy ziewnęła. — To brzmi jak powtórka w szkole — zauważyła.  
— Naprawdę.  
— Jeśli wrócisz...  
— Wszystko zostanie mi wybaczone. Wiem.  
— Tak — podchwyciła z zapalem Olivia. Byłoby wspaniale, gdyby nakłoniła do powrotu marnotrawną córkę. — Nigdy nie będziemy ci tego wypominać. Doss, są noce, kiedy myślę o tobie i nie mogę spać.  
— A ja w tym czasie bawię się jak nigdy dotąd — roześmiała się Valancy.  
— Doss, nie wierzę, że zesłałaś na złą drogę. Zawsze mówiłaś...  
— Ja także nie wierzę, bym mogła to zrobić — przerwała jej Valancy.  
— Obawiam się, że jestem strasznie dobrze ułożona. Siedzę z Barneyem Snaithem dłuższy czas, a on nawet mnie nie pocałował. Wiesz, Olivio, nie miałabym nic przeciw temu, gdyby spróbował.  
Valancy uśmiechnięta pochyliła się jeszcze bardziej. Kapelusik z purpurową różą zasłonił jej lewe oko. — Co się właściwie stało z Valancy?  
— zdziwiła się Olivia. Wyglądała... nie żeby ładnie, bo nigdy nie była ładna, ale prowokująco, pociągająco. Tak, właśnie tak! — Olivia wyprostowała się. Powiedzenie czegoś więcej poniżałoby jej godność. Najwidoczniej Valancy musi być i szalona i zepsuta.  
— Dziękuję, wystarczy — odezwał się Barney gdzieś z tyłu samochodu. — Jestem niezmiernie zobowiązany, panie Stirling. Dwa galony to siedemdziesiąt centów. Dziękuję panu.  
Zakłopotany stryj Wellington wdrapał się niezgrabnie do auta. Chciał wygarnąć Snaithowi, co o nim myśli, ale nie śmiał. Kto wie, co ten typek może zrobić, gdy zostanie sprowokowany? Bez wątpienia nosił ze sobą broń.  
Stryj spojrział niezdecydowanie na Valancy. Ona jednak odwróciła się plecami i patrzyła, jak Barney wlewa benzynę do zbiornika Lady Jane.  
— Jedźmy już — oznajmiła stanowczo Olivia. — Nie ma na co czekać. Zaraz ci powtórzę, co mi powiedziała.  
— Lekkomysłna dziewczyna! Bezwstydna, lekkomyślna dziewczyna — stwierdził oburzony stryj Wellington.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wkrótce do Stirlingów dotarła wieść, że widziano Valancy z Barneyem Snaithem w Port Lawrence w kinie, a potem na kolacji w tamtejszej restauracji chińskiej. Była to prawda i nikt bardziej się temu nie dziwił niż sama Valancy. Pewnego popołudnia zjawił się Barney w Lady Jane i bezceremonialnie zaproponował jej, że jeśli chce się przejechać, to niech wskakuje do środka.

— Jadę do Port. Chce pani pojechać ze mną?

W jego oczach migotały figlarne ogniki, a w głosie brzmiało wyzwanie. Valancy, która nawet nie próbowała ukrywać przed sobą, że poszłaby za nim na koniec świata, „wskoczyła” bez zbędnych słów. Pomknęli przez Deerwood. Pani Fryderykowa i kuzynka Stickles, zażywając na werandzie świeżego powietrza, ujrzały ich pędzących w tumanach kurzu i zagładających sobie w oczy. Valancy w poprzednim wcieleniu obawiała się samochodów, a teraz siedziała w Lady Jane bez kapelusza, z rozwianymi włosami i rumieńcami na policzkach. Z pewnością niebawem zapadnie na bronchit i umrze w domu Ryczącego Abla. Bo do tego wzięła suknię z krótkimi rękawami. A ten typ Snaith siedział bez marynarki i palił fajkę. — Jechali z prędkością czterdziestu mil na godzinę, nie, sześćdziesięciu — poprawiła kuzynka Stickles. Lady Jane mogła się popisać, jeśli chciała. Valancy wesoło pomachała dłonią rodzinie. Pani Fryderykowa pierwszy raz w życiu żałowała, że nie wie, jak wpaść w atak hysterii. — Czy po to — zapytała słabym głosem — cierpiałam męki macierzyństwa?

— Nie mogę uwierzyć — wtórowała kuzynka Stickles — że nasze modlitwy nie zostały wysłuchane.

— Kto, pytam, kto będzie chronił tę nieszczęsną dziewczynę, gdy mnie zabraknie? — jęczała pani Fryderykowa.

Jeśli chodzi o wrażenia Valancy, to nie mogła się nadziwić, że minęło zaledwie kilka tygodni od czasu, gdy siedziała tam na werandzie. Pełna nienawiści do pelargonii i dbająca o zachowanie pozorów. Przytłoczona i wystraszona łyżeczkami ciotki Wellington oraz pieniędzmi stryja Beniamina. Uboga. Pełna lęków. Zazdroszcząca Olivii. Niewolnica przebrzmiałych tradycji. Pozbawiona wszelkiej nadziei.

A teraz każdy dzień był wesołą przygodą.

Lady Jane pokonała piętnaście mil i dotarła do Port. Światła na ulicach migotały jak gwiazdy w jasnym, cytrynowoszarym zmierzchu. To była jedyna pora, kiedy Valancy lubiła oglądać miasto, a teraz jeszcze podniecała ją szybkość. Czy to możliwe, aby lękała się kiedyś samochodu? Jadąc z Barneyem, czuła się bezgranicznie szczęśliwa. Nie miała żadnych złudzeń. Doskonale wiedziała, iż zaprosił ją pod wpływem impulsu zrodzonego z litości dla niej i jej małych, ubogich marzeń. Po nie przespanej nocy z napadem bólów i pracowitym dniu wyglądała na bardzo zmęczoną. A więc podarował jej trochę rozrywki, zabierając na przejażdżkę. Poza tym, w kuchni został Abel na tym etapie pijaństwa, kiedy deklarował niewiarę i wyśpiewywał rubaszne piosenki. Powinna więc zniknąć stamtąd na jakiś czas. Barney bowiem doskonale znał repertuar Ryczącego Abla.

Poszli do kina — Valancy pierwszy raz w życiu. A potem, gdy poczuli głód, do chińskiej restauracji na niezwykle smaczne, smażone kurczaki. Potem ruszyli z hałasem w powrotną drogę, zostawiając za sobą jaskrawy ślad skandalu. Pani Fryderykowa przestała nawet chodzić do kościoła, nie mogąc znieść współczujących spojrzeń i pytań. Kuzynka Stickles chodziła jednak w każdą niedzielę. Uważała ciekawość przyjaciół za krzyż, który powinna dźwigać.

\* \* \*

Podczas jednej z bezsennych nocy Cissy opowiedziała Valancy swoją smutną historię. Siedziały obie przy otwartym oknie, ponieważ chora z trudem oddychała leżąc. Nad zalesionymi wzgórzami wisiał na niebie rogaty księżyc i w jego niesamowitym świetle Cissy wyglądała ślicznie, krucho i niezwykle młodo. Jak dziecko. Wydawało się niemożliwe, by mogła przeżyć całą tę namiętność, ból i wstyd, o których opowiadała.

— On zatrzymał się w hotelu po drugiej stronie jeziora. Zwykle przy pływał łódką wieczorem i spotykaliśmy się na brzegu wśród sosen. To był młody chłopak, student college'u; w Toronto miał bogatego ojca. Och, Valancy, ja nie miałam zamiaru postępować źle, uwierz mi! Ale tak go kochałam... jeszcze go Kocham... będę kochać zawsze. I nie wiedziałam o pewnych sprawach... nie rozumiałam. A potem ojciec zabrał go ze sobą. Po jakimś czasie pojęłam, że... Och, Valancy, jak się bałam! Nie wyobrażałam sobie, co mam robić. Napisałam do niego... przyjechał. Powiedział, że się ze mną ożeni...

— Więc dlaczego, dlaczego?

— Och, on już mnie nie kochał. Spostrzegłam to od razu. Proponował mi małżeństwo z poczucia obowiązku i z litości. Nie był zły, po prostu bardzo młody.

— Nie staraj się go usprawiedliwiać — przerwała jej Valancy. — A więc nie chciałaś za niego wyjść?

— Nie mogłam, jeśli już mnie nie kochał. To... nie potrafię tego wytłumaczyć, lecz to wydawało mi się gorsze niż... to drugie. Trochę się upierał, ale później wyjechał. Czy myślisz, Valancy, że postąpiłam słusznie?

— Tak. Na pewno miałaś rację. Lecz on...

— Nie obwiniaj go. Proszę, nie rób tego. I już więcej o nim nie mówmy. Nie ma potrzeby. Chciałam ci opowiedzieć, jak to było. Nie chcę, abyś o mnie źle myślała.

— Nigdy nie myślałam źle o tobie.

— Tak, wiem. Wyczułam to, gdy tylko przyszałaś. Och, Valancy! Ile ty dla mnie zrobiłaś. Słowa tego nie wyrażają, ale Bóg ci to wynagrodzi. — Cissy płakała przez chwilę wtulona w ramiona Valancy, a potem otarła oczy. — Cóż, to prawie wszystko. Wróciłam do domu. Wcale nie czułam się tak nieszczęśliwa, jak powinnam. Ojciec był dla mnie dobry. I dziecko... takie kochane. Miało śliczne, niebieskie oczy, delikatne złociste kędziorki i malutkie dłonie z dołeczkami. Lubiłam leciutko całować jego małą, gładką niby jedwab twarzyczkę, tak by nie sprawić mu bólu.

— Wiem — westchnęła Valancy. — Wiem. Kobieta zawsze to wie i marzy o tym...

— Ono należało tylko do mnie. Nikt inny nie miał do niego prawa. Kiedy umarło — myślałam, że ja też powinnam umrzeć. Nie wyobrażałam sobie, by można znieść takie cierpienie. Wiedzieć, że te piękne, niebieskie oczy już nigdy na mnie nie spojrzą, że nie czuję ciepła malutkiego ciała, że spoczywa ono pod zmarzniętą ziemią. Ten pierwszy rok był po prostu straszny. Później było mi łatwiej, choć nie mogłam opanować myśli, że „dzisiaj mija rok od...” I właściwie czułam zadowolenie, gdy dowiedziałam się, że wkrótce odejdę.

— „Kto mógłby znieść życie, gdyby nie miał nadziei na śmierć”. — Valancy zacytowała półgłosem zdanie, pochodzące oczywiście z jednej z książek Johna Fostera.

— Cieszę się, że mogłam ci wszystko wyznać — westchnęła Cissy. — Chciałam, byś poznała prawdę.

Cissy zmarła kilka dni później pod nieobecność Ryczącego Abła. Gdy Valancy spostrzegła, jak bardzo zmienia się twarz chorej, chciała telefonować po doktora, ale Cissy nie pozwoliła.

— Valancy, po co? On mi w niczym nie pomoże. Od kilku dni wiedziałam, że... to... jest blisko. Pozwól mi umrzeć w spokoju, droga moja. Trzymaj mnie tylko za rękę. O, jakże się

cieszę, że jesteś tutaj. Pożegnaj ode mnie ojca. Zawsze był dla mnie dobry — tak jak potrafił — i Barneya. Zdaje mi się, że Barney...

Napad kaszlu przerwał jej i bardzo zmęczył. Później zapadła w sen, trzymając dłoń Valancy. Ta siedziała przy chorej w milczeniu. Nie bała się, ani też jej nie żałowała. O brzasku Cissy wydała ostatnie tchnienie. Na moment przed tym otworzyła oczy, spojrzała na coś przed sobą i radośnie się uśmiechnęła. Z tym uśmiechem zmarła.

Valancy złożyła jej ręce na piersiach i podeszła do otwartego okna. Na wschodniej stronie nieba, wśród blasków świtu, widniał stary księżyc; tak piękny i smukły jak na nowiu. Valancy patrzyła nań długo, dopóki nie poblądł i nie znikł jej z oczu w różowym świetle poranka. W promieniach wschodzącego słońca mała sadzawka na ugorze lśniła jak wielka, złota lilia wodna.

Nagle cały świat wydał się pusty i zimny. Znowu jest nikomu niepotrzebna. Nie martwiła się z powodu śmierci Cissy, współczuła tylko cierpieniom, jakich ta doznała w życiu. Teraz już nikt jej nie może zranić. Valancy zawsze myślała, że śmierć jest okropna, lecz Cissy umierała tak spokojnie, tak cicho i... szczęśliwie. Jakby w końcu coś wynagrodziło jej cierpienia. Teraz leżała pogrążona w wiecznym śnie i wyglądała jak dziecko. Była piękna. Wszystkie bruzdy naniesione przez ból i wstyd zniknęły.

Ryczący Abel przyjechał z wielkim hałasem. Valancy wyszła przed dom i powiedziała, co się stało. Szok otrzeźwił go natychmiast. Skulił się na koźle bryczki i opuścił głowę.

— Cissy nie żyje, Cissy nie żyje — mówił do siebie. — Nie spodziewałem się, że to przyjdzie tak prędko. Umarła. Lubiła wybiegać na drogę i witać mnie w domu, a we włosy miała wpiętą różę. Cissy była kiedyś ładną dziewczuszką i dobrą córką.

— Cissy zawsze była dobrą dziewczyną — poprawiła go Valancy.

\* \* \*

Valancy przygotowała Cissy do pochówku. Obce ręce nie dotknęły żałośnie wycieńczonego drobnego ciała. W dniu pogrzebu dom był nieskazitelnie czysty i uporządkowany. Barney Snaith zrobił wszystko, co mógł, pomagając Valancy przed pogrzebem. Obsypał ciało Cissy białymi różami z ogrodu i wrócił na swoją wyspę. Poza nim nikogo nie brakowało. Na pogrzeb przybyło całe Deerwood i okoliczne osady. Nareszcie wszyscy wspaniałomyślnie wybaczyli Cecilii jej grzechy. Pan Bradley wygłosił piękną mowę. Valancy chciała zaprosić kaznodzieję wolnych metodystów, ale Ryczący Abel kategorycznie się sprzeciwił. On jest prezbiterianinem i nikt inny, tylko prezbiteriański pastor pochowa jego córkę. Pan Bradley okazał dużo taktu; omijał w przemówieniu wszystkie drażliwe momenty i dał jasno do zrozumienia, że oczekuje dla zmarłej najlepszego. Sześciu szacownych obywateli Deerwood zaniósło trumnę do mogiły na dostojnym cmentarzu. Jednym z nich był stryj Wellington.

Na pogrzebie zjawili się wszyscy Stirlingowie — kobiety i mężczyźni. Przedtem zwołali rodzinną radę. Jasne, że teraz, gdy Cissy Gay nie żyje, Valancy wróci do domu. Nie może przecież zostać z Ryczącym Ablem. A skoro tak, to najrozsądniej będzie — zawyrokował stryj James — przyjść na pogrzeb i swą obecnością, jak to się mówi, legitymizować całą rzecz. To pokaże ludziom, że Valancy pielęgnując Cissy Gay, istotnie spełniła godny pochwały uczynek, a rodzina to poparła. Jeśli Valancy wróci do domu, gdy opinia publiczna będzie pod wrażeniem tego wydarzenia, to wszystko może się dobrze skończyć. Społeczność miasteczka nagle zapomniała o grzechach Cecilii, pamiętając wyłącznie, jaką śliczną i skromną osobką była niegdyś. „No i rosła bez matki, wiecie państwo, bez matki!” — To dobry moment psychologiczny — przekonywał stryj James.

Tak więc Stirlingowie przyszedli na pogrzeb. Nawet zapalenie nerwu nie przeszkodziło tym razem kuzynce Gladys. Była i kuzynka Stickles w kapeluszu z rondem opadającym na twarz, płacząc tak żałośnie, jakby straciła w Cissy niezmiernie drogą i bliską osobę. Ale pogrzeby zawsze przypominały kuzynce Stickles o jej „własnej smutnej stracie”.

No i stryj Wellington niosący trumnę...

Valancy pobladła, przygnębiona, z zaczerwienionymi oczami, ubrana w tabaczkowobrazową suknię, spokojnie wydająca rozporządzenia, półgłosem naradzająca się z pastorem i grabarzem, wprowadzająca „żałobników” do bawialni — tak była dostojna i nienaganna, z takim znamieniem Stirlingów w postawie, że cała rodzina wzdychała z ulgą i pęczniała z dumy. To zupełnie inna dziewczyna niż ta, co siedziała w nocy w lesie z Barneyem Snaithem, albo mknęła rozradowana samochodem przez Deerwood i Port Lawrence. To Valancy, którą oni znali. Do tego zdumiewająco roztargnięta i energiczna. Może rzeczywiście trzymano ją zbyt krótko? Amelia okazywała jej przesadną surowość i dziewczyna nie miała okazji się wykazać.

Tak uważali Stirlingowie. A także Edward Beck, wdowiec zamieszkały z liczną rodziną przy drodze do Port. Zwrócił uwagę na Valancy i pomyślał, że mógł mieć z niej doskonałą drugą żonę. Nie piękność, ale pięćdziesięcioletni wdowiec, przywoływał się do rozsądku pan Beck, nie może oczekiwać zbyt wiele. Jednym słowem, wyglądało na to, że matrymonialne szanse Valancy nigdy nie były tak duże jak na pogrzebie Cecilii Gay.

Co by poczuli Stirlingowie i pan Edward Beck, gdyby przeniknęli myśli Valancy, pozostawmy potędze wyobraźni. Valancy przepełniała nienawiść: do pogrzebu, do ludzi, którzy przyszedli i ciekawie spoglądali na marmurowobiałą twarz Cissy, do całego tego dostojęstwa, przeciągłych melancholijnych śpiewów, ostrożnych banałów pana Bradly. Gdyby mogła postąpić zgodnie z własną wolą, pogrzeb wcale by się nie odbył. Posypałaby ciało Cissy kwiatami, ukrywając ją w ten sposób przed ciekawskimi spojrzeciami i pochowała obok jej bezimiennego dziecka na porośniętym trawą cmentarzyku, przy wiejskim kościółku wśród sosen. O kilka słów pożegnania poprosiłaby starego kaznodzieję wolnych metodystów. Odszukała w pamięci słowa Cissy: „Pragnęłabym zostać pochowana gdzieś w głębi lasu, dokąd nikt nie przyjdzie i nie powie — tu leży Cissy Gay — i zacznie wspominać moją nieszczęsną historię”.

A ten cały zamęt! Na szczęście wkrótce będzie po wszystkim. Valancy dobrze wiedziała, co ma zamiar zrobić. Całą noc przeleżała bezsennie, zastanawiając się, jak postąpić i podjęła ostateczną decyzję.

Gdy kondukt pogrzebowy wyruszył, pani Fryderykowa odszukała Valancy w kuchni. — Moje dziecko — rzekła drżącym głosem — czy teraz wrócisz do domu?

— Do domu — powiedziała z roztargnieniem Valancy. Zawiązała fartuch i zastanowiła się, ile herbaty musi zaparzyć do kolacji. Będzie kilkoro gości z różnych stron — dalekich krewnych Gayów, którzy o nich przez długie lata nie pamiętali. Czuła się straszliwie zmęczona, ledwo stała na nogach.

— Tak, do domu — potwierdziła z nutą surowości w głosie pani Fryderykowa. — Mam nadzieję, że nie zamierzasz pozostać tu teraz, sama z Ryczącym Ablem.

— Och, nie. Nie mam zamiaru pozostać tutaj — odparła Valancy. — Oczywiście, pobędę dzień lub dwa, aby doprowadzić dom do porządku, lecz nic poza tym. Tymczasem musisz mi wybaczyć, mamo, ale mam bardzo dużo pracy. Wszyscy ci ludzie ze wsi zostają na kolacji.

Pani Fryderykowa oddaliła się z westchnieniem ulgi i Stirlingowie wrócili do domów z lekkimi sercami.

— Kiedy wróci, będziemy ją traktować tak, jakby nic się nie wydarzyło — orzekł stryj Benjamin. — To najlepsze, co możemy zrobić.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wieczorem, nazajutrz po pogrzebie, Ryczący Abel wyprawił się zalać robaka. Był trzeźwy cztery dni i dłużej nie mógł wytrzymać. Zanim wyszedł, Valancy oznajmiła mu, że jutro odchodzi. Ryczący Abel wyraził żal z tego powodu. Jakaś daleka krewna ze wsi miała zająć się domem. Abel nie miał co do niej złudzeń, bo zdecydowała się zostać gospodynią wówczas, gdy nie było chorej wymagającej opieki.

— Nie będzie to taka pomoc jak panienka. Jestem wielce zobowiązany. Pomogła mi panienka wyjść z paskudnego dołka i nigdy tego nie zapomnę, jak i tego, co panienka zrobiła dla Cissy. Jesteśmy teraz przyjaciółmi. Jeżeli kiedyś trzeba będzie jakiemuś Stirlingowi przetrzepać skórę i postawić do kąta, to z tym do mnie, jak w dym. A teraz idę zwilżyć gardło, bo jestem zeschnięty na wiór. Nie przypuszczam, bym wrócił wcześniej niż jutro wieczorem. Jeśli więc panienka odchodzi do domu jutro, to się pożegnamy. Do widzenia.

— Może pójde do domu jutro — rzekła Valancy — ale nie pójde do Deerwood.

— Nie do Deerwood...

— Klucz znajdzie pan na gwoździu w drewnitni — przerwała Valancy grzecznie lecz stanowczo. — Pies będzie w stodole, a kot w piwnicy. Niech pan nie zapomni ich nakarmić, póki nie zjawi się kuzynka. Spiżarnia jest pełna, dzisiaj też upiekłam chleb i pasztet. Do widzenia, panie Gay. Był pan dla mnie bardzo dobry i doceniam to.

— Spędziliśmy razem diabelnie przyjemne chwile, co prawda, to prawda — odparł Ryczący Abel. — Z panienki jest bardzo dobra dziewczyna i cały ten klan Stirlingów razem wzięty nie wart jest małego palca panienki. Do widzenia i życzę szczęścia.

Valancy wyszła do ogrodu. Trochę drżały jej nogi, ale poza tym wyglądała na opanowaną. Ścisnęła coś mocno w rękę. Ogród kąpał się w ciepłym, wonnym i pełnym czaru czerwcowym zmierzchu. Na niebie widać było kilka gwiazd, a rudziki nawoływały się w aksamitnej ciszy zalegającej nad ugorami. Zatrzymała się przy furtce w oczekiwaniu. Czy przyjdzie? Jeśli nie...

Zbliżał się. Usłyszała z oddali warkot Lady Jane. Zaczęła szybciej oddychać. Bliżej, coraz bliżej... już tu jest, już wyskoczył z auta i opiera się o furtkę, przypatrując się jej uważnie.

— Wraca pani do domu, panno Stirling?

— Jeszcze nie wiem — zawahała się. — Decyzję już podjęła, nie myślała o odwrocie, lecz chwila była niezwykle kłopotliwa.

— Pomyślałem, że wpadnę i spytam, czy mógłbym coś dla pani zrobić — powiedział Barney.

Valancy chwyciła się tych słów. — Tak, jest coś, co mógłby pan dla mnie zrobić — oświadczyła spokojnie i wyraźnie. — Czy zechciałby pan mnie poślubić?

Przez chwilę Barney milczał. Twarz miał nieprzeniknioną. Potem roześmiał się trochę dziwnie. — Proszę, proszę! Wiedziałem, że szczęście uśmiechnie się do mnie. Wszystkie znaki na ziemi i niebie dziś na to wskazywały.

— Niech pan poczeka. — Valancy podniosła lekko rękę w górę. — Mówię zupełnie poważnie, ale nie przychodzi mi to łatwo. Dzięki memu wychowaniu wiem doskonale, że jest to jedna z tych rzeczy, których „dama robić nie powinna”.

— Ale dlaczego... dlaczego pani...?

— Z dwóch powodów — Valancy ciągle jeszcze oddychała z trudem, lecz patrzyła Barneyowi prosto w oczy, podczas gdy zmarli Stirlingowie gwałtownie przewracali się w mogiłach. Żywi nic nie robili, gdyż nie wiedzieli, że Valancy w tej właśnie chwili proponuje małżeństwo temu osławionemu Snaithowi. — Powód pierwszy to, to, że ja... — chciała powiedzieć „kocham cię”, lecz nie mogła. Uciekła się do wymuszonej żartobliwości — ... że ja szaleję za panem. Zaś drugi jest tutaj. — Podała mu list doktora Trenta.

Barney otworzył list z wyrazem twarzy człowieka zadowolonego, że może zrobić coś bezpiecznego i rozsądnego. Lecz w miarę czytania twarz mu się zmieniła. Zrozumiał, że może nawet więcej niż ona by chciała.

— Jest pani pewna, że nic nie można na to poradzić?

Valancy dobrze wiedziała, o co mu chodzi.

— Tak. Zna pan przecież reputację doktora Trenta w sprawach chorób serca. Nie pożyję długo. Może parę miesięcy albo parę tygodni. Ale chcę je przeżyć. Nie mogę wrócić do Deerwood, wie pan, jak wyglądało tam moje życie. A poza tym — wreszcie udało się jej to powiedzieć — kochani pana i chcę resztę mego życia spędzić z panem. To wszystko.

Barney oparł się o furtkę i w zadumie spojrział na białą gwiazdę mrugającą do niego sponad komina domu Ryczącego Abła. — Nic pani o mnie nie wie. Może jestem... mordercą.

— Nie, nie wiem. Może pan być kimś strasznym. Może to prawda, co o panu opowiadają. Lecz nie dbam o to.

— Tak bardzo ci na mnie zależy, Valancy? — spytał z niedowierzaniem, przenosząc wzrok z gwiazdy na jej oczy, jej dziwne i tajemnicze oczy.

— Bardzo mi zależy — odparła Valancy stłumionym głosem i zadrżała. Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Najśłodsza pieszczota, jakiej mogła zaznać: usłyszeć swoje imię wypowiedziane jego ustami.

— Jeśli mamy się pobrać — oznajmił Barney, zwracając się do niej nagle rzeczowym i opanowanym głosem — musimy porozumieć się w kilku sprawach.

— To oczywiste — zgodziła się Valancy.

— Są sprawy i rzeczy, które chcę utrzymać w tajemnicy — rzekł spokojnie Barney. — Nie wolno ci o nie pytać.

— Nie będę.

— Nigdy nie wolno ci przeglądać mojej poczty.

— Nigdy.

— I nigdy nie będziemy przed sobą niczego udawać.

— Nie będziemy. Nie będziesz nawet udawał, że mnie lubisz. Jeśli się ze mną ożenisz, wiem, że zrobisz to z litości.

— I nigdy nie będziemy się okłamywać. Żadnych kłamstw — małych, czy dużych.

— Zwłaszcza małych — zgodziła się Valancy.

— I będziesz musiała zamieszkać ze mną na wyspie. Ja nie chcę mieszkać gdzie indziej.

— Między innymi dlatego chcę wyjść za ciebie.

Barney przyjrzał się jej uważniej. — Wiesz, myślę, że tak jest naprawdę. No cóż, to pobierzmy się.

— Dziękuję — odparła Valancy w nagłym zawstydzeniu. Byłaby chyba mniej zakłopotana, gdyby odmówił.

— Przypuszczam, że nie mam prawa stawiać warunków, ale jeden postawię. Otóż nie możesz nigdy wspominać o mej chorobie, czy oczekującej mnie nagłej śmierci. Nie możesz skłaniać mnie, bym była ostrożna i uważała na siebie. Musisz zapomnieć — całkowicie zapomnieć, że nie jestem zdrowa. Napisałam list do matki — oto on — chcę, abyś go schował. Wszystko w nim wyjaśniłam. Jeśli umrę nagle, jak to się zapewne stanie...

— Będę oczyszczony w oczach twych krewnych z podejrzeń o otrucie żony — wtrącił z uśmiechem Barney.

— Otóż to — Valancy roześmiała się wesoło. — Tak się cieszę, że mam to już za sobą. To... raczej trudne przedsięwzięcie. Nie należy bowiem do moich zwyczajów nagabywanie mężczyzn, aby się ze mną żenili. Ładnie z twojej strony, że mi nie odmówiłeś, lub że nie zaproponowałeś braterskich uczuć.

— Pojadę do Port po zezwolenie na ślub. Możemy się pobrać jutro wieczorem. Czy mam umówić pastora Stallinga?

— Wielkie nieba, nie! — zawołała Valancy, wzdrygając się. — Zresztą on tego by nie zrobił. Zacząłby potrząsać mi palcem przed nosem i porzuciłabym cię na stopniach ołtarza. Nie, chcę, żeby dał nam ślub stary pan Tower.

— Wyjdiesz za mnie, jeśli zjawię się tak, jak stoję? — zapytał Barney, a mijający ich pełen turystów samochód głośno zatrąbił jakby z pogardą.

Valancy spojrzała na niego. Niebieska płócienna koszula, zniszczony kapelusz, zabłocone spodnie. No i nie ogolony!

— Tak — odpowiedziała.

Barney wyciągnął ręce nad furtką i ujął jej małe, zimne dłonie. — Valancy — starał się mówić swobodnie. — Wiesz, że nie jestem w tobie zakochany, nigdy nie myślałem o czymś takim. Lecz zapewniam, że zawsze uważałem cię za wspaniałą dziewczynę.

\* \* \*

Następny dzień minął Valancy jak sen. Otoczenie i wykonywane prace wydawały się nierzeczywiste. Nie widziała Barneya, choć przypuszczała, że musiał przejechać koło domu w drodze do Port po zezwolenie na ślub. A może jednak zmienił zdanie?

Lecz o zmierzchu światła Lady Jane omiotły szczyt wzgórza za ścieżką. Valancy oczekiwała pana młodego przy furtce. Miała na sobie zieloną sukienkę i zielony kapelusik z różą — był to jej jedyny odświętny strój. Nie wyglądała, ani nie czuła się jak panna młoda. Raczej przypominała wystraszonego elfa, zabłąkanego w otwartej, bezleśnej okolicy. Zresztą to nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia poza tym, że Barney po nią przyjechał.

— Gotowa? — spytał, zatrzymując Lady Jane z jakimś nowym i ogłuszającym łoskotem

— Tak. — Valancy weszła do samochodu i usiadła. Barney był w niebieskiej, płóciennej koszuli i takich samych spodniach, ale tym razem czystych. Palił jakąś cuchnącą fajkę i nie miał kapelusza. Lecz włożył bardzo szykowne buty z wysokimi cholewkami i ogolił się. Przejechali przez Deerwood, kierując się na prostą i wysadzaną drzewami drogę do Port.

— Nie zmieniłaś zdania? — upewnił się.

— Nie. A ty?

— Ja też nie.

To była cała ich rozmowa na trasie piętnastu mil. Wszystko wydawało się jeszcze bardziej nieprawdopodobne niż dotąd. Valancy nawet nie wiedziała, czy jest szczęśliwa, przestraszona, czy też po prostu głupia.

Gdy zamigotały przed nimi światła Port Lawrence, Valancy miała wrażenie, że otaczają ją setki par błyszczących, głodnych oczu wielkich, czających się do skoku panter. Barney zapytał krótko, gdzie mieszka pan Tower, ona mu równie krótko wyjaśniła. Zatrzymali się przed małym domem przy zaniedbanej ulicy. Weszli do skromnego saloniku i Barney wyjął zezwolenie na ślub bez zapowiedzi. A więc załatwił je... Wyjął też obrączkę. Obrączka była prawdziwa.

Stanęli razem przed panem Towerem. Valancy słyszała, jak obaj coś mówią, słyszała też głos jeszcze jakiejś osoby. Myślała o tym jak kiedyś, przed ukończeniem dwudziestu lat, planowała swój ślub. Biała, jedwabna suknia, welon z tiulu i kwiaty pomarańczy; żadnych druhen, tylko spiąca kwiaty dziewczynka w sukience z kremowej koronki na różowym spodzie, z wiankiem na głowie. No i pan młody szlachetnie wyglądający, nienagannie ubrany, tak jak nakazywała ówczesna moda... Podniosła wzrok i w małym, przekrzywionym lustrze nad kominkiem zobaczyła siebie w dziwnym, wcale nie ślubnym kapeluszu i sukience; Barneya w koszuli i spodniach. Lecz to był Barney i nic więcej się nie liczyło. Nie welon, nie kwiaty, nie goście, nie prezenty i weselny tort, tylko Barney. Przez resztę jej życia będzie tylko on.

— Pani Snaith, życzę pani szczęścia — usłyszała głos pastora Towera.

Nie wydawał się zdziwiony ich wyglądem. Na swoim odludziu oglądał z pewnością wiele niezwykłych par i ślubów. Nie wiedział, że Valancy była z deerwoodzkich Stirlingów, zresztą pewnie wcale nie wiedział, że byli w Deerwood jacyś Stirlingowie. Nie wiedział też, że Barney Snaith może ukrywać się przed wymiarem sprawiedliwości. To był straszliwie daleki od realnego życia człowiek. Lecz pewnie dlatego z taką powagą dał im ślub, a potem ciepło i uroczyste pobłogosławił, a gdy odjechali, długo modlił się w ich intencji.

— Co za miły sposób zawarcia małżeństwa — zauważył Barney, uruchamiając Lady Jane. — Żadnego zamieszania, żadnych przygotowań. Nigdy nie przypuszczałem, że ślub można tak gładko załatwić.

— Na miłość boską — odezwała się nagle Valancy. — Zapomnijmy, że jesteśmy małżeństwem i rozmawiajmy tak, jak byśmy nie byli. Nie zniosę drugiej takiej jazdy, jak w tę stronę.

Barney nareszcie zapuścił motori Lady Jane z piekielnym hałasem ruszyła z miejsca. — Chciałem w ten sposób ratować sytuację — powiedział. — Wydawało mi się, że nie masz ochoty na rozmowę.

— Nie miałam. Ale pragnęłam, abys ty coś mówił. Nie chcę, byś się do mnie zalecał, lecz zachowuj się jak zwykły, normalny człowiek. Opowiedz mi o tej swojej wyspie. Co to za miejsce?

— To najpiękniejsze miejsce na świecie. Na pewno ją pokochasz, tak jak ja, od pierwszej chwili. Dawniej wysepka należała do starego Toma MacMurraya. Zbudował chatę i mieszkał w niej zimą, a latem wynajmował przyjezdnym z Toronto. Odkupiłem ją od niego i tak dzięki prostej transakcji zostałem właścicielem domu i wyspy. Posiadanie wyspy daje niezwykłą satysfakcję. Czyż określenie „bezludna wyspa” nie jest urocze? Marzyłem o posiadaniu wyspy, odkąd przeczytałem *Robinsona Cruzoę*. Do dziś wydaje mi się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Jakże tam cudownie! Lasy wprawdzie należą do rządu, lecz nie płaci się podatków za oglądanie krajobrazów, a księżyc jest własnością wszystkich. Nie zastaniesz domu w idealnej czystości, więc sądzę, że zechcesz zaraz wziąć się za sprzątanie.

— Tak — potwierdziła Valancy. — Muszę mieć wokół siebie ład.

Nie dlatego bym chciała, ale bałagan mnie męczy. Tak, zabiorę się za porządkowanie twej chaty.

— Wiedziałem, że tak będzie — zauważył Barney zrezygnowany.

— Ale — ciągnęła Valancy tonem obietnicy — nie będę nastawała, abys wycierał nogi, gdy wrócisz z dworu.

— Nie, lecz zaczniesz wycierać za mną podłogę z miną męczennicy — odrzekł Barney. — Cóż, w każdym razie nie możesz sprzątać w przybudówce. Tam nie wolno ci nawet wchodzić. Drzwi będą zamknięte, a klucz zatrzymam przy sobie.

— Izba Sinobrodego — oznajmiła domyślnie Valancy. — Zapamiętam. Nie interesuje mnie, ile tam żon powiesiłeś, jeśli tylko wszystkie są naprawdę martwe.

— Zimne jak lód. Resztą domu rozporządzaj, jak chcesz. Nie ma tego dużo — jedna obszerna bawialnia i mała sypialnia — ale porządnie zbudowane. Stary Tom lubił swoją pracę. Belki sufitowe są z cedrowego drewna, a krokwie sosnowe. Okna bawialni wychodzą na wschód i zachód. Nie masz pojęcia, co za wspaniała sprawa taki pokój, w którym możesz oglądać wschód i zachód słońca. Mam też dwa koty — Banjo i Szczęściarza. Urocze zwierzaki. Banjo jest czarującym, wielkim, szarym kocurem, naturalnie prądkowanym. Lubię tylko prądkowane koty. Nigdy nie widziałem kota, który przeklinałby wytworniej i skuteczniej niż Banjo. Jedyńą jego wadę stanowi chrapanie przez sen. Szczęściarz jest zgrabniutkim małym kotkiem. Zawsze spogląda tak rzewnie, jakby chciał się z czegoś zwierzyć. Może kiedyś mu się to uda. Jak wiesz, raz na tysiąc lat jednemu kotu wolno przemówić. Oba moje zwierzaki są filozofami — nigdy nie płaczą nad rozlanym mlekiem. Na



szczybie sosny mieszkają dwie stare wrony, z którymi mam dobrosąsiedzkie stosunki. Nazywam je Nip i Tuck. Mam też łagodną, oswojoną sowę imieniem Leander. Wychowałem ją od pisklęcia. Teraz mieszka na stałym lądzie i pohukuje nocami. Są też nietoperze, bo to wspaniałe miejsce dla nich. Boisz się nietoperzy?

— Nie, nawet je lubię.

— Ja też. Miłe, dziwaczne i tajemnicze stworzenia. Przychodzą nie wiadomo skąd, odchodzą nie wiadomo dokąd. Frr... I już. Banjo również je lubi — jeść. Mam czółno i łódź motorową. To nią popłynąłem wczoraj do Port po zezwolenie na ślub. Jest cichsza od Lady Jane.

— Myślałam, że wcale nie pojechałeś, że... zmieniłeś zdanie — wyznała Valancy.

Barney roześmiał się i ten śmiech nie podobał się jej, był cyniczny, przyprawiony goryczą.

— Nigdy nie zmieniam zdania — odparł krótko. Z Port jechali przez Deerwood, szosą na Muskoka, obok domu Ryczącego Abla i dalej po wyboistej drodze. Tu skrył ich gęsty sosnowy las, gdzie powietrze było ciężkie i słodkie od aromatów maleńkich, delikatnych dzwoneczków, które jak dywan pokrywały pobocza drogi. Na brzegu Mistawis trzeba było zostawić Lady Jane. Wysiedli z auta i Barney poszedł przodem wąską ścieżką aż do brzegu jeziora. — Oto i nasza wyspa — powiedział z dumą. Valancy patrzyła i patrzyła. Nad wysepką unosiła się przezroczysta, liliowa mgiełka. Poprzez nią rysowały się sylwetki dwóch ogromnych, przypominających wieże sosen, których wierzchołki stykały się akurat nad chatą Barneya. Za tym wszystkim było niebo, jeszcze różowe od poświaty zachodu i jasny, młody księżyc.

Valancy zadrżała jak drzewo poruszone wiatrem. Coś zdawało się dotykać jej duszy. — Mój Błękitny Zamek! — zawołała półgłosem. — Och, mój Błękitny Zamek!

Wsiedli do czółna i popłynęli na wyspę. Za sobą pozostawili królestwo codzienności i rzeczy znane, a skierowali się ku królestwu tajemnic i czarów, gdzie wszystko może się zdarzyć. Barney wyniósł Valancy z czółna i postawił na omszałej skale pod młodą sosną. Trzymał ją w ramionach i nagle dotknął ustami jej ust. Valancy zadrżała z zachwyty przy swym pierwszym w życiu pocałunku.

— Witaj w domu, kochanie — powiedział Barney.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kuzynka Georgiana szła ścieżką prowadzącą od jej domu do drogi. Mieszkała w odległości pół mili od Deerwood, a teraz wybrała się do Amelii, by dowiedzieć się, czy Doss już wróciła. Kuzynce Georgianie bardzo zależało na spotkaniu z Doss — miała jej bowiem coś ważnego do powiedzenia. Coś, czego z pewnością chętnie wysłucha. Biedna Doss! Życie poskapało jej radości. Kuzynka Georgiana przyznawała w duchu, że ona nie chciałaby pozostawać u Amelii pod pantoflem. Lecz teraz wszystko się zmieni i w związku z tym kuzynka czuła się szalenie ważna. Do tego stopnia, że nawet przestała zastanawiać się nad tym, „kto z nas będzie następny”.

A oto i Doss we własnej osobie na ścieżce przy domu Ryczącego Abła. W takim dziwnym, zielonym kapeluszu i zielonej sukience. Szczęśliwie się składa, pomyślała kuzynka Georgiana. Jest okazja podzielenia się wspaniałą tajemnicą i nikt nie przerwie im rozmowy. Można to nazwać zrzędzeniem Opatrzności.

Valancy, która już od czterech dni mieszkała na swej zaczarowanej wysepce, postanowiła wreszcie pójść do Deerwood i zawiadomić rodzinę o wyjściu za męża. W innym bowiem razie, gdy odkryją, że nie ma jej u Ryczącego Abła, mogą rozpocząć poszukiwania. Barney zaproponował, że ją zawiezie, ale wolała iść sama. Teraz uśmiechnęła się promiennie do kuzynki Georgiany, która, jak pamiętała z dawnych czasów, nie była wcale taka zła. Zresztą Valancy czuła się niezwykle szczęśliwa i gotowa była uśmiechać się do każdego, nawet do stryja Jamesa.

Towarzystwo kuzynki nie sprawiło jej przykrości. Odkąd domy przy drodze zaczęły pojawiać się coraz częściej, dostrzegła z każdego okna obserwujące ją pełne ciekawości oczy.

— Przypuszczam, że idziesz do domu, Doss? — spytała kuzynka, gdy uściśnieły sobie ręce na powitanie. Obrzuciła przy tym ukradkowym spojrzeniem sukienkę Valancy, zastanawiając się, czy ta ma pod nią jakąś halkę.

— Prędej czy później — odparła tajemniczo Valancy.

— A więc pójdę razem z tobą. Chciałam cię, moja droga, koniecznie zobaczyć. Mam coś wspaniałego do zakomunikowania.

— Tak? — odparła z roztargnieniem Valancy. Dlaczego to kuzynka Georgiana wygląda tak tajemniczo i uroczyście? Lecz co ją to może obchodzić? Nic jej nie obchodzi poza Barneyem i Błękitnym Zamkiem na wyspie.

— Jak sądzisz, kto odwiedził mnie przedwczoraj? — zapytała filuternie kuzynka.

Valancy nie mogła odgadnąć.

— Edward Beck. — Kuzynka zniżyła głos do szeptu i powtórzyła z naciskiem: — Edward Beck.

— Dlaczego z naciskiem? I dlaczego ona się rumieni? — zapytała w duchu Valancy, a głośno odezwała się obojętnie: — Któż to jest ów Edward Beck?

Kuzynka osłupiała. — Ależ powinnaś go pamiętać. Mieszka w takim pięknym domu przy drodze do Port Lawrence i chodzi do naszego kościoła — regularnie. Musisz go pamiętać.

— Och, chyba tak — odparła Valancy, wytěżając pamięć. — To ten starzec z guzem na czole i tuzinem dzieci, co zawsze siedzi w ławce przy drzwiach, prawda?

— Jaki tam tuzin dzieci! Nic podobnego, jest ich tylko dziewięć. W każdym razie żyjących, reszta umarła. On wcale nie jest stary, ma chyba czterdzieści osiem lat. Znajduje się w kwiecie wieku, Doss. A jakie znaczenie ma guz na czole?

— Żadnego, oczywiście — zgodziła się szczerze Valancy. Dla niej naprawdę nic nie znaczyło, czy Edward Beck ma jeden guz, tuzin guzów, czy nie ma ich wcale. Tym niemniej zaczynała coś podejrzewać. Na twarzy kuzynki dostrzegła wyraz powstrzymanego triumfu. Czyżby Georgiana myślała o ponownym zamążpójściu? O wydaniu się za Edwarda Becka?

Absurd. Miała sześćdziesiąt pięć lat, jeśli nie więcej, i jej małą twarz pokrywała gęsta siateczka zmarszczek. Wyglądała na sto lat. Lecz nigdy nic nie wiadomo...

— Moja droga — ciągnęła niezrażona kuzynka. — Edward Beck chce się żenić z tobą.

Valancy przez chwilę wpatrywała się w krewniaczkę, a potemomal nie wybuchnęła śmiechem. Ostatecznie jednak tylko spytała: — Ze mną?

— Tak, z tobą. Zakochał się w tobie na pogrzebie i przyszedł do mnie poradzić się w tej kwestii. Byłam wielką przyjaciółką jego pierwszej żony. On myśli o tym poważnie, Doss. Dla ciebie to doskonała partia. Jest zamożny, a ty... no wiesz, ty...

— A ja już nie jestem młoda — dokończyła Valancy. — Czy naprawdę jesteś przekonana, że byłabym dobrą macochą?

— Jestem tego pewna. Zawsze lubiłaś dzieci.

— Ale dziewięcioro na początek to trochę dużo — poważnie oponowała Valancy.

— Dwoje najstarszych już dorosło, a trzecie dorasta. Pozostaje więc tylko sześcioro. Większość z nich to chłopcy, a ich łatwiej wychowywać. Jest taka znakomita książka, *Opieka nad zdrowiem dorastających dzieci*, Gladys ją ma. Będzie ci wielką pomocą. Są też książki o wychowaniu moralnym. Dasz sobie doskonale radę. Powiedziałam panu Beckowi, że sądzę, iż zechcesz... zechcesz...

— Złapać go — dokończyła Valancy.

— Och, nie, moja droga, nie. Nigdy bym nie użyła tak niedelikatnego wyrażenia. Przyznałam, że zapewne zechcesz rozważyć tę propozycję na jego korzyść. I zrobisz tak, prawda, kochasiu?

— Jest jedna przeszkoda — wyszeptła z rozmarzeniem Valancy. — Widzisz, już jestem mężatką.

— Mężatką! — Kuzynka Georgiana stanęła na drodze jak wryta i wytrzeszczyła oczy. — Mężatką — powtórzyła.

— Tak. Wyszłam za Barneya Snaitha we wtorek wieczorem w Port Lawrence.

Na szczęście tuż obok był poręczny słupek od furtki i kuzynka Georgiana mogła go chwycić. — Doss, drogie dziecko, jestem starą kobietą, czy ty ze mnie żartujesz?

— Skądże znowu. Mówię poważnie. Na miłość boską, kuzynko Georgiano... — Valancy zaniepokoiło zachowanie krewnej. — Nie będziesz chyba płakać tutaj, na publicznej drodze!

Kuzynka przełknęła łzy i zaczęła wydawać jęki rozpaczny. — Och, Doss! Coś ty narobiła! Coś ty narobiła!

— Właśnie ci oznajmiłam: wyszłam za mąż — odparła Valancy spokojnie.

— Ale za... za... tego... tego Barneya Snaitha? Przecież mówią, że on ma pół tuzina żon.

— W tej chwili jestem jedyną aktualną — wyjaśniła Valancy.

— Co powie twoja biedna matka? — jęknęła kuzynka.

— Chodź ze mną, to usłyszysz, jeśli cię to interesuje. Właśnie idę ją zawiadomić.

Kuzynka Georgiana ostrożnie wypuściła z rąk słupek furtki i stwierdziła, że zdoła utrzymać się na nogach. Potulnie podreptała obok Valancy, która w jej oczach nagle przeistoczyła się w zupełnie inną osobę. Kuzynka bowiem darzyła mężatki wielkim respektem. Przerzął ją jednak postępek nieszczęsnej dziewczyny. Taki pochopny czyn, taka lekkomyślność. Jasne, że Valancy musi być pomyłona. Lecz przy całym wariactwie wydawała się bardzo szczęśliwa i kuzynka nagle pomyślała, że szkoda byłoby, gdyby klan próbował przywołać ją do rozsądku. Nigdy przedtem nie widziała takiego wyrazu w jej oczach. Lecz co powie Amelia? A Ben?

— Wyjść za człowieka, o którym się nic nie wie — rozmyślała głośno kuzynka Georgiana.

— Wiem o nim znacznie więcej niż o Edwardzie Becku — odparła Valancy.

— Edward Beck chodzi do kościoła — oświadczyła kuzynka. — A Bar..., a twój mąż chodzi?

— Obiecał, że pójdzie ze mną w którąś niedzielę przy ładnej pogodzie.

Gdy doszły do domu Stirlingów, Valancy krzyknęła zdziwiona. — Popatrz na mój różany krzew! Przecież on kwitnie!

Rzeczywiście, krzew tonął w kwiatach. Dużych, purpurowych, aksamitnych kwiatach. Pachnących, wspaniałych.

— Przycięcie dobrze mu zrobiło — powiedziała Valancy wesoło. Zerwała pęk kwiatów — będą ładnie wyglądały na stole nakrytym do kolacji — i ruszyła roześmiana ku domowi. Na schodach spostrzegła Olivię. Piękna jak bogini spoglądała na nią z góry ze zmarszczonym czołem. Olivia o posągowych kształtach, spowita w jedwab i koronki, o bujnych złotobrazowych włosach, wymykających się spod szerokiego ronda białego kapelusza.

— Piękna — pomyślała spokojnie Valancy. Nagle zobaczyła kuzynkę jakby pierwszy raz i dodała — lecz zupełnie pozbawiona oryginalności.

— Bogu dzięki, Valancy wróciła do domu — pomyślała Olivia. Tyle tylko, że kuzynka wcale nie przypomina skruszonej córki marnotrawnej. To właśnie wywołało zmarszczkę na czole Olivii. Ta dziewczyna wygląda triumfująco, zuchwale! Do tego cudaczna suknia, kapelusz, naręcze purpurowych róż... A zarazem w sukni i kapeluszu było coś takiego — zauważyła w myślach Olivia — czego brakowało w jej własnym stroju. To pogłębiło zmarszczkę. Wyciągnęła rękę wyniosłym gestem. — A więc wróciłaś, Doss? Ciepły mamy dzień, prawda? Przyszłaś pieszo?

— Tak. Czy wchodzisz?

— Nie. Już tam byłam. Często wpadam pocieszyć biedną ciocię Amelię. Jest bardzo osamotniona. Teraz idę na herbatę do pani Bartlett. Wydaje ją dla swej kuzynki z Toronto. Niezwykła, czarująca dziewczyna. Byłabyś zadowolona z poznania jej, Doss. Zdaje się, że pani Bartlett przysłała ci zaproszenie. Może wpadniesz tam trochę później?

— Nie, nie przypuszczam — odparła obojętnie Valancy. — Muszę wrócić do domu i przygotować Barneyowi kolację. Wybieramy się popływać czółnem po jeziorze, przy świetle księżyca.

— Barney? Kolacja? — wykrztusiła Olivia. — O czym ty mówisz, Valancy Stirling?

— Valancy Snaith, z woli boskiej. — Podsunęła wstrząśniętej kuzynce dłoń z obrączką przed oczy, a potem zręcznie ją wyminawszy, weszła do domu. Krok w krok podążała kuzynka Georgiana. Za nic w świecie nie chciała stracić nadchodzącej wielkiej sceny, nawet gdyby Olivia miała zemdleć, na co zresztą wyglądała.

Lecz Olivia nie zemdląca. Szła zaskoczona ulicą do domu pani Bartlett, zadając sobie pytanie: — Co Valancy miała na myśli? Nie mogła przecież... ta obrączka... och, jaki skandal... Ta okropna dziewczyna ściąga nową hańbę na bezbronną rodzinę. Powinni... już dawno powinni kazać ją zamknąć!

Valancy otworzyła drzwi saloniku i nieoczekiwanie znalazła się wśród posępnego zgromadzenia Stirlingów. Rodzina nie zebrała się jednakże rozmyślnie. Ciotka Wellington i kuzynka Gladys, ciotka Mildred i kuzynka Sarah po prostu wstąpiły, wracając do domów ze spotkania towarzystwa misyjnego. Stryj James zaszedł, by przekazać Amelii informację na temat zamierzonej a niepewnej inwestycji. Stryj Beniamin wpadł chyba tylko po to, aby oznajmić, że dzień jest upalny i spytać obecnych, jaka jest różnica między osą a osłem. Kuzynka Stickles okazała się nietaktowna, bo znafe odpowiedź i popsowała stryjowi humor. Natomiast umysł wszystkich nurtowało, nie wyrażone słowami pytanie, czy Valancy wróciła do domu. Jeśli zaś nie, to jakie kroki należy przedsięwziąć w tej sprawie.

Niespodzianie Valancy pojawiła się osobiście, z podniesioną głową, pewna siebie, a nie pokorna i godna potępienia istota, na jaką powinna wyglądać. Do tego dziwnie odmłodniała i ładna. Stała na progu, przyglądając się obecnym. Za nią kuliła się w lękliwym oczekiwaniu kuzynka Georgiana. Valancy była tak szczęśliwa, że nie czuła do rodziny żadnej niechęci. Dostrzegła w krewnych nawet cechy pozytywne, których dawniej nie widziała. I bardzo się nad nimi litowała, a ta litość czyniła ją łagodną.

— I cóż, mam — odezwała się uprzejmie.

— Więc nareszcie wróciłaś do domu! — powiedziała pani Fryderykova i wyciągnęła chusteczkę. Nie śmiała okazywać oburzenia, lecz nie zamierzała również zrezygnować z wylania kilku łez.

— No, niezupełnie — odparła Valancy i rzuciła swą bombę. — Uważałam za obowiązek wstąpić i powiadomić cię, że wyszłam za mąż. W ubiegły wtorek wieczorem, za Barneya Snaitha.

Stryj Benjamin podskoczył na krzesło i ciężko opadł z powrotem. — Boże, miej w opiece mą duszę — rzekł głucho. Reszta rodziny skamieniała. Z wyjątkiem kuzynki Gladys, która zasłała i ciotka Mildred ze stryjem Wellingtonem musieli ją wyprowadzić do kuchni.

— Powinna trwać przy wiktoriańskiej tradycji i zemdleć — zauważyła z ironicznym uśmiechem Valancy. Nie czekając na zaproszenie, usiadła na krzesło. Kuzynka Stickles załkała.

— Czy w swoim życiu choć przez jeden dzień nie płakałaś? — spytała wyraźnie zaciekawiona Valancy.

— Valancy — odezwał się stryj James, który jako pierwszy odzyskał głos. — Czy to prawda?

— Tak.

— Więc rzeczywiście upadłaś tak nisko, że poślubiłaś, poślubiłaś tego osławionego Barneya Snaitha, tego... kryminalistę... tego...

— Poślubiłam.

— W takim razie — dodał oburzony stryj James — jesteś bezwstydną istotą, pozbawioną poczucia godności i przyzwoitości. Umywam ręce i pozostawiam cię własnemu losowi. Nigdy więcej nie pokazuj mi się na oczy.

— A co powiedziałbyś na mój temat, gdybym popełniła morderstwo? — spytała Valancy.

Stryj Benjamin znowu zwrócił się do Boga o opiekę nad swą duszą, po czym jęknął. — Ten pijany wyrzutek... ten...

W oczach Valancy pojawiły się niebezpieczne błyski. Mogli mówić, co im ślina na język przyniosła o niej, ale nie wolno im rzucać obelg na Barneya. — Powiedz „cholerny” i zaraz poczujesz się lepiej — zaproponowała.

— Potrafię wyrażać uczucia bez przeklinania. Powiem ci, że okryłaś się hańbą i wieczną niesławą, wychodząc za tego pijaczynę...

— Byłbyś znośniejszy stryju, gdybyś wypił od czasu do czasu. Lecz Barney nie jest pijakiem.

— Widziano go pijanego w Port Lawrence, zalanego do nieprzytomności. — Nie ustępował stryj Benjamin.

— Jeśli to prawda, w co nie wierzę, musiał mieć ku temu ważny powód. Proponuję, żebyście przestali robić tragiczne miny i zaakceptowali sytuację. Jestem zameżna i nie możecie tego zmienić. A ponadto jestem bezgranicznie szczęśliwa.

— Dzięki Bogu, że się chociaż z tobą ożenił — kuzynka Sarah próbowała dostrzec jasną stronę sytuacji.

— Jeśli to naprawdę zrobił — dodał stryj James, który dopiero co umył ręce od spraw Valancy. — Kto wam dawał ślub?

— Pastor Tower, z Port Lawrence.

— Wolny metodysta! — jęknęła pani Fryderykova, jakby ślub dany przez metodystę uwięzionego był odrobinę mniej haniebnym.

Było to pierwsze wypowiedziane przez nią zdanie. Rzecz w tym, że nie wiedziała, co powiedzieć. Znalazła się w koszmarnej sytuacji. Żywiła przekonanie, że za chwilę się obudzi i wszystko okaże się snem. Czy musiało ją to spotkać właśnie teraz, kiedy pojawiła się nadzieja na pogrzebie...

— To mi przypomina te, no jak je tam — opowieści, no wiecie, o złych wrózkach zamieniających dzieci w kołyskach — oznajmił bezradnie stryj Beniamin.

— Valancy ma dwadzieścia dziewięć lat i trudno byłoby ją zamienić — wtrąciła drwiąco ciotka Wellington.

— Była najdziwaczniejszym niemowlęciem, jakie widziałem — nie poddawał się stryj Beniamin. — Już wtedy mówiłem, pamiętasz Amelio? Mówiłem, że dotąd nie spotkałem ludzkiej twarzy z takimi oczami.

— Jestem zadowolona, że nigdy nie miałam dzieci — oznajmiła kuzynka Sarah. — Zawsze znajdą sposób, by złamać rodzicom serce.

— Czy nie lepiej mieć serce złamane, niż miałoby zwiędnąć bezużytecznie? — wtrąciła Valancy. — Zanim zostanie złamane, musi coś odczuwać. A to warte jest bólu.

— Stuknięta, całkowicie pomyłona — mruknął stryj Beniamin z jakimś niejasnym i nieprzyjemnym uczuciem, że gdzieś to już słyszał.

— Valancy — odezwała się pani Fryderykowa dostojnie — czy modlisz się, by wybaczone ci nieposłuszeństwo wobec matki?

— Powinnam się raczej modlić o wybaczenie, że tak długo byłam posłuszna — odparła niewzruszenie Valancy. — Lecz nie modlę się o to. Po prostu dziękuję Bogu codziennie za swoje szczęście.

— Wolałabym — tu pani Fryderykowa zaczęła płakać — widzieć cię martwą, niż usłyszeć to, co dzisiaj powiedziałaś.

Valancy popatrzyła uważnie na matkę i ciotki. Zastanawiające, czy one kiedykolwiek zaznały prawdziwej miłości? W tej chwili litowała się nad nimi jeszcze bardziej niż dotychczas. Tak byty godne pożałowania i nawet tego nie podejrzewały.

— Barney Snaith jest łajdakiem, jeśli namówił cię do tego małżeństwa — zawyrokował stryj James.

— Och, to ja go do tego namówiłam. Ja poprosiłam, by się ze mną ożenił — odparła Valancy z drwiącym uśmiechem.

— Nie masz odrobiny dumy? — zagrzmiała ciotka Wellington.

— Całe mnóstwo. Jestem dumna ze zdobycia męża bez niczyjej pomocy. Kuzynka Georgiana chciała mi pomóc złapać Edwarda Becka.

— Edward Beck ma dwadzieścia tysięcy dolarów w banku i najładniejszy dom między Deerwood a Port Lawrence — nie omieszkał zauważyć stryj Beniamin.

— Brzmi to doskonale — odparowała pogardliwie Valancy — ale nie jest warte tego — i tu strzeliła palcami — w porównaniu z uczuciem, którego doznaję, gdy Barney bierze mnie w ramiona i tuli twarz do mej twarzy.

— Och, Doss! — powiedziały jednocześnie kuzynki Stickles i Sarah. Ciotka Wellington zaś zawołała: — Valancy, nie bądź nieprzyzwoita!

— Co w tym nieprzyzwoitego, że lubi się być w ramionach męża? Raczej nieprzyzwoitością byłoby, gdybym tego nie lubiła.

— Dlaczego mamy oczekiwać od niej przyzwoitości? — zapytał sarkastycznie stryj James. — Przecież na zawsze odcięła się od porządnego życia. Lecz cóż, jak sobie pościele, tak się wyśpi. Nie przeszkadzajmy jej w tym.

— Dziękuję — oświadczyła szczerze wdzięczna Valancy. — Wyobrażam sobie, jak byś się znakomicie czuł na miejscu Torquemady. No, ale teraz muszę już wracać. Mamo, czy mogę zabrać te trzy poduszki, które zrobiłam na szydełku ostatniej zimy?

— Weź je! Weź wszystko! — krzyknęła pani Fryderykowa.

— Och, ja wcale nie chcę wszystkiego. Nie mam zamiaru zagracać mego Błękitnego Zamku. Zabiorę tylko poduszki. Wpadnę po nie któregoś dnia, gdy będziemy przejeżdżać. — Po czym podniosła się i podeszła do wyjścia. Tu stanęła i obejrzała się. Współczuła im

jeszcze bardziej niż przedtem. Oni nie mieli Błękitnego Zamku i purpurowej samotności Mistawis.

— Cały kłopot z ludźmi takimi jak wy — stwierdziła — tkwi w tym, że się prawie wcale nie śmiejecie.

— Doss, droga moja — zauważyła pośpiesznie kuzynka Georgiana — któregoś dnia przekonasz się, co znaczą więzy krwi; zrozumiesz, że krew jest gęściejsza od wody, jak mówi przysłowie.

— Pewnie że jest. Tylko po co komu gęsta woda? — zareplikowała Valancy. — My lubimy wodę krystalicznie przezroczystą, migoczącą w słońcu.

Kuzynka Stickles wydała jęk rozpacz.

Valancy nie zaprosiła nikogo do swego nowego domu. Szczerze mówiąc bała się, że odwiedziłiby ją z czystej ciekawości. Spytała tylko: — Czy pozwolisz, mamó, bym od czasu do czasu wpadła do ciebie?

— Mój dom zawsze będzie otwarty dla ciebie — odparła z patosem pani Fryderykowa.

— Nie powinnaś się do niej przyznawać — oznajmił stanowczo stryj James, gdy za Valancy zamknęły się drzwi.

— Nie mogę tak całkiem zapomnieć, że jestem matką — westchnęła pani Fryderykowa. — Moja biedna, nieszczęsna córka!

— Prawdopodobnie to małżeństwo nie jest legalne — stwierdził pocieszająco stryj James. — Był pewnie żonaty już wcześniej i to kilka razy. Ja w każdym razie nie chcę mieć z nią do czynienia. Zrobiłem, co mogłem i ty o tym wiesz, Amelio. Odtąd więc — stryj James szalenie uroczyście potraktował całą sprawę — Valancy jest dla mnie martwa.

— Pani Barneyowa Snaith — kuzynka Georgiana wymówiła wolno, jakby sprawdzając brzmienie nazwiska.

— On ma z pewnością wiele pseudonimów — wtrącił stryj Benjamin. — Jestem przekonany, że ten osobnik to pół — Indianin. Nie wątpię też, że zamieszkali w szafasie.

— Jeśli ożenił się z nią pod fałszywym nazwiskiem, to czy nie da się małżeństwa unieważnić? — spytała kuzynka Stickles.

Stryj James pokręcił przecząco głową. — Nie, żeni się mężczyzna, a nie nazwisko.

— Wiecie — włączyła się do rozmowy kuzynka Gladys, która już przysłała do siebie — miałam złe przeczucia już na srebrnym weselu Herberta. Zwróciłam mu wtedy uwagę. Wówczas tak broniła tego Snaitha, pamiętacie, prawda? To zrobiło na mnie duże wrażenie. Po powrocie do domu rozmawialiśmy o tym z Dawidem.

— Co naszło tę nieszczęsną Valancy? — zwróciła się do całego świata ciotka Wellington. Pomyśleć tylko, Valancy!

Świat zbył pytanie milczeniem, ale stryj James nie. — Czyż nie mówi się ostatnio o coraz liczniejszych przypadkach dziwaczenia ludzi? Nie przywiązuję wagi do tych modnych pomysłów i teoryjek, lecz w tym może coś być. To by wyjaśniało jej niezrozumiałe zachowanie.

— Valancy bardzo lubi grzyby — westchnęła kuzynka Georgiana. — Boję się, by przypadkiem nie otruła się, mieszkając w tej leśnej głuszy.

— Są rzeczy gorsze od śmierci — obwieścił stryj James przekonany, że ów truizm został wygłoszony po raz pierwszy.

— Nic już nie będzie takie samo jak dawniej — wyszlochała kuzynka Stickles.

Tymczasem Valancy zwawo podążała piaszczystą drogą ku swej wyspie. Zupełnie zapomniała o rodzinie, a także o tym, że nadmierny pośpiech może spowodować natychmiastową śmierć.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Minęło lato. Klan Stirlingów — z wyjątkiem osoby tak mało znaczącej jak kuzynka Georgiana — milcząco poszedł w ślady stryja Jamesa i traktował Valancy jako martwą. Nie było to takie proste, ponieważ Valancy miała zwyczaj ożywania, gdy oboje z Barneyem przejeżdżali przez Deerwood tym swoim rozklekotanym autem. Valancy zwykle bez kapelusza i z rozpromienionymi oczami. Barney też z gołą głową, z dymiącą fajką, ale ogolony. Teraz zawsze był ogolony. Oboje mieli tyle tupetu, by wstępować do sklepu stryja Beniamina po zakupy. Dwukrotnie stryj ich zignorował, no bo czyż Valancy nie umarła dla rodziny? Lecz za trzecim razem powiedział Barneyowi, że jest łobuzem, którego należałoby powiesić za wywabienie z rodzinnego domu słabej na umyśle dziewczyny.

Barney uniósł jedną brew. — Uczyniłem ją szczęśliwą — powiedział spokojnie. — Z rodziną i przyjaciółmi czuła się nieszczęśliwa. I w tym rzecz.

Stryj Benjamin patrzył osłupiały. Nigdy w życiu nie przyszło mu do głowy, że kobiety muszą, lub powinny być „uszcześliwiane”. — Ty... ty szczeniaku! — wykrzyknął w końcu.

— Dlaczego tak mało oryginalnie? — zapytał przyjaźnie Barney. — Każdy może być szczeniakiem. Dlaczego nie wymyśli pan czegoś godnego Stirlingów? A poza tym, nie jestem już szczeniakiem. Raczej psem w średnim wieku. Mam trzydzieści pięć lat, gdyby to pana interesowało.

Stryj Benjamin w porę przypomniał sobie, że Valancy nie istnieje i odwrócił się do obojga plecami.

Valancy była szczęśliwa. Szczęśliwa niewymownie i bezgranicznie. Miała wrażenie, że życie stało się cudownym domem, w którym każdy dzień otwierał nowy, tajemniczy pokój. Był to świat nie mający nic wspólnego z tym, który opuściła. Świat poza czasem, wiecznie młody — gdzie nie było ani przeszłości, ani przyszłości — tylko terażniejszość. A ona świadomie poddała się jej czarowi. Niezwykła wolność panowała w tym świecie. Mogła robić dokładnie to, co chciała. Żadnych wścibskich sąsiadów, tradycji, krewnych i powinowatych. „Spokój, spokój doskonały, gdy wszyscy bliscy są daleko” — jak to cytował bez zażenowania Barney.

Valancy raz wybrała się do domu i zabrała poduszki. Kuzynka Georgiana podarowała jej jedną ze swych słynnych sznurkowych kap o wymyślnym wzorze. — Na łóżko do pokoju gościnnego — powiedziała.

— Lecz ja nie mam pokoju gościnnego — stwierdziła Valancy. Zaskoczyła tym kuzynkę. Nie mogła sobie wyobrazić domu bez pokoju gościnnego.

— Ale nakrycie jest śliczne — dodała Valancy i cmoknęła ją w policzek. — Bardzo się cieszę. Przykryję nim łóżko, bo kapa Barneya jest mocno wytarta.

— Nie rozumiem, dlaczego tak cieszy cię mieszkanie na odludziu — westchnęła kuzynka. — Istny koniec świata!

Valancy roześmiała się. Tłumaczenie czegokolwiek kuzynce Georgianie nie miało sensu. — Ale to — ‘powiedziała — najpiękniejszy koniec świata.

— Naprawdę jesteś szczęśliwa? — spytała kuzynka.

— Naprawdę — odparła poważnie Valancy, choć w oczach miała wesołe ogniki.

— Małżeństwo to poważna sprawa — znowu westchnęła kuzynka Georgiana.

— Jeśli musi trwać długo — zgodziła się Valancy.

Kuzynka nic z tego nie rozumiała. Lecz zaniepokojona leżała bezsennie nocami, zastanawiając się, co Valancy miała na myśli.

Valancy kochała swój Błękitny Zamek i była zeń zadowolona. Obszerna bawialnia miała trzy okna z przepięknym widokiem na jezioro. Okno wykuszowe z witrażem, który Tom MacMurray przywiózł z małego, zrujnowanego kościółka, wychodziło na zachód. Kiedy



przez kolorowe szybki wpadały promienie słońca, Valancy pragnęła uklęknąć do modlitwy jak w katedrze. Naprzeciw okien znajdował się prawdziwy kominek z paleniskiem na drwa, nieskażony jakimś tam gazowym płomieniem. Przed kominkiem leżała skóra szarego niedźwiedzia. Okropną czerwoną kanapę z epoki Toma MacMurraya okrywały srebrzyste wilcze futra i poduszki wykonane przez Valancy. Dzięki temu kanapa sprawiała zupełnie sympatyczne wrażenie. W rogu pokoju leniwie tykał stary, stojący zegar. Jeden z tych, które się nie spieszą, miarowo odliczając godziny. Był niesłychanie zabawny, przysadzisty, z dużą okrągłą tarczą i wymalowaną na niej męską twarzą.

W specjalnej gablotce stały wypchane sowy, a na ścianach wisiały jelenie poroża — również z czasów Toma. Stare wygodne fotele zachęcały do wypoczynku. Małe krzeselko z poduszką należało do Banjo. Jeśli ktokolwiek odważył się tam usiąść, kocur wlepił w niego gniewne, żółte jak topazy oczy. Banjo lubił, zwieszając się z oparcia krzeselka, chwycić za koniuszek własny ogon. Złościło go niepowodzenie, wówczas syczał groźnie i złowieszczo. Gdy natomiast ugryzł się zbyt mocno, miauczał rozpaczliwie. Barney i Valancy obserwując te wyczyny, zaśmiewali się do łez. Jednak oboje bardziej kochali Szczęściarza.

Przy jednej ze ścian bawialni stały proste półki sosnowe wypełnione książkami. Między oknami wisiało lustro w poczemiałej, złoczonej ramie, ozdobionej pulchnymi amorkami. Lustro, zdaniem Valancy przypominało to, w którym przeglądała się Wenus i każdej kobiecie dodawało uroku. Valancy w każdym razie podobało się własne odbicie. Może dlatego, że przycięła krótko włosy. Nie wynaleziono jeszcze trwałej ondulacji i krótkie włosy uważano za coś skandalicznego, chyba że się chorowało na tyfus. Gdy wieść o tym dotarła do pani Fryderykowej, ta omal nie wykreśliła imienia Valancy z rodzinnej Biblii. Włosy obciął jej Barney na pazia. Nowe uczesanie nadało drobnej, trójkątnej twarzy wyraz zdecydowania, którego przedtem nie posiadała. Teraz nawet nos przestał ją irytować. Oczy błyszczały żywnością, a żółtawa cera nabrała cieplej, kremowej barwy. Nieaktualny stał się dawny rodzinny żart; nareszcie przytyła i nie można było o niej mówić „skóra i kości”. Wprawdzie nikt nie nazwałby Valancy piękną, lecz należała do kobiet, które najlepiej wyglądają na tle lasu i mają w sobie coś z rusałki, coś pociągającego i drażniącego zarazem.

Serce nie sprawiało jej prawie żadnych kłopotów. Kiedy zbliżał się atak, zwykle mogła nad nim zapanować, przyjmując miksturę doktora Trenta. Jedyny cięższy przeżyła pewnej nocy, gdy akurat skończyło się lekarstwo. Wtedy uświadomiła sobie, że śmierć tylko czyha, by ją dopaść zniecka. Przeważnie jednak nie chciała w ogóle o tym pamiętać.

\* \* \*

Valancy nie przemęczała się zbytnio. Właściwie to niewiele miała do roboty. Przyrządzała posiłki i z właściwą sobie skrupulatnością wykonywała drobne domowe prace. Jadali zazwyczaj na werandzie, dotykającej niemal jeziora. Barney uśmiechał się do niej przez stół zagadkowym, nieco drwiącym uśmiechem. Często też powtarzał: — Ależ niezwykły widok wybrał sobie stary Tom, gdy budował tę chatę.

Najbardziej lubiła porę kolacji. Wtedy to barwy Mistawis osiągały takie piękno, że trudno je było wyrazić słowami. Cienie, przez cały dzień stłoczone pod sosnami, wśród paproci i krzewów, o zmierzchu wymykały się na wolność.

Koty z niewinnymi i poważnymi minami siadywały na werandzie, zjadając rzucane im przez Barneya kąski. A jedzenie było doskonałe! Valancy, choć otoczona romantyczną scenerią, nie zapomniała, że mężczyźni mają żołądki. Toteż Barney nie szczędził żonie komplementów.

— Trzeba przyznać — mówił — że smaczne jedzenie ma swoje zalety. Zazwyczaj radziłem sobie w ten sposób, że gotowałem za jednym zamachem tuzin, półtora jaj. Kiedy poczułem głód, zjadałem kilka z chlebem i plasterkiem bekonu, popijając dzbankiem herbaty.

Po posiłku siedzieli jeszcze długo na werandzie i rozmawiali albo milczeli. Barney pykał fajkę, Valancy rozmyślała i marzyła, wpatrując się w dalekie wzgórza, hen za jeziorem”, oświetlone czerwonymi promieniami zachodzącego słońca. Księżycowy blask powoli zaczynał srebrzyć tafłę jeziora; na tle nieba pojawiały się ciemne sylwetki nietoperzy. Malutki wodospad, szumiący nie opodal na wysokim brzegu, wyglądał jak wspaniała kobieca postać w bieli. Z dali dochodziło tajemnicze pohukiwanie Leandra. Jak dobrze i bezpiecznie było tak siedzieć beczynn timer w ciszy, mając naprzeciwko pykającego fajkę Barneya.

Na jeziorze znajdowało się kilka wysepek, ale żadna na tyle blisko, by stać się kłopotliwym sąsiedztwem. Bardzo daleko na horyzoncie rysowała się grupa maleńkich wysepek zwanych „Wyspy Szczęśliwe”. O wschodzie słońca wyglądały jak garść szmaragdów, a o zachodzie przybierały barwę ametystu. Na większych, zamieszkałych wysepkach wieczorami zapalały się światła, przy brzegach płonęły ogniska, rzucając na wodę ogromne, krwawoczerwone błyski. Z łodzi lub wielkiego domu pewnego milionera dochodziły dźwięki muzyki.

— Chciałabyś mieć taki dom, Promyczku? — zapytał kiedyś Barney, wskazując ręką. Ostatnio zaczął nazywać ją Promykiem i Valancy bardzo się to podobało.

— Nie — odrzekła, choć nigdy marzyła o zamku na szczycie góry, dziesięć razy większym od letniego domku bogacza. Teraz jednak współczuła mieszkańcom pałaców. — Nie, jest zbyt elegancki. Zawładnąłby mną, moją duszą i ciałem. Lubię domy, które mogę kochać i pieścić, którymi mogę rządzić. Takie jak nasz. Nie zazdroszczę Hamiltonowi Gossardowi jego „najwspanialszej w całej Kanadzie letniej rezydencji”. Rzeczywiście jest wspaniała, ale to nie mój Błękitny Zamek.

Za jeziorem, w oddali, każdego wieczoru przez szeroką przecinkę w leśnym gąszczu widzieli pędzący długi pociąg. Valancy lubiła patrzeć na migoczące, oświetlone okna i zastanawiała się jakie radości, nadzieje i lęki wieźli ze sobą pasażerowie. Bawiło ją także wyobrażanie sobie Barneya i siebie udających się na przyjęcia lub wieczory taneczne do domów na wyspach. Jednak nie pragnęła wcale czegoś takiego w rzeczywistości.

Pewnego razu wybrali się na bal maskowy urządzany w jednym z hoteli nad jeziorem i doskonale się bawili, lecz odptynęli czołnem do Błękitnego Zamku, zanim nadeszła pora zdjęcia masek.

— Było wspaniale, ale nie chcę tego powtórzyć — stwierdziła Valancy.

Nie zawsze przebywali razem. Codziennie Barney zamykał się w Izbie Sinobrodego na długie godziny. Valancy nigdy do niej nie zajrzała. Na podstawie dochodzących stamtąd zapachów wysnuła wniosek, że Barney przeprowadza jakieś chemiczne doświadczenia lub produkuje, fałszywe pieniądze. Przypuszczała bowiem, że tej ostatniej czynności musi towarzyszyć niemiła woń. Ale nie zaprzętała sobie tym zbyt głowę. Nie miała chęci zaglądać do zamkniętych pokoi w życiu Barneya. Ani jego przeszłość, ani przyszłość nie dotyczyły jej. Ważna była tylko zachwycająca terażniejszość — i nic więcej.

Pewnego razu Barney opuścił wyspę i nie było go dwie doby. Pytał Valancy, czy nie będzie się bała zostać sama. Odparła, że nie. Nigdy nie powiedział, gdzie wtedy był.

Valancy nie czuła strachu, lecz straszliwą samotność. Kiedy Barney wracał, warkot przejeżdżającej Lady Jane wydał się jej najpiękniejszym dźwiękiem. Gdy zaś usłyszała z brzegu znajomy gwizd, pobiegła do przystani, by go przywitać, wtulić się w stęsknione ramiona męża. W każdym razie wydawały jej się takimi.

— Tęskniłaś za mną, Promyczku? — szepnął Barney.

— Wydaje mi się, że nie było cię sto lat — odparła.

— Nie zostawię cię tutaj ponownie.

— Musisz — zaprotestowała — jeśli tego pragniesz. Byłabym niepokieszona myśląc, że chciałeś dokądś pojechać i nie zrobiłeś tego ze względu na mnie. Czuj się całkowicie wolny.

Barney roześmiał się z odrobiną goryczy. — Nie ma czegoś takiego jak wolność — powiedział. — Są tylko rozmaite formy niewoli i zobowiązań. Ty sądzisz, że jesteś wolna, bo uciekłaś od wyjątkowo niemiłych więzów. Lecz czy tak jest? Kochasz mnie i to jest niewola.

— Kto to powiedział, że „więzienie, w którym zamykamy się sami, przestaje być więzieniem” — spytała Valancy, tuląc się do jego ramienia, gdy wchodzili po kamiennych schodkach.

— O, właśnie, trafna uwaga. To jest cała wolność, jakiej możemy oczekiwać — wolność wyboru więzienia. Ale wiesz, Promyku — Barney zatrzymał się przy drzwiach i rozejrzał dokoła — cieszę się, że znowu jestem w domu. Kiedy jechałem przez las i zobaczyłem migoczące między sosnami światła w oknach, byłem zachwycony.

Wbrew teorii Barneya o wolności i niewoli, Valancy uważała, że są cudownie wolni. To coś niezwykłego przesiedzieć połowę nocy, wpatrując się w księżyc, jeśli się miało na to ochotę. Mogła się spóźniać na posiłki, ona tak zawsze surowo strofowana przez matkę i kuzynkę Stickles, gdy pojawiała się przy stole minutę później. Wolno było siedzieć przy jedzeniu jak długo się chciało, zostawiać okruchy, wysiadywać na kamieniu rozgrzanym od słońca i grzebać bosymi stopami w piasku. Wolno było po prostu siedzieć beczynnym w cudownym milczeniu. Krótko mówiąc, mogła teraz robić, co jej się żywnie podobało, a jeśli to nie było wolnością, to co nią jest?

\* \* \*

Nie przebywali na wyspie bez przerwy. Połowę czasu spędzali na wędrownkach po cudownej okolicy Muskoka. Barney znał tamtejsze lasy i przekazywał Valancy swoją wiedzę i umiejętność czytania leśnej księgi. Zawsze umiał znaleźć jakąś ścieżkę i wytropić nieśmiałe, leśne stworzenie. Valancy nauczyła się rozróżniać rodzaje mchów, cenić niepowtarzalne piękno leśnych kwiatów. Nauczyła się poznawać ptaki i naśladować ich głosy, choć nie osiągnęła w tym perfekcji Barneya. Zaprzyjaźniła się ze wszystkimi gatunkami drzew. Nauczyła się wiosłować równie dobrze jak Barney. Lubiła chodzić po deszczu i nigdy nie miała kataru.

Czasami zabierali ze sobą jedzenie i udawali się na „jagodobranie”. Zbierali poziomki i czarne jagody. Jakże pięknie wyglądały wśród zieleni! Valancy poznała prawdziwy smak zerwanych własnoręcznie jagód. Na brzegu Mistawis znaleźli pewną słoneczną dolinkę osłoniętą z jednej strony białymi brzoźami, a z drugiej szeregami młodych świerków. U stóp brzoź rosły wysokie trawy poruszane wiatrem i mokre od porannej rosy jeszcze długo po południu. Tutaj właśnie znaleźli poziomki godne uczyty Lukullusa — dorodne, cudownie słodkie, zwisające jak rubiny na wysokich łądkach. Zjadali je wprost z krzaczków, rozkoszując się smakiem każdej. Gdy Valancy przynosiła jagody do domu, ulatniał się gdzieś ich subtelny aromat. Stawały się banalnymi jagodami, jakie można kupić na każdym targowisku.

Często też chodzili zbierać wodne lilie. Barney znał „liliowe” miejsca na strumieniach i zatoczkach Mistawis. Wszystkie naczynia, jakie mogła zgromadzić w domu, napełniała wówczas Valancy wspaniałymi kwiatami. Czasami miejsce lilii zajmowały podobne do płomyków kwiaty stroiczki szkarłatnej, zbierane na okolicznych trzęsawiskach.

Wybierali się też na pstrągi nad liczne bezimienne rzeczki lub ukryte w gąszczu strumyki. Zabierali ze sobą tylko sól i surowe ziemniaki. Barney pokazał Valancy jak upiec pstrąga na gorących węglach, zawinawszy go uprzednio w liście i obtoczywszy w glinie. Była to zaiste potrawa godna królów.

Albo też zwyczajnie wędrowali po lesie z nadzieją, że w każdej chwili wydarzy się coś niezwykłego. Przynajmniej Valancy zawsze doznawała takiego uczucia. Tam w dole, za kotlinką, za następnym pagórkiem czeka coś urzekającego — myślała.

— Nie wiemy, dokąd idziemy, ale czy to nie jest przyjemne? — zwykł mówić w takich razach Barney.

Raz czy dwa na wyprawie zaskoczyła ich noc, a byli zbyt daleko, by wrócić do domu. Wtedy Barney przygotowywał im wonne posłanie z paproci i gałązek świerkowych. Spali na nim znakomicie pod sufitem z konarów starych drzew skąpanych w księżycowej poświacie, ukołysłani szumem wysokich sosen.

Były też dni deszczowe, kiedy cały obszar Muskoka stawał się mokrą, zieloną płaszczyzną. Mżawka wisiała nad jeziorem, lecz to nie powstrzymywało ich od wędrówek. No i dni, gdy lało tak, że musieli pozostać w domu. Wtedy Barney zamykał się w Izbie Sinobrodego. Valancy czytała lub marzyła, leżąc na wilczej skórze ze Szczęściarzem przytulonym do boku, gdy Banjo podejrzliwie spoglądał ze swego krzeselka. W niedzielę płynęli na stały łód i szli przez las do kościółka wolnych metodystów.

Cały czas — niedziele i dni powszednie — spędzała z Barneyem. Nic poza tym się nie liczyło. Jakim wspaniałym był kompanem! Pełnym zrozumienia, wesołym; Barneyem pod każdym względem!

Valancy podjęła z banku część swych dwustu dolarów i wydała na stroje. Miała teraz szaroniebieską sukienkę z szyfonu, którą wkładała wtedy, gdy spędzali razem wieczór w domu. Szaroniebieską ze srebrnymi nitkami. Od czasu kiedy zaczęła ją nosić, Barney nazywał żonę Promykiem.

— Promień księżycy i błękitny zmierzch — oto jak wyglądasz w tej sukience. Podoba mi się. Jakby dla ciebie stworzona. Nie jesteś właściwie ładna, ale masz piękne szczegóły. Oczy... i ten przeznaczony do całowania dołeczek przy obojczyku. Masz arystokratyczne nadgarstki i kostki nóg. Pięknie ukształtowaną głowę. A kiedy odwracasz się i spoglądasz przez ramię, wyglądasz oszałamiająco — zwłaszcza o zmierzchu lub przy świetle księżycy. Kobieta — elf. Leśny duszek. Należysz do lasu Promyczku i nigdy nie powinnaś go opuszczać. Mimo takich przodków, jest w tobie coś dzikiego, dalekiego i nieposkromionego. Masz także miły, łagodny, gardłowy głos. Głos stworzony do mówienia o miłości.

— Pewnie kiedyś pocałowałeś Kamień Blarneya — zakpiła Valancy, ale długo rozpamiętywała komplementy.

Kupiła sobie też jasnozielony kostium kąpielowy, na widok którego członkowie klanu Stirlingów padliby chyba trupem. Barney nauczył ją pływać. Czasami wkładała kostium rano i nie zdejmowała go do wieczora, wskakując do wody, kiedy miała ochotę i susząc się potem na rozgrzanych słońcem skałach.

Zapomniała o smutkach, co prześladowały ją kiedyś nocami, niesprawiedliwościach, upokorzeniach i rozczarowaniach. Teraz wydawało się jej, że spotykały one jakąś inną osobę, a nie nową Valancy Snaith.

— Zrozumiałam, co znaczy narodzić się powtórnie — oznajmiła kiedyś Barneyowi.

Pewien myśliciel powiedział, że rozpacz „działa wstecz”, plamiąc stronice życia. Valancy przekonała się, że podobnie działa szczęście, bo przenika i zabarwia na różowo całą poprzednią egzystencję. Z trudem mogła uwierzyć, że kiedykolwiek była samotna, nieszczęśliwa i zalękniona.

— Kiedy nadejdzie śmierć, będę wiedziała, że żyłam — myślała. — Jednak miałam swoją piaskową górkę!

Pewnego dnia usypała w małej zatoce ogromny kopiec z piasku i na wierzchołku umieściła flagę Zjednoczonego Królestwa.

— Co świętujesz? — dopytywał się Barney.

— Po prostu przepędzam starego demona — odparła.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nadeszła jesień. Wieczory pod koniec września stały się chłodne i trzeba było zrezygnować z werandy. Zaczęli więc rozpalać ogień na kominku i siedzieli przed nim gawędząc, śmiejąc się i żartując. Drzwi zostawiali otwarte, by Banjo i Szczęściarz mogły wchodzić i wychodzić, kiedy chciały. Czasami koty sadowiły się z powagą na niedźwiedziej skórze pomiędzy Barneyem i Valancy, czasami wymykały się cichutko, znikając w ciemnościach nocy. Na niebie, przez gęstniejącą mgłę, błyszczały gwiazdy. Jęklivy szum sosen przepęśniał powietrze. Drobne fale jeziora miękko uderzały o skały, wydając dźwięki przypominające szlochanie.

Valancy i Barney nie zapalali światła; wystarczały im płomienie paleniska. Gdy nocny wiatr przybierał na sile, Barney zamykał drzwi i zapalał lampę. Przy jej świetle czytywał Valancy poezje, rozprawy i barwne opisy starożytnych wojen. Powieści — zaklinał się — śmiertelnie go nudzą. Czytała więc je sama, zwinięta na kanapie, śmiejąc się głośno, gdy znajdowała w tekście zabawną scenę. Barney na szczęście nie należał do tych nieznośnych ludzi, którzy nie odmówią sobie w takiej sytuacji zadania sakramentalnego pytania: „Z czego się śmiejesz?”

Październik zademonstrował niesłychany przepych barw wokół Mistawis. Valancy zanurzyła się w nich całą duszą; nie wyobrażała sobie nawet, że coś podobnego może istnieć. Wielki barwny spokój. Granatowe, smagane wiatrem niebo. Promienie słońca drzemiące wśród drzew na baśniowych polankach. Długie, senne dni, gdy pływali czółnem wzdłuż brzegów jeziora i po rzekach zabarwionych złotem i purpurą. Olbrzymi księżyc w pełni. Gwałtowna burza, która odarła liście z drzew i usłała nimi brzegi. Jaka ziemia, jakie okolice mogły się równać z tą właśnie?

Listopad z ogołoconymi drzewami i wspaniałymi, płonącymi purpurą zachodami. Dni tonące w bladych promieniach słońca, przenikających przez złoto jałowców i między poszarzałymi bukami. Dni, gdy nad krajobrazem zdawała się unosić delikatna mgiełka melancholii. Lecz także dni dzikich, jesiennych sztormów i następujących po nich mokrych, wietrznych nocy, kiedy wśród sosen rozlegał się śmiech czarownic, a z ładu dochodziły żałosne pojękiwania. Kto by się jednak tym przejmował? Stary Tom zbudował mocny dach, a kominek miał dobry ciąg.

— Ogień na kominku, książki, zapewniona osłona przed burzą, koty na dywanie... Promyczku, czy byłabyś szczęśliwa, mając milion dolarów? — spytał Barney.

— Nie. Nawet w połowie nie tak szczęśliwa jak jestem. Nudziłabym się i męczyła obowiązkami i konwenansami.

Grudzień. Pierwszy śnieg i Orion w ciemności nieba. Słabe blaski mlecznej drogi. Teraz już nadeszła prawdziwa zima — wspaniała, mroźna, gwiazdzista. Jakże kiedyś Valancy nie znosiła zimy! Nudne, krótkie, beznadziejne dni. Długie, zimne, samotne noce. Kuzynka Stickles z bolącymi plecami i codzienne nacierania. Kuzynka Stickles wydająca co rano chrapliwe odgłosy przy płukaniu gardła. Matka nieczuła, natrętna, wtrącająca się do wszystkiego. Nie kończące się bronchity i kataru lub lęk przed nimi. Maść Redferna i Czerwone Pigułki.

Teraz pokochała zimę, która tutaj „gdzie diabeł mówi dobranoc”, była niewypowiedzianie piękna. Dni przezroczyste i jasne. Noce z niebem rozplamionym gwiazdami. Wspaniałe paprocie ze szronu na szybach Błękitnego Zamku. Księżycowa poświata na brzozech, targane wichrem cienie. I cisza — ogromna, pełna powagi, przenikliwa... I słońce nieoczekiwanie przedzierające się przez szare chmury nad długim, białym Mistawis.

Barney odprowadził Lady Jane do stodoły Ryczącego Abła i nauczył Valancy chodzić na krótkich nartach. Tę samą Valancy, która powinna właśnie leżeć złożona bronchitem. A ta

Valancy nie miała nawet kataru. Za to Barney w środku zimy strasznie się zaziębił i Valancy pielęgnowała go troskliwie z lękiem w sercu, by nie dostał zapalenia płuc. Jej własne niedomagania zniknęły bezpowrotnie. Całe szczęście, bo nie miała tu nawet maści Redferna. Kiedyś przezornie kupiła w Port słoik, lecz Barney z gniewnym wyrazem twarzy wyrzucił go do jeziora.

— Nigdy więcej nie przynoszę tego paskudztwa — zarządził krótko. Był to pierwszy i ostatni raz, gdy przemówił do niej tak szorstko.

Chodzili na długie wędrówki po cichym, zimowym lesie, pomiędzy srebrnymi od szronu drzewami i wszędzie znajdowali niezwykle piękno. Świat zdawał się spowity w kryształy i perły. Powietrze, orzeźwiający i czyste, działało oszałamiająco na zmysły.

Pewnego razu zatrzymali się zachwyceni u wejścia na wąską ścieżkę między brzożami. Każdą gałązkę i konar okrywała biel śniegu. Leśne poszycie wyglądało jak wyrzeźbione w marmurze.

— Chodźmy stąd — powiedział wreszcie Barney. — Nie możemy sprofanować tego miejsca naszymi stopami.

Innym razem natknęli się na polanie na zaspę śnieżną mającą kształt profilu pięknej twarzy kobiecej. Widać było szlachetnie sklepione czoło, prosty, klasyczny nos, usta, podbródek i policzki wymodelowane jak w popiersiu antycznej bogini.

— Pomyśl tylko, żadne oczy prócz naszych nie zobaczą tego cudu — westchnęła Valancy, której czasem zdawało się, że żyje w świecie ksiązek Johna Fostera. Kiedy rozglądała się dokoła, wiele szczegółów przywodziło jej na pamięć fragmenty zaznaczone w nowej książce, przywiezionej niedawno przez Barneya z Port. Zastrzegł sobie od razu, by nie oczekiwała, że on będzie czytał lub przysłuchiwał się czytaniu.

„Wszystkie odcienie zimowego lasu są wyjątkowo delikatne i trudno uchwytnie — przypomniała sobie Valancy. — Kiedy przemija krótkotrwałe popołudnie i słońce zaczyna dotykać szczytów pagórków, wydaje się, że las spowijają nie barwy, lecz ich duch. Właściwie bowiem na zboczach wzgórz, w dolinach i nierównościach lasu, nie ma nic poza bielą, a jednocześnie odnosi się wrażenie jakichś bajecznych połączeń różu i fioletu, złota i heliotropu. W jednej chwili ma się pewność istnienia takich odcieni, lecz gdy spojrzysz się wprost na dane miejsce — już zniknęły”.

— Zastanawiam się, czy John Foster spędził kiedyś zimę nad Mistawis — odezwała się Valancy.

— Mało prawdopodobne — odparł drwiąco Barney. — Ludzie piszący takie kawałki zwykle robią to w dobrze ogrzonym domu przy wielkomijskiej ulicy.

— Jesteś zbyt surowy wobec Fostera — stwierdziła poważnie Valancy. — Kto nie widział na własne oczy, nie mógłby tego napisać tak jak w tym fragmencie, który przeczytałam ci wczoraj wieczorem. Dobrze wiesz, że by nie mógł.

— Nie słuchałem — przyznał się Barney. — Mówiłem ci przecież, że nie będę słuchał.

— No to zrobisz to teraz — uparła się Valancy. Zmusiła go do zatrzymania się, a sama zaczęła cytować: „Stara Matka Natura jest artystą, który pracuje dla samej radości tworzenia, a nie z chęci pokazania się. Dziś lasy świerkowe są symfonią zieleni i szarości tak subtelnej, że trudno powiedzieć, gdzie jeden odcień przechodzi w drugi. Szary pień, zielone konary, szarozielony mech nad białą, pociętą czarnymi cieniami powierzchnią ziemi. A jednocześnie ta stara czarodziejka nie znosi monotonii. Lubi tu i ówdzie umieścić barwną plamę. Oto odłamana gałąź świerku w pięknym, czerwonordzawym kolorze huśta się między pasmami mchu”.

— Dobry Boże, czyżbyś uczyła się na pamięć ksiązek tego faceta? — zawołał zde gustowany Barney i ruszył z miejsca.

— Książki Johna Fostera ożywiały mą duszę przez ostatnie pięć lat — broniła się Valancy. — Och, Barneyu, spójrz na tę filigranową, śnieżną ozdobę we wgłębieniu pnia starego wiązu!

Gdy podeszli do brzegu jeziora, zmienili narty na łyżwy i pomknęli do domu. Jakimś cudem Valancy nauczyła się jeździć na łyżwach jeszcze w dzieciństwie i ślizgała się na sadzawce przy deerwoodzkiej szkole. Nigdy nie miała własnych łyżew, ale niektóre koleżanki pożyczały jej swoje. Posiadała wrodzony talent do tego sportu. Stryj Benjamin kiedyś obiecał jej łyżwy na Gwiazdkę, ale gdy nadeszły święta, kupił kalosze. Nie ślizgała się, odkąd dorosła, lecz nie zapomniała tej sztuki i teraz godziny spędzane z Barneyem na lodowej tafli należały do najprzyjemniejszych. Dzisiaj mknęli po Mistawis popychani wiatrem, w jakimś szczególnym uniesieniu, które zaróżowiło policzki Valancy. Na końcu drogi czekał na nich kochany, mały dom, z dachem pokrytym śniegiem i połyskującym srebrzyście w świetle księżyca.

— Wygląda jak ilustracja w książce, prawda? — zauważył Barney. Boże Narodzenie mieli piękne. Bez zamętu i pośpiechu, bez trosk.

Żadnych wysiłków, by związać koniec z końcem. Żadnego przypominania sobie, czy nie dała komuś tego samego prezentu dwa lub trzy lata wcześniej; żadnego przepychania się w sklepach w ostatniej chwili i żadnych ponurych rodzinnych spotkań, kiedy siedziała milcząca i niepotrzebna nikomu.

Udekorowali Błękitny Zamek gałązkami jodły. Valancy zrobiła śliczne, małe gwiazdki ze srebrnej cynfolii i rozwiesiła je pośród zieleni. Ugotowała obiad, który Barney zjadł z apetytem, zaś Banjo i Szczęściarz pracowicie wylizały resztki.

— Kraj, co potrafi wyhodować taką gęś, to wspaniały kraj — stwierdził Barney i zawołał: — Niech żyje Kanada! — Toast wzniosł winem w mniszka, podarowanym Valancy przez kuzynkę Georgianę razem z kapą na łóżko. — Nigdy nie wiadomo — powiedziała wtedy — kiedy przyda ci się trochę otuchy.

Barney spytał Valancy, co chciałyby dostać na Gwiazdkę.

— Coś osobistego i niepraktycznego — odrzekła Valancy. W ubiegłym roku otrzymała parę kaloszy, a dwa lata temu komplet ciepłej bielizny. I tak było zawsze.

Ku wielkiej radości, Barney podarował jej sznur pereł. O takim sznurku mlecznobiałych perełek, podobnych do zakrzepłej księżycowej poświaty, marzyła całe życie. A te były śliczne. Martwiła się tylko, że musiały dużo kosztować — co najmniej piętnaście dolarów. Czy Barney mógł sobie pozwolić na taki wydatek? Nie miała pojęcia o jego finansach. Nie pozwoliła, by kupował jej ubrania; miała ich dość na ten krótki czas. Pieniądzy, które Barney wkładał do czarnego dzbanuszka stojącego na gzymsie kominka, zawsze wystarczało na domowe wydatki. Dzbanek nigdy nie stał pusty. Oczywiście, że nie miał zbyt wiele, a tu ten naszyjnik... Ale w końcu odsunęła od siebie troski. Będzie go nosić i cieszyć się nim. To była pierwsza ładna rzecz, jaką kiedykolwiek miała.

\* \* \*

Nowy Rok. Stary zniszczony kalendarz można zdjąć ze ściany, a powiesić nowy. Styczeń okazał się miesiącem sztormów. Śnieg padał trzy tygodnie prawie bez ustanku. Termometr spadł dużo poniżej zera i tak pozostał. Lecz, jak oboje żartowali, nie było za to moskitów, a potrzaskiwanie ognia na kominku zagłuszało wycie północnego wiatru. Banjo i Szczęściarz wyhodowały sobie jedwabiste, gęste futra. Nip i Tuck odleciały.

— Wróć wiosną — obiecywał Barney.

Zima nie oznaczała monotonii. Valancy i Barney przeżywali niekiedy dramatyczne starcia, ale nigdy nie przeradzały się one w kłótnie. Czasami wpadał w odwiedziny Ryczący Abel — na jeden wieczór lub cały dzień. Jak zawsze w zniszczonej, kraciastej czapce i z rudą brodą osypaną śniegiem. Zwykle przywoził skrzypce i grał na nich ku uciesze wszystkich z wyjątkiem Banjo. Ten chwilowo tracił rozsądek i chował się pod łóżkiem. Czasami Abel i

Barney rozmawiali, a Valancy robiła im ciągutki. Czasami siedzieli milcząc i palili fajki, dopóki Błękitny Zamek nie nasiąkł dymem, a Valancy nie uciekła na dwór. Czasem grali w warcaby w zaciekłym milczeniu przez całą noc. Kiedy indziej znowu objadali się przywiezionymi przez Abła jabłkami, a stary zegar spokojnie odmierzał czas.

— Talerz pełen jabłek, ogień na kominku i ciekawa książka, to całkiem dobra namiastka raju — mawiał Barney.

Stirlingom łatwiej było uważać Valancy za zmarłą. Nie docierały do nich nawet słabe odgłosy jej pobytów w Port, chociaż oboje jechali niekiedy na łyżwach przez jezioro, żeby pójść do kina. Prawdopodobnie nikt ze Stirlingów nawet o niej nie myślał — z wyjątkiem kuzynki Georgiany, która leżąc bezsennie, zamartwiała się o biedną Doss. Czy ma dość jedzenia? Czy ten straszny człowiek jest dla niej dobry? Czy nie marznie w nocy?

Valancy nie marzała nocami. Często nie śpiąc, leżała cicho i napawała się przytulnością otoczenia. Noce minionych zim były chłodne i długie. Nie lubiła dawniej rozmyślać w ciemnościach o pustce przeżytego dnia i tego, który ją czeka. Teraz każdą noc, kiedy nie leżała choć pół godziny, po prostu czując się szczęśliwa i wsłuchując się w równy oddech śpiącego Barneya, uważała za straconą. Przyjemnie było też poczuć, jak w ciemności Szczęściarz wskakuje na łóżko i mruczając, mości się na stopach.

Łóżko stało naprzeciw okna — w malutkiej sypialni nie było innej możliwości. Valancy mogła więc spoglądać przez szyby w dal na Mistawis, białe i lśniące jak zwierciadło lub straszne i ciemne w czasie sztormu. W niektóre noce cały świat zewnętrzny zdawał się pogrążony w milczeniu, a później nadchodziły takie, kiedy wiatr szarpał majestatyczne sosny. Noce rozświetlone blaskiem gwiazd i posępne noce poprzedzające burzę, gdy wichur przetaczał się po powierzchni jeziora z niskim, jęklwym wyciem. Valancy wiele godzin snu poświęciła tym momentom zbliżenia z naturą. Za to rano mogła spać tak długo, jak się jej podobało. Nikomu to nie przeszkadzało. Barney sam przyrządzał sobie śniadanie, a potem zamykał się w Izbie Sinobrodego, czasem aż do kolacji. Wieczory spędzali razem na czytaniu i rozmowie. Mówili o wszystkim i śmiali się ze swych dowcipów tak głośno, że Błękitny Zamek rozbrzmiewał echem. — Pięknie się śmiejesz — powiedział jej kiedyś Barney. — Tak lubię słuchać twego śmiechu. Jest w nim coś takiego... Jakbyś wiedziała o czymś jeszcze bardziej zabawnym. Powiedz mi, Promyczku, czy tak samo się śmiałaś, nim zamieszkałaś na Mistawis?

— W ogóle się nie śmiałam, naprawdę. Czasem chichotałam, gdy tego ode mnie oczekiwano. Teraz śmiech jest po prostu we mnie.

Valancy zauważyła, że i Barney śmiał się znacznie częściej niż dawniej, a jego śmiech był inny. Stał się taki... zdrowy, rzadko słyszała w nim gorzką, cyniczną nutę. Czy człowiek mający na sumieniu przestępstwa mógł się tak śmiać? A jednak Barney musiał coś ukrywać. Ostatecznie Valancy zdecydowała, że był kasjerem w banku i zdefraudował pieniądze. W jednej z jego książek znalazła stary wycinek z montrealskiej gazety, zawierający opis kasjera, który zniknął z pieniędzmi. Opis pasował do Barneya — jak zapewne i do tuzina innych mężczyzn. Z luźnych uwag, jakie rzucił od czasu do czasu, wiedziała, że znał nieźle Montreal. Na tej podstawie ułożyła sobie całą historyjkę. Barney pracował w banku. Uległ pokusie i wziął trochę pieniędzy, żeby zagrać na giełdzie, a później oczywiście miał je zwrócić. Brał coraz więcej i więcej, dopóki nie okazało się, że jedynym ratunkiem jest ucieczka. Nigdy, tego była zupełnie pewna, nie zamierzał zrobić nic złego, tylko mu się nie wiodło. Wprawdzie nazwisko w wycinku brzmiało Bernard Craig, lecz Valancy i tak sądziła zawsze, że Snaith to pseudonim.

Tej zimy przeżyła jeszcze jedną przerażającą noc. Zdarzyło się to już pod koniec marca, kiedy śnieg prawie stopniał i powrócili Nip i Tuck. Barney wyszedł po południu na długą wyprawę do lasu, mówiąc, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, wróci przed nocą. Wkrótce zaczął padać śnieg. Powiał wiatr i niebawem rozszalał się jeden z najgorszych sztormów,



jakie przeżyli tej zimy. Podnosiły się wody jeziora, wicher wściekle uderzał w ściany domu. Ciemny las na stałym lądzie zdawał się spoglądać na nią złowrogo. Drzewa na wyspie gięły się w strachu. Valancy spędziła tę noc skulona na dywaniku przed kominkiem, z twarzą ukrytą w dłoniach. Od czasu do czasu na próżno patrzyła w okno, starając się przeniknąć ciemność i nieprzejrzytą zasłonę unoszonego wiatrem śniegu. Gdzie był Barney? Zagubiony na tym bezlitosnym jeziorze? Padający z wyczerpania w zaspach leśnych bezdroży? Tej nocy umierała setki razy i zapłacała z nawiązką za szczęście przeżyte w Błękitnym Zamku. O świcie sztorm ucichł i niebo się przejaśniło; nad Mistawis rozgorzało pełnym blaskiem słońce, a w południe wrócił do domu Barney. Valancy zobaczyła go przez okno, gdy wychodził z zakrętu: szczupły i ciemny na białym, połyskliwym tle. Nie pobięła mu na spotkanie, bo czuła się jak sparaliżowana. Opadła tylko ciężko na krzeselko Banjo. Tutaj zastał ją Barney — nieruchomą, z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Myślałam, że nie żyjesz — wyszeptęła.

Barney wykrzyknął zdziwiony. — Po dwu latach w Klondike, sądzisz, że taki niewinny sztorm mógłby mi coś zrobić? Spędziłem noc w szałasie drwali w pobliżu Muskoka. Było trochę zimno, ale wygodnie. Och, ty gąsko! Masz zapadnięte oczy. Czy przesiedziałaś całą noc, zadreęczając się myśleniem o takim starym wydze leśnym jak ja?

— Tak — odrzekła Valancy. — Nic na to nie mogłam poradzić. Sztorm wydawał mi się straszny. Każdy mógłby się zgubić przy takiej pogodzie. Kiedy cię zobaczyłam... jak wychodzisz z zakrętu... coś się ze mną stało. Nie wiem co, ale to było tak, jakbym umarła i powróciła do życia. Inaczej tego nie umiem wytłumaczyć.

Wiosna. Mistawis przez tydzień czy dwa pozostawało wzburzone i ciemne, a potem zapłonęło szafirowo i turkusowo, liliowo i różowo. Uśmiechało się przez witrażowe okno bawialni, pieściło ametystowe wysepki, marszczyło się pod dotykiem wiatru. Żaby, małe zielone czarodziejki stawów i bagien, śpiewały w długie zmierzchy i do późnej nocy. Wysepki w zielonkawej mgiele wyglądały jak rusalki. Oczy radowały drzewa odziane w młodziutkie listeczki, lasy rozkwitły mnóstwem wiosennych kwiatów, wierzby pokryty się lśniącymi srebrnymi baziami. Kwietniowy księżyc przyciągał wzrok.

— Pomyśl, ile tysięcy wiosen minęło nad Muskoka i wszystkie takie piękne — zauważyła Valancy. — Och, popatrz tylko na tę dziką śliwę! Koniecznie muszę zacytować coś z Johna Fostera. Jest taki fragment, który czytałam dziesiątki razy. Na pewno pisał go, mając przed sobą takie samo drzewo.

„Spójrzcie na tę młodziutką śliwę przyodzianą w strój panny młodej z welonem z delikatnej koronki. Musiały go utkać paluszki leśnych duszków, bo nic takiego nie mogło powstać na ziemskich krosnach. Gotów jestem przysiąc, że to drzewo wie o swej piękności...”

— Przypuszczam, że czujesz się znacznie lepiej, gdy wyrzucasz to z siebie — powiedział bezlitośnie Barney.

— O, tutaj jest kępa mniszków — zawołała nie zrażona Valancy. — Mniszki nie powinny rosnąć w lesie. Zupełnie nie mają wycucia tego co właściwe. Są zbyt radosne i zadowolone z siebie. Brak im powściągliwości i tajemniczości właściwych leśnym kwiatom.

— Krótko mówiąc, nie mają żadnych sekretów — dodał Barney. — Ale poczekaj trochę. Las ma swoje sposoby na te zarozumiałe mniszki. Wkrótce ich krzykliwa żółtość i pewność siebie znikną i zostaną szarawe, widmowe kulki, unoszące się nad trawami. One będą w pełnej harmonii z barwami lasu.

— To brzmi jak fragment z Johna Fostera — zażartowała Valancy.

— Czym zasłużyłem sobie na taką obelgę? — poskarżył się Barney.

Z nadejściem wiosny Barney uruchomił Lady Jane. Poruszał się nią po drogach, na które inny samochód nawet by nie spojrział, a kiedy przejeżdżali przez Deerwood, to najczęściej zabłoceni po osie kół. Pewnego dnia minęli kilkoro Stirlingów, którzy jęknęli ze zgrozą,

uświadamiając sobie, że znowu będą się natykać na tę bezwstydną parę. Valancy chodząc po sklepach, spotkała na ulicy stryja Beniamina, lecz ten jej nie poznał. Dopiero gdy odszedł spory kawałek, pojął, że dziewczyna w płaszczu z czerwonym kołnierzem, z rumianymi policzkami i grzywką czarnych włosów nad roześmianymi oczami była jego bratanicą.

Jakim prawem Valancy wygląda jak... jak młoda dziewczyna? Naruszający prawo winni cierpieć i czuć się nieszczęśliwi, a Valancy wcale tak nie wyglądała. Coś więc nie jest w porządku. Takie myśli mogą doprowadzić człowieka do stania się radykałem. Nieco później, Barney i Valancy pojechali do Port i wracali do domu już w ciemnościach. Gdy mijali dom Stirlingów, Valancy pod wpływem impulsu wysiadła z samochodu, otworzyła furtkę i ostrożnie podeszła do okna bawialni. W pokoju siedziały matka i kuzynka Stickles, zawzięcie poruszając drutami. Jak zwykle niedostępne i nieczułe. Gdyby wyglądały na osamotnione, weszłaby do środka. Lecz ponieważ były takie jak zawsze, postanowiła im nie przeszkadzać.

\* \* \*

Tej wiosny Valancy przeżyła dwie wspaniałe chwile. Pewnego dnia, wracając do domu z naręczem kwiatów i świerkowych gałęzi, spotkała mężczyznę, w którym domyśliła się Allana Tierneya, sławnego portrecisty pięknych kobiet. Zimą mieszkał w Nowym Jorku, lecz na jednej z wysp w północnym krańcu Mistawis miał domek i przyjeżdżał don, gdy tylko stopniały lody. Otaczała go sława ekscentrycznego samotnika. Nigdy nie schlebiał swoim modelom. Nie było zresztą potrzeby bo nie malowałby kogoś, komu należałoby dodawać urody. Zostać namalowaną przez Allana Tierneya było szczytem kobiecych marzeń. Valancy tyle o nim słyszała, że teraz nie potrafiła się opanować. Odwróciła się i rzuciła mu przez ramię nieśmiało choć zaciekawione spojrzenie. Promień bladego, wiosennego słońca przeniknął przez gałęzie potężnej sosny i padł akurat na jej odsłonięte, czarne włosy i skośne oczy. Miała na sobie bladozielony sweter, a głowę owinęła wstęgą młodego bluszczu. Pierzaste gałęzie świerku kołysały się wokół jej ramion. Oczy Allana Tierneya rozblęły na ten widok.

— Miałem gościa — oznajmił nazajutrz po południu Barney, gdy Valancy wróciła z kolejnej wyprawy po leśne kwiaty.

— Kogo? — zapytała bez specjalnego zainteresowania i zaczęła wyjmować z koszyka pierwiosnki.

— Allana Tierneya. Chce cię malować, Promyczku.

— Mnie?! — Valancy upuściła koszyk z pierwiosnkami. — Barney, żartujesz sobie!

— Wcale nie. Tierney właśnie w tej sprawie tu przyszedł. Prosił o pozwolenie malowania mej żony jako... ducha lasów Muskoka, czy coś takiego.

— Ale... ale... Allan Tierney zawsze malował... tylko — zaczęła się jąkać Valancy.

— Piękne kobiety — dokończył Barney. — Z tego płynie wniosek, że pani Barneyowa Snaith jest piękną kobietą.

— Bzdury — odparła Valancy, schylając się po rozsypane kwiaty. — Wiesz dobrze, że to bzdury. Wyglądam o całe niebo lepiej niż przed rokiem, ale wcale nie jestem piękna.

— Allan Tierney nigdy się nie myli — trwał przy swoim Barney. — Zapewniam cię Promyczku, że są różne rodzaje piękności. Twoją wyobraźnię ogranicza banalny typ urody Olivii. Och, widziałem ją, rzeczywiście robi wrażenie, lecz nikt nie zmusiłby Allana Tierneya do malowania jej portretu. Używając brzydkiego choć ekspresywnego wyrażenia, ona cały swój towar trzyma na wystawie. Ty podświadomie jesteś przekonana, że należy wyglądać jak Olivia, aby być piękną. Tierney mówił coś o zarysie twego policzka, gdy odwracasz głowę, spoglądając przez ramię. Pamiętasz, już wspominałem, że to fascynujący widok. Opętały go

także twoje oczy. Gdybym nie był całkowicie pewien czysto zawodowego zainteresowania — Allan jest zatwardziałym starym kawalerem — to byłbym zazdrosny.

— Nic z tego. Nie chcę, aby mnie malowano — stwierdziła Valancy. — Mam nadzieję, że mu odmówięś.

— Niezupełnie. Powiedziałem, że ja nie życzę sobie, by malowano moją żonę i pokazywano jej portret tłumom ludzi w jakiejś galerii. To tak, jakbyś należała do kogoś innego. Widzisz więc, Promyczku, że nawet gdybyś chciała być malowaną, twój mąż tyran nie pozwoli na to. Tierney był trochę skwaszony. Nie przywykł do odrzucania jego propozycji. Takie prośby traktowane są jak królewskie rozkazy.

— Lecz my jesteśmy wyrzutkami — roześmiała się Valancy. — Nie schylamy głów na rozkaz, nie uznajemy żadnych władców.

W głębi serca jednak pieściła bez żenady myśl: — Pragnęłabym, aby Olivia dowiedziała się, że Allan Tierney chciał malować mój portret. Malować mnie. Małą, starą pannę, Valancy Stirling!

Drugą cudowną chwilę przeżyła pewnego majowego wieczoru. Wtedy przekonała się, że Barney rzeczywiście ją lubi. Od dawna miała nadzieję, ale czasami dręczyła ją obawa, że jest miły, dobry i przyjacielski tylko z litości. Postanowił zapewnić jej tyle szczęścia, ile się da, bo wie, że niewiele życia jej zostało. Lecz w duszy pewnie oczekuje powrotu wolności, kiedy na wyspie nie będzie ciekawskiej kobiety i nikt nie zakłóci mu rozmyślań gadaniną. Wiedziała, że nigdy jej nie pokocha. Nawet tego nie pragnęła. Gdyby ją kochał, cierpiałby po jej śmierci, a przecież nie chciała, aby był nieszczęśliwy. Pragnęła, aby ją lubił i bolał nad jej stratą jak nad stratą dobrego kompana. Dopiero tego wieczoru przekonała się o jego uczuciach.

Wędrowali po wzgórzach w blasku zachodu. Odkryli dziewicze źródło w otoczonym paprociami zagłębieniu. Pili z niego wodę kubeczkami z brzozy kory. Potem doszli do starego, połamanego ogrodzenia i siedzieli dłuższy czas na sztachetach. Nie mówili wiele, ale Valancy ogarnęło dziwne uczucie jedności i więzi. Była przekonana, że nie czułaby go, gdyby Barney jej nie lubił.

— Drogie moje maleństwo — powiedział Barney nieoczekiwanie. — Och, moje maleństwo! Czasem wydaje mi się, że jesteś zbyt dobra, by być rzeczywistością, że cię tylko wymarzyłem w snach.

— Dlaczego nie mogę umrzeć w tej chwili, gdy jestem taka szczęśliwa? — pomyślała Valancy.

Cóż, to chyba nie potrwa długo. Nie wiadomo dlaczego, ale miała pewność, że przeżyje ten wyznaczony przez doktora Trenta rok. Nie była ostrożna, nawet się nie starała, lecz jakoś zawsze liczyła na przeżycie roku. Właściwie to nie chciała o tym myśleć. Dopiero teraz, siedząc obok Barneya z ręką w jego dłoni, nagle uświadomiła sobie całą sytuację. Ataku serca nie miała od dłuższego czasu, co najmniej od dwóch miesięcy. Ostatni zdarzył się dwa lub trzy dni wcześniej, nim Barneya zaskoczył w lesie sztorm. Odtąd nawet nie pamiętała, że ma serce. Cóż, to bez wątplenia zapowiadało bliski koniec. Organizm zaprzestał walki. Teraz już nie będzie żadnych bólów. — Obawiam się, że po roku spędzonym z Barneyem niebo będzie bardzo nudne — pomyślała. — Ale może tam się niczego nie pamięta? Czy to byłoby przyjemne? Nie, w żadnym razie. Nie chcę zapomnieć Barneya. Wolę być nieszczęśliwa w niebie pamiętając go, niż szczęśliwa bez wspomnień.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Trzydzieści sekund może niekiedy wydać się wiecznością. Wystarczająco długim czasem na cud lub rewolucję. W ciągu trzydziestu sekund w życiu Barneya i Valancy Snaithów dokonała się zasadnicza zmiana.

Pewnego czerwcowego dnia wybrali się motorówką wzdłuż brzegów jeziora. Przez godzinę łowili ryby w małym strumyku i tam zostawili łódź. Potem pieszo przeszli lasem dwie mile dzielące ich od Port Lawrence. Valancy chodziła po sklepach i kupiła sobie parę wygodnych bucików. Stare nagle się rozleciały i musiała nałożyć eleganckie, sznurowane lakierki na dość wysokich obcasach. Czasami nosiła je w domu wieczorem, ale pierwszy raz włożyła wychodząc na dwór. Chodzenie po nierównym gruncie okazało się trudne i Barney kpił z niej bezlitośnie. Jednak Valancy, mimo niewygody, skrycie lubowała się widokiem zgrabnych stóp w takich ślicznych, choć niepraktycznych bucikach. Dlatego nie zdjęła ich w sklepie i nie włożyła nowych, „rozsądnych” pantofli na niskim obcasie.

Gdy opuszczali Port Lawrence, słońce wisiało nisko nad horyzontem za linią sosnowego boru. Od północy las zdawał się następować na miasto i Valancy miała wrażenie przechodzenia z realnego świata w świat bajkowy. Półtorej mili od Port Lawrence znajdowała się mała stacyjka kolejowa z niewielkim budyneczkiem; o tej porze zupełnie pusta, gdyż nie przybywał żaden lokalny pociąg. Gdy wyszli z lasu, dokoła nie było żywej duszy. Na lewo od nich tory znikwały za ostrym zakrętem, ale widoczny nad wierzchołkami drzew pióropusz dymu zapowiadał zbliżanie się dalekobieżnego pociągu. Szyny już drżały, gdy Barney minął zwrotnicę. Valancy została nieco w tyle, zajęta zbieraniem jaskrów na poboczu krętej ścieżki. Nie spieszyła się, bo do nadejścia pociągu mieli jeszcze trochę czasu. Beztrosko postawiła nogę na szynie.

Nie umiała potem opowiedzieć, co nastąpiło. Następne trzydzieści sekund na zawsze utkwiło w jej pamięci, jako koszmarny chaos, w którym przeżyła męki tysiąca egzystencji.

Obcas jej zgrabnego bucika wpadł w szczelinę zwrotnicy i nie mogła go wyciągnąć. — Barney, Barney! — zawołała w panice.

Barney odwrócił się i spojrzał: zobaczył jej poszarzałą twarz i rzucił się z powrotem. Szarpiąc, próbował wyciągnąć obcas, uwolnić stopę z nieoczekiwanej pułapki. Na próżno. Za chwilę pojawi się pociąg...

— Odejdź stąd, prędko! Zginiesz tu, Barney! — krzyczała Valancy, usiłując go odepchnąć.

Barney, śmiertelnie blady, opadł na kolana i zapamiętał szarpał sznurowadło. Węzeł nie poddawał się rozdygotanym palcom, przeciął go więc scyzorykiem. Valancy ciągle próbowała odepchnąć męża. Jej umysł przepełniała przerażająca i obezwładniająca myśl, że Barney zostanie zabity. O swoim bezpieczeństwie nie pomyślała nawet przez sekundę.

— Barney, idź stąd! Na miłość boską, odejdź!

— Nigdy! — wymamrotał przez zaciśnięte zęby. Jeszcze raz szarpnął sznurowadło. Gdy pociąg zahaczał na zakręcie, poderwał się i wyciągnął Valancy z pułapki. Wywołany biegiem pociągu pęd powietrza owionął mu twarz i wtedy poczuł, że oblewa go lodowaty pot. — Bogu dzięki! — szepnął z wysiłkiem.

Przez chwilę stali jak ogłuszeni, wpatrując się jedno w drugie; dwie poblądłe, drżące z przerażenia istoty. Po czym, powłóczę nogami, doszli do budynku stacji i opadli na stojącą przed nim ławkę. Barney milczał, ukrywając twarz w dłoniach. Valancy siedziała, patrząc niewidzącymi oczyma. W zamglonym umyśle pulsowała jedna, paląca myśl. Doktor Trent powiedział przed rokiem, że cierpi na poważną, nieuleczalną chorobę serca, każde wzruszenie mogło być fatalne w skutkach. Jeśli tak, to dlaczego nie jest martwa? Teraz w tej chwili? Przecież w tych trzydziestu sekundach skumulowało się takie podniecenie, jakiego większość ludzi nie przeżywa w ciągu całego życia. A mimo to nie umarła. Nawet nie czuła się gorzej.

Trochę drżały jej kolana, czemu nie można się dziwić; trochę szybciej biło serce, ale nic poza tym.

— Dlaczego? Czyżby doktor Trent popełnił omyłkę? — Valancy zadrżała, jakby przeniknął ją zimny wiatr. Spojrzała na siedzącego obok pochylonego Barneya. Czy i jemu przyszła do głowy ta sama myśl? Może nabrał okropnego podejrzenia, że poślubił nie na rok, a na zawsze kobietę niekochaną, która wkroczyła w jego życie dzięki kłamstwu? Valancy poczuła mdłości. To byłoby zbyt okrutne, zbyt... szatańskie. Doktor Trent nie mógł się pomylić. To niemożliwe. Był jednym z najlepszych specjalistów w Ontario. Ona zaś reaguje niemądrze, wstrząśnięta strasznym przeżyciem. Pamiętała doskonale te okropne, bolesne spazmy. Ich powodem musi być jakaś poważna choroba serca.

Ale od prawie trzech miesięcy bóle się nie powtórzyły... Dlaczego? Tymczasem Barney otrząsnął się z bezruchu. Wstał i nie patrząc na nią, powiedział obojętnie: — Sądzę, że powinniśmy ruszyć dalej. Słońce już zachodzi. Czujesz się na siłach, by dojść do domu? — Chyba tak — odparła nieszczęsna Valancy. Barney przeszedł przez polankę i podniósł paczkę z jej nowymi butami. Podał jej i nie pomógł, gdy zmieniała obuwie. Stał, odwrócony plecami, spoglądając na las.

Szli w milczeniu do jeziora pogrążoną w cieniu ścieżką. Barney wyprowadził łódź na wody Mistawis. Bez słów płynęli wzdłuż postrzępionego brzegu i przez malutkie zatoczki, mijając ujścia rzeczek i strumieni. Milcząc przepłynęli obok domów, z których dochodziły dźwięki muzyki. Milcząc zatrzymali się na przystani przy Błękitnym Zamku.

Valancy poszła po kamiennych stopniach w górę i weszła do domu. Przygnębiona opadła na pierwsze napotkane krzesło i siedziała nieruchomo, wpatrując się w okno, obojętna na wesołe mruczenie Szczęściarza i niechętnie spojrzenia Banjo pozbawionego swego legowiska.

Barney przyszedł kilka minut później. Nie zbliżył się, ale stanął za jej plecami i spytał łagodnie, czy czuje się gorzej po tych przeżyciach.

Valancy bez wahania oddałaby rok szczęścia, gdyby szczerze mogła powiedzieć „tak”. — Nie — odparła głucho.

Barney zamknął się w Izbie Sinobrodego. Usłyszała, że chodzi po pokoju tam i z powrotem, tam i z powrotem, jak nigdy dotąd. I pomyśleć, że zaledwie przed godziną — przed godziną! — była taka szczęśliwa.

W końcu Valancy położyła się do łóżka. Przedtem jeszcze raz przeczytała list doktora Trenta. To ją trochę pocieszyło. Taki był zdecydowany i jednoznaczny. Pismo równe i spokojne. List pisał człowiek, znający wagę słów. Lecz mimo to nie mogła zasnąć. Udawała, że śpi, gdy do sypialni wszedł Barney. On też udawał, ale wiedziała doskonale, że leży obok, wpatrując się w ciemność i rozmyśla. O czym?

Valancy za wszystkie niegdyś szczęśliwe, bezsenne godziny płaciła udręką dzisiejszej nocy. Gdzieś z kłębowiska przypuszczeń i strachu powoli wyłaniał się i stawał przed nią straszny, złowroźny fakt. Nie mogła zamknąć oczu i odepchnąć od siebie, zignorować, udawać, że go nie ma.

Najwidoczniej z jej sercem nie działo się nic złego. Bez względu na to, co powiedział doktor Trent. Gdyby poważnie chorowała, te trzydzieści sekund na torach zabiłoby ją. Nie miało sensu odwoływanie się do listu doktora i jego zawodowej reputacji. Najwięksi specjaliści czasami popełniali błędy. Doktorowi też się to mogło zdarzyć.

Przed świtem zapadła w niespokojną drzemkę i śniła dziwaczne sny. W jednym z nich Barney zarzucał jej oszustwo, a ona rozgniewana uderzyła go w głowę wałkiem do ciasta. Ten okazał się szklany i rozprysnął się na drobne kawałki. Obudziła się z krzykiem, przerażona, a potem westchnęła z ulgą i roześmiała się z absurdalności snu. Przypomniała sobie jednak wczorajsze wydarzenie i znowu zapadła w otchłań żalu.

Barneya nie było w domu. Valancy wiedziała o tym, tak jak czasem ludzie wiedzą o rozmaitych rzeczach — instynktownie. W bawialni panowała przygniatająca cisza. Okazało

się, że stanął stary zegar. Barney zapomniał o nakręceniu, a to mu się nigdy dotąd nie zdarzyło. Pokój bez tykania był martwy, choć przez witrażowe okno przenikały promienie słońca i kolorowe blaski tańczyły na ścianach.

Czółno zniknęło, ale Lady Jane stała pod drzewem na stałym lądzie. A więc Barney wyprawił się do lasu. Pewnie wróci wieczorem, a może później. Musi być bardzo na nią rozgniewany. Uparte milczenie oznaczało gniew — zimny, głęboki i uzasadniony.

Cóż, wiedziała, co powinna zrobić. Teraz już nie cierpiała tak silnie, ale odrętwienie, jakie nią owładnęło, gorsze było od bólu. Czuła się tak, jakby coś w niej umarło. Zmusiła się do zjedzenia śniadania. Automatycznie posprzątała Błękitny Zamek, a potem nałożyła płaszcz i kapelusz. Zamknęła drzwi, schowała klucz w dziupli starej sosny i popłynęła motorówką do brzegu. Wybierała się do Deerwood, do doktora Trenta. Musiała dowiedzieć się prawdy.

Doktor Trent patrzył na nią bez wyrazu, usiłując coś sobie przypomnieć. — Panna... hm... panna...

— Pani Snaith — przedstawiła się Valancy spokojnie. — Gdy przyszedłam do pana przed rokiem, w maju, byłam panną Valancy Stirling. Radziłam się w sprawie dolegliwości serca.

Twarz doktora rozjaśniła się. — Och, naturalnie. Teraz sobie przypominam. Nie moja wina, że pani nie poznałam. Wyszła pani za męża i zmieniła się na korzyść. Wcale nie wygląda pani na chorą. Pamiętam tamten dzień. Wstrząsnęła mną wiadomość o wypadku syna. Lecz obecnie Ned czuje się doskonale, pani zresztą najwidoczniej także. Powiedziałem przecież, że nie ma się czym przejmować.

Valancy patrząc na doktora, mówiła powoli. Miała przy tym wrażenie, że ktoś inny przemawia jej głosem. — Oznajmił pan w liście, że mam angina pectoris... w ostatnim stadium... do tego skomplikowane przez aneuryzm... i że nie żyję dłużej niż rok.

Doktor Trent wpatrywał się w nią osłupiały. — To niemożliwe! — rzekł martwym głosem. — Nie mogłem napisać czegoś takiego!

Valancy wyjęła kopertę z torebki i podała mu bez słowa.

— Panna Valancy Stirling — przeczytał. — Tak, tak. Napisałem do pani tego wieczoru, w pociągu. Nie stwierdziłem nic poważnego.

— Proszę przeczytać swój list — nalegała Valancy.

Doktor wyjął list z koperty, rozłożył i zaczął czytać. Na jego twarzy pojawił się wyraz zatroskania. Zerwał się z krzesła i wzburzony chodził po pokoju. — Wielkie nieba! Ten list był przeznaczony dla panny Jane Sterling z Port Lawrence. Ona też przysłała do mnie tego dnia. Wysłałem pani niewłaściwy list! Co za niedopuszczalna nieostrożność! Ale tego dnia nie panowałem nad sobą... Mój Boże! I pani uwierzyła... uwierzyła że... ale dlaczego nie poszła pani do innego lekarza?

Valancy wstała, rozejrzała się dokoła i znowu usiadła. — Uwierzyłam panu — odparła słabym głosem. — Nie poszłam do innego doktora. Ja... ja... wyjaśnianie zajęłoby zbyt dużo czasu... Ale uwierzyłam w bliską śmierć.

Doktor Trent zatrzymał się przed nią. — Nigdy sobie tego nie wybaczę. Jaki straszny rok musiała pani przeżyć! Lecz nie wygląda pani... nie mogę zrozumieć...

— Nieważne — przerwała posępnie Valancy. — Tak więc z moim sercem nic poważnego się nie dzieje?

— Nic poważnego. Miała pani to, co potocznie nazywamy rzekomą anginą. Nigdy nie kończy się śmiercią, przechodzi bez śladu przy właściwej kuracji. Albo czasem po silnym wstrząsie. Czy bóle bardzo dawały się pani we znaki?

— Nie odczuwałam ich od końca marca — odparła Valancy. — Przypomniła sobie niezwykle uczucie odrodzenia, jakiego doznała na widok Barneya wracającego do domu po sztormowej nocy. Czy to ten „wstrząs” ją wyleczył?

— A więc prawdopodobnie jest pani zdrowa. Wszystko opisałem w liście, którego pani nie otrzymała. Naturalnie sądziłem, że pójdzie pani do innego lekarza. Dziecko, dlaczego pani tego nie zrobiła?

— Nie chciałam, żeby ktoś się dowiedział.

— Idiotka — zauważył bez skrępowania doktor. — Nie pojmuję takiego postępowania. A ta biedna pani Sterling! Otrzymała list mówiący, że nic poważnego jej nie dolega. Cóż, to i tak nie zmieniło sytuacji. Jej przypadek był beznadziejny. Nie miało znaczenia, czy coś robiła czy nie. Byłem zdziwiony, że przeżyła tak długo — dwa miesiące. Przyszła tego samego dnia, przed panią. Nie miałem serca wyznać jej prawdy. Zapewne uważa mnie pani za szorstkiego, starego gbura — moje listy często są takie. Nie zwykłem wygładzać prawdy, ale jestem strasznym tchórzem, gdy mam oznajmić kobiecie prosto w oczy, że wkrótce umrze. Dlatego przekonałem ją, by poczekała, aż się upewnię i przyślę wiadomość następnego dnia. Lecz list przeznaczony dla niej, trafił do pani. Proszę spojrzeć: „Szanowna panno Sterling!”

— Owszem, zauważyłam, lecz potraktowałam to jako zwykłą omyłkę. Nie słyszałam o żadnych Sterlingach z Port Lawrence.

— Ona jedna nosiła to nazwisko. Samotna staruszka. Mieszkała z jakąś dziewczyną z sierocińca. Zmarła dwa miesiące po wizycie u mnie — we śnie. Moja pomyłka nie sprawiła jej żadnej różnicy. Ale pani! Nie mogę sobie wybaczyć, że skazałem panią na rok udręki. Jeśli zdarzają mi się takie rzeczy, to znak, że powinienem iść na emeryturę. Nawet ciężki stan jedyne go syna nie może mnie usprawiedliwić. Czy zdoła mi pani kiedyś wybaczyć?

Rok udręki! Valancy uśmiechnęła się z bólem na myśl o szczęściu zrodzonym z pomyłki doktora Trenta. Lecz teraz płaciła za nie, och jaką cenę płaciła!

Pozwoliła się zbadać i odpowiedziała na wszystkie pytania. Gdy stwierdził, że jest zdrowa jak rydz i pewnie dożyje stu lat, wstała i wyszła bez słowa. Doktor Trent zaś pomyślał, że jest jakaś dziwna.

Patrząc na jej przygasłe oczy i zasmuconą twarz, można by pomyśleć, że zamiast życia dał jej wyrok śmierci. Snaith? Snaith? Za kogo, u diabła, ona wyszła? Nigdy nie słyszał o żadnych Snaithach w Deerwood. Była wtedy taką wyblakłą, pożółkłą, starą panną. Dobry Boże, małżeństwo wyraźnie jej posłużyło, kimkolwiek jest ten Snaith. Snaith? Nagle doktor sobie przypomniał. To ten hultaj z wyspy! Czyżby Valancy Stirling poślubiła jego? A rodzina na to pozwoliła!? Cóż, to wyjaśnia zagadkę. Wyszła za mąż w pośpiechu, a teraz ma dość czasu, żeby żałować... To pewnie dlatego nie skakała z radości słysząc, że jest zupełnie zdrowa i ma doskonałe dane do polisy ubezpieczeniowej. Kim on właściwie jest? Defraudantem? Byłym więźniem? Przestępcą ukrywającym się przed prawem? Biedaczka, musi się paskudnie czuć, jeśli oczekiwała śmierci jak wybawienia. Dlaczego jednak kobiety są takie głupie? — Tym pytaniem doktor Trent podsumował rozmyślenia o Valancy, choć do samej śmierci wstydział się zamiany kopert.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Valancy szła prędko bocznymi uliczkami i Aleją Zakochanych. Nie chciała spotkać nikogo, nawet nieznanym sobie osób. Splątane myśli kłębiły się bezładnie w jej głowie. Westchnęła z ulgą, gdy minęła ostatnie domy miasteczka i znalazła się przy drodze do Mi — stawis. Tutaj już nie musiała obawiać się, że spotka kogoś znajomego. Pędzące samochody pełne były obcych. Jeden wioził grupkę młodych ludzi śpiewających frywolną piosenkę o mężu czekającym, aż śmierć uwolni go od żony.

Valancy skrzywiła się boleśnie na myśl o własnej sytuacji. Zawarła układ ze śmiercią, a ta ją oszukała. Życie też sobie z niej zadrwiło. Wciągnęła Barneya w pułapkę. Skłoniła go do małżeństwa, a w Ontario trudno o rozwód. W dodatku to kosztowne przedsięwzięcie, Barney zaś jest biedny.

Wraz z życiem powrócił dawny strach. Strach przed tym, co pomyśli Barney. Co powie. Strach przed przyszłością bez niego. I strach przed znieważonym, odtrąconym klanem Stirlingów.

Wypiła jeden łyk z czary szczęścia i teraz odebrano jej tę czarę. Nie ma też łagodnej, przyjaznej śmierci — wybawicielki. Będzie musiała żyć i tęsknić. Wszystko zostało splamione i oszpecone. Nawet ten rok w Błękitnym Zamku. Nawet jej wielka miłość do Barneya; piękna dopóty, dopóki za progiem czekała śmierć. Teraz stała się ponizająca. Jak można znieść coś tak bolesnego?

Musi wrócić i opowiedzieć mu o wszystkim. Musi go przekonać, że nie chciała oszukiwać. Musi to zrobić za wszelką cenę. A także pożegnać się z Błękitnym Zamkiem i wrócić do ceglanego domu przy Elm Street. Z powrotem do wszystkiego, co jak sądziła, odrzuciła już na zawsze. Do starych lęków, starych więzów. To jednak nie ma znaczenia. Najważniejsze, by przekonała Barneya, że działała w dobrej wierze.

Kiedy dotarła do ostatnich sosen nad jeziorem, z bolesnego oszołomienia wyrwał ją zaskakujący widok. Obok starej rozklekotanej Lady Jane stało drugie auto. Wspaniałe, purpurowy samochód. Lśnił jak lustro, a jego wnętrze wyraźnie świadczyło o bogactwie właściciela. Za kierownicą siedział wyniosły szofer w liberii. Na tylnym siedzeniu zaś mężczyzna, który na widok Valancy zgrabnie wyskoczył na ziemię.

Krępy, niski mężczyzna o okrągłej, starannie wygolonej i uśmiechniętej twarzy. Jakiś chochlik, dotychczas otępiały podobnie jak umysł Valancy, podszeptał jej myśl: — Taką twarz winny otaczać białe bokobrody. — Wypukłe niebieskie oczy osłaniały staroświeckie okulary w drucianej oprawie. Ściągnięte usta, perkaty nos... — Gdzie, gdzie — próbowała ustalić — widziała tę twarz? — Wydawała się niezwykle znana, prawie tak jak własna.

Nieznajomy miał na sobie zielony, filcowy kapelusz i lekki, beżowy prochowiec, spod którego widać było garnitur w jaskrawą kratkę. Krawat w odcieniu jadowitej zieleni klócił się wyraźnie z barwą kapelusza, na pulchnej dłoni połyskiwał ogromny brylant. Jednocześnie zauważyła miły, ojcowski uśmiech, a w donośnym głosie brzmiał jakiś przyciągający uwagę ton.

— Może mi panienka powiedzieć, czy ten dom należy do pana Redferna?

Redfern! Niekończący się szereg buteleczek zawirował przed oczami Valancy. — Wysokie buteleczki z gorzką miksturą, okrągłe z tonikiem do włosów, kwadratowe z maścią, niskie przysadziste z czerwonymi pigułkami — i na wszystkich etykiety z tą zadowoloną, okrągłą jak księżyc twarzą.

Doktor Redfern!!

— Nie — odparła słabym głosem. — Nie, ten dom należy do pana Snaitha.

Doktor Redfern skinął twierdząco. — Rozumiem. Bernie używa panińskiego nazwiska matki. Bernard Snaith Redfern — to właśnie on. A teraz, panienko, czy mógłbym się



dowiedzieć, jak dostać się na wyspę? W domu zdaje się nikogo nie ma, bo machałem rękami i wołałem dość głośno. Henry, o ten tutaj, nie chciał krzyżeć. To poniżej jego godności. Lecz stary doktor Redfern może wykrzykiwać i nie uważa tego za poniżenie. Ale spłoszyłem tylko parę wron. Przypuszczam, że Bernie wybrał się gdzieś na cały dzień.

— Nie było go w domu, gdy wychodziłam rano — powiedziała Valancy — i sędzę, że jeszcze nie wrócił.

Mówiła obojętnie, bezbarwnym głosem. Szok chwilowo pozbawił ją zdolności racjonalnego myślenia, zachowanej po wysłuchaniu rewelacji doktora Trenta. Ukryty w podświadomości chochlik złośliwie powtarzał głupie, stare powiedzonko: „Kłopoty zawsze chodzą parami”. Próbowała zupełnie nie myśleć, bo i po co.

Pan Redfern przyglądał się jej z zakłopotaniem. — Kiedy wyszła pani, rano? To pani tam... mieszka? — Wskazał ubrylantowaną dłonią Błękitny Zamek.

— Oczywiście — rzekła tępo Valancy. — Jestem jego żoną. Doktor Redfern wyciągnął żółtą, jedwabną chustkę, zdjął kapelusz

i otarł pot z czoła. Był zupełnie łysy i chochlik Valancy szepnął: „Po co być łysym? Po co tracić męską urodę? Spróbuj toniku »Vigor« Redferna. Będiesz zawsze młody”.

— Proszę mi wybaczyć — odezwał się wreszcie. — To mnie raczej zaskoczyło.

— Zaskoczenia i wstrząsy wiszą dziś w powietrzu. — Chochlik wypowiedział to głośno, zanim Valancy zdołała go powstrzymać.

— Nie wiedziałem, że Bernie... się ożenił. Nie przypuszczałem, że zrobi to, nie mówiąc słowa swemu staremu ojcu.

Czyżby oczy doktora Redferna zwilgotniały? Mimo własnej udręki i obaw, serce Valancy napełniło się współczuciem dla starego człowieka. — Niech mu pan nie ma tego za złe — wtrąciła pospiesznie. — To... to nie była jego wina. To... wszystko przeze mnie.

— Chyba nie oświadczyła się pani? — zapytał Redfern, mrugając porozumiewawczo. — Jednak mógł mnie zawiadomić. Gdyby to zrobił, wcześniej poznałbym swoją synową. Jestem ogromnie rad z naszego spotkania, moja droga, bardzo rad. Wyglądasz na rozsądną kobietę. Zawsze się trochę bałem, że Bernie złapie jakąś głupiutką ślicznotkę. One rzeczywiście stałe się za nim uganiały. Chciały jego pieniędzy? Pewnie, że tak. Nie podobały im się pigułki i mikstury, ale dolary — och, jeszcze jak! Zawsze pragnęły zanurzyć śliczne paluszki w milionach starego doktora!

— Miliony! — wykrztusiła Valancy. Nagle zapragnęła usiąść i chwilę spokojnie pomyśleć. Pragnęła też zapaść się z Błękitnym Zamkiem w głębiny Mistawis i na zawsze zniknąć z ludzkich oczu.

— Miliony — powtórzył doktor Redfern z zadowoleniem. — A Bernie odrzucił je od siebie, ot tak. — Tu zrobił pogardliwy gest dłonią. — Czy nie uważasz, że powinien mieć więcej rozsądku? Wszystko przez dziewczynę. Ale teraz, skoro się ożenił, widocznie uporał się z tamtym uczuciem. Musisz go przekonać, żeby powrócił do cywilizacji. To głupota marnować życie w ten sposób. Może zaprosisz mnie do waszego domu, moje dziecko? Przypuszczam, że macie jakiś sposób na dostanie się doń.

— Oczywiście — odparła ciągle otępiała Valancy. Poszła przodem do malutkiej zatoczki, gdzie stała przycumowana motorówka. — Czy... czy pański szofer też popłynie?

— Kto? Henry! W żadnym razie. Popatrz tylko, jak tam siedzi i ma za złe. Potępia całą tę wyprawę. Droga od głównej szosy omal nie przyprawiła go o atak serca. Cóż, miał rację, to rzeczywiście piekielna droga dla samochodu. Czyj jest ten stary gruchot przy brzegu?

— Barneya.

— Dobry Boże! Czyżby Bernie Redfern jeździł czymś takim? To wygląda na praprababkę najstarszego Forda!

— To nie jest Ford tylko Grey Slosson — odparła wojowniczo Valancy. Z jakiegoś nieznanego powodu dobrotliwy żart z pocziwej, starej Lady Jane dotknął ją do żywego.

Więc żyje i znowu cierpi! Było to lepsze od stanu otępienia ostatnich godzin. A może lat... bo tak się dłużył czas. Pomogła panu Redfernowi wsiąść do łodzi i przewiozła go na wyspę. Klucz leżał w dziupli, dom stał pogrążony w milczeniu i pustki. Zaprowadziła gościa przez bawialnię na zachodnią werandę. Potrzebowała dużo powietrza. Świeciło słońce, ale od południowego zachodu nadciągała wielka, burzowa chmura z fioletowymi cieniami. Doktor opadł z westchnieniem na trzcinowe krzesło i otarł pot z czoła. — Ciepło, prawda? Co za wspaniały widok! Ciekawe, czy Henry'emu poprawiłby się humor, gdyby go zobaczył?

— Czy jadł pan obiad? — zapytała Valancy.

— Tak, moja droga, zanim wyruszyliśmy z Port Lawrence. Nie wiedziałem przecież, do jakiej zapadłej dziury jedziemy. Nie miałem też pojęcia, że zastanę uroczą synową, gotową poczęstować mnie obiadem. O, są i koty! Kici — kici. Popatrz tylko, koty mnie lubią. Bernie zawsze przepadał za kotami. To chyba jedno, co ma po mnie, bo tak ogólnie to wdał się w matkę.

Valancy też sądziła, że Barney musi być podobny do matki. Nadal stała przy schodkach werandy, lecz pan Redfern wskazał na krzesło naprzeciw siebie i powiedział: — Siadaj dziecko. Nigdy nie stój, kiedy możesz usiąść. Chcę się dobrze przyjrzeć żonie Barneya. A wiesz, podoba mi się twoja twarz. Choć nie jest piękna — zechciej mi wybaczyć, ale pewnie o tym dobrze wiesz. Usiądź.

Valancy usiadła. Siedzenie było prawdziwą torturą, gdy napięcie wewnętrzne domagało się ruchu. Nade wszystko pragnęła popłakać w samotności, ukryć się w jakimś kącie. Lecz musiała słuchać pana Redferna, który najwidoczniej lubił mówić.

— Jak myślisz, kiedy Bernie wróci?

— Nie wiem, pewnie nie wcześniej niż przed nocą.

— A dokąd poszedł?

— Tego nie wiem. Chyba do lasu, tam w głębi łądu.

— Tobie także nie mówi, dokąd chodzi i co robi? Bernie zawsze był skrytym uparciuchem. Nigdy go nie mogłem zrozumieć. Taki sam jak jego biedna matka. Lecz kochałem go. Bardzo mnie bolało, że znikł tak bez śladu. Jedenaście lat temu. Nie widziałem mego chłopca od jedenastu lat.

— Jedenaście lat? — zdziwiła się Valancy. — Tutaj mieszka dopiero od sześciu.

— O, przedtem był w Klondike i włóczył się po całym świecie. Zwykle od czasu do czasu przysyłał wiadomość, że wszystko z nim w porządku. Pewnie ci o tym opowiadał?

— Nie. Nie znam jego dawnego życia — odparła Valancy z nagłą szczerością. Dawniej to było nieważne, ale teraz musi wiedzieć wszystko. Nigdy nie usłyszy nic od Barneya. Może nawet już go więcej nie zobaczy. A jeśli tak, to nie będą rozmawiać o jego przeszłości. — Co się stało? Dlaczego opuścił dom? Proszę mi opowiedzieć, proszę!

— Cóż, niewiele tu do opowiadania. Po prostu młody chłopak zgłupiał z powodu dziewczyny. Do tego był zawsze uparty. Nigdy nie mogłem go skłonić do zrobienia czegoś wbrew jego woli. Ale był chłopcem spokojnym i łagodnym. Złote dziecko. Jego biedna matka zmarła, kiedy miał dwa lata. Właśnie wtedy zacząłem robić pieniądze na toniku do włosów „Vigor”. Widzisz, sam wymyśliłem skład chemiczny. No i gotówka popłynęła strumieniem. Bernie miał wszystko, czego dusza zapagnie. Posyłałem go do najlepszych, prywatnych szkół. Pragnąłem, by wyrósł na gentlemana. Sam nigdy nie miałem takiej możliwości. Uczył się w college i ukończył go z wyróżnieniem. Chciałem, żeby studiował prawo, ale jego ciągnęło do dziennikarstwa. Prosił, bym mu kupił gazetę, albo pomógł finansowo przy wydawaniu, jak to mówił „prawdziwego, wartościowego, mocno osadzonego w realiach kanadyjskiego pisma”. Pewnie bym to zrobił, zawsze robiłem to, o co prosił. Przecież żyłem tylko dla niego. Chciałem, aby był szczęśliwy. Pieniądze bez ograniczeń... Własne konto w banku... Podróże... Zwiedzanie świata, ale on nie był szczęśliwy. Zaznał trochę szczęścia, gdy zakochał się w Ethel Traverse.

Chmura dosięgła słońca i wielki, chłodny, fioletowy cień błyskawicznie zawisł nad Mistawis. Dotknął Błękitnego Zamku i przetoczył się nad nim. Valancy zadrżała. — Tak? — spytała z bolesną ciekawością, choć serce miała zlodowaciałe. — Jaka... jaka... ona była?

— Najładniejsza dziewczyna w Montrealu — odrzekł doktor Redfern. — O, było na co popatrzeć! Złote włosy lśniące jak jedwab, wielkie, czarne oczy, cera jak to mówią, krew z mlekiem. Nic dziwnego, że Bernie się zadurzył. A do tego niegłupia. Dyplom college'u i dobre pochodzenie. Jedna z najlepszych rodzin, tyle że trochę pusto mieli w kieszeni. Bernie szalał za nią. Najszczęśliwszy młody głupiec, jakiego widziałem. No i potem — bęc! Wszystko się rozleciało.

— Co się stało? — Valancy bezwiednie zdjęła kapelusz i kłuła go raz po raz szpilką. Szczęściarz siedział u jej stóp, mrużąc zadowolony. Tylko Banjo podejrzliwie przyglądał się gościowi. Nip i Tuck leniwie przeskakiwały z gałęzi na gałąź. Mistawis szumiało. Wszystko było takie samo i nic nie było takie samo. Od wczoraj upłynęło sto lat. Wczoraj o tej porze ona i Bernie kończyli spóźniony obiad i śmieli się. Śmiech? Valancy poczuła, że już nigdy nie będzie się śmiać. Ani płakać. Jednego i drugiego już nie potrzebowała.

— Ażebym to ja wiedział, moje dziecko. Jakaś głupia kłótnia. Przypuszczam. Bernie po prostu przepadł, znikł jak kamfora. Napisał do mnie dopiero znad Yukonu, że zaręczyny zostały zerwane i nie wraca do domu. I abym nie próbował go szukać, bo on i tak nigdy nie wróci. Nie szukałem więc, bo i po co? Dobrze znałem Berniego. Robiłem dalej pieniądze, gdyż nie miałem nic innego do roboty. Ale czułem się strasznie samotny. Żyłem od jednej krótkiej wiadomości od niego do drugiej. Klondike, Anglia, Afryka Południowa, Chiny — cały świat. Myślałem, że może któregoś dnia wróci wreszcie do swego starego ojca. Sześć lat temu nawet te krótkie listy przestały nadchodzić. Aż do ostatnich świąt Bożego Narodzenia nie miałem od niego ani słowa.

— Napisał do pana?

— Nie. Ale wypisał czek na piętnaście tysięcy dolarów ze swego konta w banku. Dyrektor banku jest moim przyjacielem i jednym z najpoważniejszych udziałowców w firmie. Obiecał mi, że natychmiast da znać, gdy Bernie wystawi jakiś czek. Bernie ma u nich pięćdziesiąt tysięcy, lecz aż do ostatnich świąt nie tknął z tego ani centa. Czek był wystawiony na firmę Aynsleya w Toronto...

— Aynsley? — Valancy usłyszała własne pytanie jak z oddali. — Aynsley. Na toaletce stało pudełeczko z tą nazwą na wieczku!

— Tak! To największy sklep jubilerski w mieście. Po zastanowieniu się, zacząłem działać. Miałem specjalny powód, by odnaleźć Barneya. Nadszedł czas, aby zaprzestał włóczęgi i nabrał rozumu. Czek na piętnaście tysięcy świadczył, że coś ważnego wisi w powietrzu. Dyrektor skontaktował się ze sklepem Aynsleya, jego żona jest z domu Aynsley — i dowiedział się, że Bernard Redfern kupił tam sznur pereł. Podał też jego adres: skrytka pocztowa 444 — Port Lawrence, Muskoka, prowincja Ontario. Chciałem napisać list, a potem pomyślałem, że poczekam, aż drogi będą lepsze i przyjadę sam. Nie mam daru do pisania listów. Wybrałem się samochodem z Montrealu. I wczoraj dotarliśmy do Port Lawrence. Spytałem na poczcie, a tam powiedzieli, że nic nie wiedzą o żadnym Bernardzie Snaithu Redfernie, ale ma u nich skrytkę niejaki Barney Snaith, który mieszka na wyspie. No więc przyjechałem tutaj. Ale gdzie podziewa się Bernie?

Valancy przebiegała palcami po perełkach. Miała naszyjnik za piętnaście tysięcy dolarów. A tak się martwiła, że Barney zapłacił za niego piętnaście lub dwadzieścia dolarów, choć nie mógł sobie na to pozwolić. Nagle roześmiała się prosto w twarz panu Redfernowi. — Przepraszam, ale to jest takie zabawne — powiedziała zmieszana.

— Prawda? — odparł pan Redfern dostrzegając dowcip, lecz nie ten, który ona miała na myśli. — Widzę, że jesteś rozsądną, młodą kobietą i przypuszczam, że masz duży wpływ na

Berniego. Czy mogłabyś go namówić, by powrócił do cywilizacji? Mam dom w Montrealu. Wielki jak pałac. Urządzony jak pałac. Pragnę w nim towarzystwa żony i dzieci Berniego.

— Czy Ethel „Traverse wyszła za męża — spytała nieoczekiwanie Valancy.

— Naturalnie. Dwa lata po zniknięciu Berniego. Lecz teraz jest wdową. Piękna jak zawsze. Mówiąc szczerze, to był właśnie powód, dla którego chciałem odnaleźć Berniego. Pomyślałem, że teraz mogliby spróbować jeszcze raz. Ale to już nieaktualne. Żona, którą sobie wybrał Bernie, odpowiada i mnie. Chcę tylko odzyskać swego chłopca. Sądziś, że niebawem się pojawi?

— Nie wiem. Nie przypuszczam, by wrócił przed wieczorem, a może dopiero jutro. Lecz urządzę tu pana całkiem wygodnie. Rano będzie już na pewno w domu.

Doktor Redfern pokręcił przecząco głową. — Zbyt tu wilgotno. Wolę nie ryzykować z moim reumatyzmem.

„Dlaczego cierpisz nieustanne bóle? Dlaczego nie spróbujesz maści Redferna?” — zacytował chochlik w myślach Valancy.

— Muszę wrócić do Port Lawrence przed deszczem. Henry strasznie się gniewa, gdy samochód jest zabłocony. Ale jutro wrócę, tymczasem przemów Berniemu do rozumu.

Ucisnęła jej rękę i dobrotliwie poklepał po ramieniu. Z taką miną, jakby miał ochotę ją pocałować, gdyby go zachęciła. Lecz Valancy tego nie zrobiła. Nie, żeby nie chciała, bo choć był hałaśliwy i bezceremonialny, to miał w sobie coś sympatycznego. Z roztargnieniem pomyślała, że chętnie byłaby jego synową, gdyby nie był milionerem. A Barney jest przecież jego synem i spadkobiercą. Odwiozła gościa łodzią na stały ląd i patrzyła przez chwilę, jak elegancki samochód niknie w lesie. Potem wróciła do Błękitnego Zamku. To, co miała do zrobienia, wymagało pośpiechu, bo Barney mógł w każdej chwili wrócić do domu. Do tego zaczęło padać. Poczowała zadowolenie, że zdołała się opanować. — Jak się często dostaje po głowie, to zmniejsza się wrażliwość na ból — westchnęła. Stała chwilę przed kominkiem, patrząc na popioły ostatniego przez siebie rozpalonego ogniska. — W każdym razie, Barney nie jest biedakiem. Stać go będzie na rozwód — powiedziała do siebie.

\* \* \*

Powinna napisać list. Tu chochlik ukryty w podświadomości zaśmiał się cichutko. W każdej czytanej dotąd powieści, bohaterka decydując się na ucieczkę z domu, zostawiała list. Z reguły przypięty do poduszeczki z igłami. Pomysł więc był mało oryginalny, lecz trzeba zostawić jakieś wyjaśnienie. A co jest lepsze od listu? Rozejrzała się za przyborami do pisania. Nie było pod ręką atramentu i pióra, pisała przecież tylko domowe notatki, do których wystarczał ołówek. Teraz i jego nie mogła znaleźć. Bez namysłu podeszła do drzwi Izby Sinobrodego i nacisnęła klamkę. Pokój był otwarty. Nigdy przedtem nie próbowała tu wchodzić, nie wiedziała więc, czy Barney zamyka go na klucz. Nie zdawała sobie sprawy, że postępuje wbrew jego zakazowi. Myślała wyłącznie o tym, co napisać w liście. Wchodząc do przybudówki, wcale nie kierowała się ciekawością.

Pokój Sinobrodego okazał się zwyczajnym pomieszczeniem z małym, żelaznym piecykiem pośrodku i rurą wyprowadzoną przez sufit. Z jednej strony stał stół zastawiony dziwnie wyglądającymi przyrządami. Pewnie z ich pomocą Barney przeprowadzał te cuchnące doświadczenia. — Chyba coś związanego z chemią — pomyślała. Po drugiej stronie stało duże biurko i obrotowy fotel. Boczne ściany zajmowały półki z książkami.

Valancy podeszła do biurka i zamarła w bezruchu, patrząc na stos arkuszy szpaltowej korekty. Na samym wierzchu widniał tytuł: *Dziki miód* i nazwisko autora: John Foster. Przeczytała pierwsze zdanie: „Sosny są drzewami z mitów i legend. Ich korzenie sięgają

głęboko w tradycję dawnego świata...” To zdanie powiedział kiedyś Barney, gdy wędrowali lasem.

A więc Barney był Johnem Fosterem!

Valancy nie poczuła wzruszenia. Tyle doznała ciosów i wstrząsów, że jeden więcej nie sprawiał różnicy. Pomyślała tylko: — To wyjaśnia tę sprawę.

Chodziło o drobiazg, który dobrze zapamiętała. Wkrótce po dostarczeniu jej przez Barneya nowej książki Fostera, wstąpiła do księgarni w Port Lawrence. Ktoś zapytał sprzedawcę o ostatnią książkę Fostera, ten zaś odparł: „Jeszcze się nie ukazała. Obiecują pod koniec przyszłego tygodnia”.

Valancy już otwierała usta, żeby zaprzeczyć, lecz się powstrzymała. W końcu to nie jej sprawa. Sądziła, że księgarz próbuje tylko ukryć swoje zaniedbanie. Teraz jednak zrozumiała, że Barney przywiózł jej egzemplarz autorski. Obojętnie odsunęła szpalty korekty, wzięła arkusz papieru i zaczęła pisać. Ograniczyła się tylko do konkretów.

*Kochany Barneyu — pisała. —*

*Dziś rano poszłam do doktora Trenta i dowiedziałam się, że przez pomyłkę wysłał mi niewłaściwy list. Moje dolegliwości sercowe nie były poważne, a teraz jestem zupełnie zdrowa.*

*Nie miałam zamiaru Cię oszukiwać. Proszę, uwierz mi. Nie mogę znieść myśli, że mi nie uwierzysz. Bardzo żałuję tej pomyłki. Zapewne dostaniesz rozwód, jeśli Cię opuszczę. Czy w Kanadzie porzucenie jest podstawą do rozwodu? Jeśli mogłabym w czymś pomóc, chętnie to zrobię, gdy tylko Twój adwokat da mi znać.*

*Dziękuję Ci z całego serca za dobroć. Nigdy Ci tego nie zapomnę. Myśl o mnie dobrze, jeśli możesz, bo naprawdę nie chciałam umyślnie wciągnąć Cię w małżeństwo.*

*Wdzięczna Ci Valancy.*

Czuła, że list wypadł poprawny i sztywny, ale gdyby spróbowała napisać więcej, byłoby to niebezpieczne jak dziurawienie tamy. Nie miała bowiem pojęcia, jaki potok namiętności i męki zaczęłyby się wylewać. W postscriptum dodała tylko:

*Był tu dzisiaj Twój ojciec. Przyjedzie jeszcze jutro. Opowiedział mi o wszystkim. Sądzę, że powinieneś do niego wrócić. Jest bardzo samotny i tęskni do Ciebie.*

Włożyła list do koperty, napisała na niej „Barney” i położyła na biurku razem ze sznurkiem pereł. Gdyby były zwykłą imitacją, zachowałyby je na pamiątkę tego cudownego roku. Nie mogła jednak zatrzymać prezentu za piętnaście tysięcy dolarów, pochodzącego od mężczyzny, który ożenił się z nią z litości. Z żalem rozstawała się ze śliczną ozdobą, choć świadomość, że opuszcza Barneya, nie sprawiała bólu, przynajmniej na razie. Serce miała zlodowaciałe i ze strachem myślała, co będzie, gdy odzyska w nim czucie.

Nałożyła kapelusz i mechanicznie nakarmiła koty. Potem zamknęła drzwi i schowała klucz w dziupli sosny. Dopłynęła do lądu motorówką. Chwilę stała, patrząc na Błękitny Zamek. Deszcz wisiał w powietrzu, niebo pociemniało, na jeziorze podniosła się fala. Mały domek pod sosnami wyglądał bardzo smutno, jak lampa ze zgasłym płomieniem.

Nigdy nie usłyszę wiatru jęczącego nad Mistawis — pomyślała Valancy. To także sprawiało przykrość. Niepojęte, jak podobny drobiazg mógł ją dotknąć w takiej chwili.

Valancy zatrzymała się na ganku domu przy Elm Street. Zauważyła swój różany krzew cały w pąkach i pelargonie stojące przy drzwiach. Przez moment ogarnął ją strach na wspomnienie dawnej egzystencji. Opanowała się jednak, otworzyła drzwi i weszła do środka.

— Ciekawe, co tak naprawdę odczuwał syn marnotrawny, gdy wracał do domu? — pomyślała.

Pani Fryderykova i kuzynka Stickles siedziały w bawialni razem ze stryjem Beniaminem. Popatrzyli chłodno na Valancy i natychmiast spostrzegli, że coś się stało. To już nie była wesoła i beczelna istota, która rok temu śmiała się im w nos w tym pokoju. Teraz stała przed nimi kobieta o poszarzałej twarzy i oczach osoby, której zadano śmiertelny cios.

Valancy powiodła po pokoju obojętnym spojrzeniem. Zmieniła się tak bardzo, a tu wszystko było jak dawniej. Na ścianach te same obrazy. Ze starej kamiennej donicy wylewa się kaskadą zieleń „wędrującego Jasia”. W kredensie stoi cudaczny, od lat nie używany dzbanek. Niebiesko — złote wazon, ślubny prezent matki, stoją na kominku po obu stronach porcelanowego zegara, który nigdy nie chodził. I krzesła są na tych co zawsze miejscach. Niezmiennie takie same matka i kuzynka Stickles przyglądały się jej niechętnie i zimno.

Valancy pierwsza przerwała milczenie: — Wróciłam do domu, mam — oznajmiła znużona.

— Zauważyłam. — Głos pani Fryderykowej był lodowaty. Już pogodziła się z odejściem córki. Niemal udało się jej zapomnieć, że Valancy kiedykolwiek istniała. Zorganizowała sobie życie na nowo, bez wspomnień czy wzmianek o niewdzięcznym, zbuntowanym dziecku. Znowu zajęła odpowiednie miejsce w wąskiej społeczności miasteczka. Jeśli się nad nią litowano, to tylko szeptem i aluzyjnie. Jednym słowem, w tej chwili pani Fryderykova wcale nie chciała powrotu Valancy, nawet nie chciała jej widzieć, czy słyszeć o niej.

Lecz Valancy zjawiała się i do tego z wyraźnym piętnem hańby i skandalu.

— Zauważyłam — powtórzyła pani Fryderykova. — Czy wolno spytać dlaczego?

— Dlatego... dlatego, że wkrótce nie umrę — odparła Valancy stłumionym głosem.

— Wielkie nieba! — zawołał stryj Benjamin. — Kto ci powiedział, że wkrótce umrzesz?

— Przypuszczam — wtrąciła złośliwie kuzynka Stickles, również nie życząca sobie powrotu Valancy — przypuszczam, że dowiedziałas się o jego drugiej żonie. Byliśmy tego pewni od początku.

— Chciałabym, żeby tak było — westchnęła Valancy. Czuła się nieopisanie znużona. Gdyby tylko miała te wyjaśnienia za sobą i mogła pójść do swego starego, ponurego pokoju. I zostać sama! Działał jej na nerwy stuk koralików, którymi były obszyte rękawy matczynej sukni. Nagle poczuła, że po prostu nie zniesie tego natarczywego dźwięku.

— Mój dom, jak ci obiecałam, jest zawsze przed tobą otwarty — oznajmiła pani Fryderykova z kamiennym wyrazem twarzy. — Lecz ja ci nigdy nie wybaczę.

Valancy roześmiała się gorzko. — Wcale mi na tym nie zależy. Gdybym tylko mogła wybaczyć sama sobie.

— Przestań. Dość tego — wtrącił stryj Benjamin, który właściwie całkiem dobrze się bawił. Czuł, że znowu ma bratanicę pod pantoflem. — Wystarczy tych tajemnic. Co się stało? Dlaczego opuściłaś tego człowieka? Jestem pewien, że miałas jakiś szczególny powód.

Valancy zaczęła mówić. Przedstawiła całą historię zwięźle i bez owijania w bawełnę: — Przed rokiem doktor Trent powiedział mi, że mam angina pectoris i długo nie pożyję. Chciałam mieć coś z życia... zanim umrę. Dlatego odeszłam z domu i wyszłam za Barneya. Teraz dowiedziałam się, że tak nie jest. Serce mam w porządku i będę żyła. A Barney ożenił się ze mną z litości. Dlatego musiałam odejść... uwolnić go od siebie.

— Boże, miej nas w swej opiece! — zawołał stryj, a kuzynka Stickles zapłakała.

— Valancy, gdybyś tylko zaufała własnej matce...

— Wiem, wiem — przerwała Valancy niecierpliwie. — Ale co nam teraz przyjdzie z gdybania? Nie mogę cofnąć tego roku, choć Bóg mi świadkiem, że chciałabym. Wpłatałam Barneya w małżeństwo, a on jest w rzeczywistości Bernardem Redfermem, synem doktora Redferna z Montrealu. I ojciec pragnie, by wrócił do domu.

Stryj Benjamin wydał jakiś nieartykułowany dźwięk. Kuzynka Stickles odjęła od oczu chusteczkę z żalobnym obrębkiem i wlepiła wzrok w Valancy.

Kamienno — szare oczy pani Fryderykowej rozbłysły nadzieją. — Doktora Redferna? Tego od Czerwonych Pigulek? — spytała.

Valancy skinęła głową. — Jest również Johnem Fosterem, autorem tych książek o przyrodzie.

— Ale... ale... — Panią Fryderykowa nareszcie coś poruszyło, chociaż nie wiadomo, że jest teściową pisarza. — Doktor Redfern jest milionerem!

— I to wielokrotnym — wtrącił stryj Benjamin.

— Tak — potwierdziła Valancy. — Barney opuścił dom z powodu... pewnych kłopotów... rozczarowania. Teraz pewnie zechce wrócić. Widzicie więc, że i ja musiałam wrócić do domu. On mnie nie kocha. Nie mogę zmuszać go do podtrzymywania związku, będącego rezultatem fatalnej omyłki.

Na twarzy stryja Beniamina pojawił się wyraz niezwyklej przebiegłości. — Powiedział ci to? Że chce się od ciebie uwolnić?

— Nie. Nawet go nie widziałam po wizycie u lekarza. Ale mówiłam przecież, że ożenił się ze mną z litości, bo go o to poprosiłam, bo myślał, że to potrwa krótko...

Pani Fryderykowa i kuzynka Stickles zaczęły coś razem mówić, lecz stryj władczo machnął ręką w ich stronę i groźnie zmarszczył czoło.

— Pozwólcie, że ja się tym zajmę — rzekł i zwrócił się do Valancy.

— Moja droga, o tym porozmawiamy później. Widzisz, my niezupełnie rozumiemy tę historię. Jak już wspomniała kuzynka Stickles, powinnaś okazać nam więcej zaufania. Później... cóż, sądzę, że znajdziemy jakieś rozsądne wyjście.

— Myślisz, że Barney otrzyma rozwód bez trudu? — spytała Valancy nieśmiało.

Stryj Benjamin kolejnym ruchem ręki uciszył okrzyk zgrozy drżący na wargach pani Fryderykowej. — Zaufaj mi Valancy. Wszystko ułoży się samo. Powiedz mi tylko jedno. Byłaś szczęśliwa, tam na wyspie? Czy pan Sn... Redfern był dla ciebie dobry?

— Byłam bardzo szczęśliwa i Barney był dla mnie bardzo dobry.

— Valancy wyrecytowała zdanie jak wyuczoną lekcję. Przypomniała sobie, że gdy uczyła się gramatyki w szkole, to nie lubiła czasu przeszłego, zwłaszcza dokonanego. Wydawał się taki nieodwracalny i smutny: „Skończyłam. Zrobiłam...”

— Nie martw się, mała. — Jak zaskakująco ojcowski zrobił się stryj Benjamin! — Twoja rodzina stanie przy tobie murem. Zobaczmy, co się da zrobić.

— Dziękuję — głos Valancy brzmiał głucho. Stryj Benjamin zachował się niezwykle po — ludzku. — Czy mogę pójść na górę i położyć się? Jestem... bardzo zmęczona.

— Naturalnie, że jesteś zmęczona. — Stryj poklepał ją łagodnie, ze zrozumieniem po rękę. — Zmęczona i zdenerwowana. Idź i połóż się, dłaczego nie. Jak wypocznesz, zaraz zobaczysz swoje problemy w innym świetle.

Otworzył przed nią drzwi i gdy wychodziła, szepnął: „Jaki jest najlepszy sposób na zachowanie miłości męża?”

Valancy uśmiechnęła się słabo. Lecz skoro wróciła do dawnego życia, do dawnych więzów... Zapytała więc cicho: — Jaki?

— Nie należy mu jej zwracać — odparł stryj Benjamin. Zamknął za nią drzwi i zatarł ręce. Pokiwał głową z tajemniczym uśmiechem. — Biedna mała Doss — powiedział przejęty.

— Czy sądzisz, że ten... Snaith... naprawdę może być synem doktora Redferna? — wykrztusiła pani Fryderykowa.

— Nie mam podstaw, by w to wątpić. Mówiła przecież, że doktor tam przyjechał. A niech mnie! Ten facet jest bogaty jak Krezus. Zawsze wiedziałem, że Doss ma w sobie coś! Za krótko ją trzymałaś, za krótko! Nie miała okazji pokazania, na co ją stać. A teraz złapała męża — milionera.

— Ale przecież... — pani Fryderykowa zawahała się — on... o nim opowiadano takie okropne rzeczy!

— Same plotki i wymysły. Plotki i wymysły. Często zastanawiałem się, dlaczego ludzie tak chętnie puszczają w obieg plotki o kimś, o kim absolutnie nic nie wiedzą. Nie rozumiem też, dlaczego ty tyle uwagi przywiązujesz do pogłosek. Obgadywali go, bo nie chciał spoufalać się z byle kim. Kiedy przyszedł z Valancy do sklepu, przekonałem się, jaki z niego przyzwoity człowiek. Zaraz też przestałem słuchać bajd, które o nim opowiadano.

— Lecz przecież widziano go pijanego w Port Lawrence — wtrąciła kuzynka Stickles, i choć jeszcze miała wątpliwości, już gotowa była się ich pozbyć.

— Kto go widział? — zapytał stryj Benjamin surowo. — Kto go widział? Stary Jemmy Strang twierdził, że go widział. Ja bym nie wierzył słowom Jemmy'ego Stranga nawet pod przysięgą. Jest stale podpity i ledwo widzi na oczy. Mówił, że widział go pijanego na ławce w parku. Phi! Redfern śpiący na ławce! Bzdura. Nie zwracaj sobie tym głowy.

— A jego ubranie, ten okropny samochód — panią Fryderykowa trudno było przekonać.

— Ekstrawagancje geniusza — znalazł wytłumaczenie stryj. — Słyszałaś przecież, co Doss mówiła, że on jest Johnem Fosterem. Sam nie znam się za dobrze na literaturze, ale słuchałem lektora z Toronto, który uważał, że książki Johna Fostera wprowadziły Kanadę do literatury światowej.

— No to chyba... musimy jej wybaczyć — ugięła się pani Fryderykowa.

— Wybaczyć! — prychnął stryj Benjamin i pomyślał: „Ta Amelia okazuje się nieprawdopodobnie głupia. Nic dziwnego, że biedna Doss miała po dziurki w nosie przebywania z nią!” — Tak, sądzę, że istotnie lepiej będzie, jeśli jej wybaczysz! Pytanie tylko, czy Snaith zechce wybaczyć nam?

— A jeśli uprze się i zechce go opuścić? Nie masz pojęcia, jaka potrafi być uparta — wyraziła wątpliwość pani Fryderykowa.

— Amelio, zostaw to mnie. Wszystko zostaw mnie. Wy, kobiety, już dość namąciłyście. Spartaczyłyście całą sprawę od początku do końca. Gdybyś kiedyś zadała sobie trochę trudu, to dzisiaj Doss nie robiłaby takich sztuczek. Zostaw ją w spokoju, nie narzucaj się z radami lub pytaniami, dopóki nie zechce sama mówić. Najwidoczniej uciekła stamtąd w panice, obawiając się jego gniewu, gdy dowie się o pomyłce. A tak, nawiasem mówiąc, to zupełnie nie do wiary, by Trent mógł powiedzieć podobną bzdurę! Oto co wynika z chodzenia do obcego lekarza. Nie bądźmy dla biedaczki zbyt surowi. Redfern po nią przyjdzie. Jeśli zaś nie, to już ja go znajdę i porozmawiamy sobie po męsku. Może być milionerem, ale Valancy pochodzi ze Stirlingów. Nie ma prawa odtrącić jej tylko dlatego, że nastąpiła omyłka w kwestii choroby. Wątpię, czy będzie chciał to zrobić. Doss jest przewrażliwiona. Och, muszę przyzwyczaić się, nazywać ją Valancy. Nie jest już dzieckiem. A teraz pamiętaj, Amelio, bądź dla niej dobra i czuła.

Jak na możliwości pani Fryderykowej było to chyba zbyt wygórowane wymaganie, lecz starała się, jak mogła. Podczas kolacji weszła na górę i spytała córkę, czy zechce napić się herbaty. Valancy odmówiła. Chciała tylko pozostać sama. Pani Fryderykowa wyszła bez słowa i nawet nie przypomniała córce, że jej obecna sytuacja wynikła z nieposłuszeństwa i braku szacunku dla starszych. Cóż, trudno przecież powiedzieć coś takiego synowej milionera.

\* \* \*

Przygnębiona Valancy rozglądała się po swym dawnym pokoju. Nie zmienił się ani trochę i z trudem mogła uwierzyć w zmiany, które zaszły w niej od chwili, gdy spała tu ostatni raz. Księżna Louise tak samo schodziła po schodach, czerwona papierowa żaluzja zasłaniała okno, a na ścianie wisiało pozieleniałe ze starości lustro. Na sąsiedniej posesji stary sklep oklejały krzykliwe reklamy. Stojący dalej budynek stacji był tak samo obskurny i brudny jak kiedyś.



Dawne życie czyhało na nią niby posepny potwór, oblizujący się na widok ofiary. Nagle ogarnął ją paraliżujący strach. Gdy zapadła noc, minęło dotychczasowe otępienie i zastąpiła je rozpacz. Leżała w ciemności i rozmyślała o swej wyspie pod gwiazdami. O ogniskach na brzegu, żartach i zabawnych powiedzonkach, ślicznych puszystych kotach, światłach mrugających z oddali, czółnach mknących po Mistawis w czarodziejskim blasku poranków, białych brzozech między świerkami, zimowym śniegu i szkarłatnych zachodach słońca, o wszystkich urokach i radościach utraconego raj. Nie dopuszczała tylko myśli o Barneyu. Wszystko, tylko nie to.

Lecz siły woli nie starczyło na długo. Ogarnęła ją straszliwa tęsknota za nim. Pragnęła uścisku jego ramion i szeptów przy uchu. Przypomniała sobie przyjazne spojrzenia, żarty, drobne komplementy, pieszczoty. Przeliczyła je tak, jak inna kobieta mogłaby liczyć swe klejnoty. Wspomnienia były teraz wszystkim, co posiadała. Wreszcie przymknęła oczy i zaczęła się modlić: — Dobry Boże, pozwól mi zapamiętać każdy wspólnie przeżyty drobiazg! Nie pozwól, bym cokolwiek zapomniała.

Chociaż może lepiej zapomnieć. Wtedy samotność i tęsknota nie będą taką torturą. No i ta Ethel Traverse. Czarodziejka o mlecznobiałej cerze, czarnych oczach i lśniących włosach. Kobieta, którą Barney kochał i kocha jeszcze. Czy nie powiedział, że nigdy nie zmienia zdania? Kobieta czekająca na niego w Montrealu to odpowiednia żona dla bogatego i znanego człowieka. Barney ożeni się z nią, gdy tylko otrzyma rozwód. Jakże jej teraz zazdrościła i jak ją nienawidziła! Do niej przecież Barney mówił: „kocham cię”. Valancy zastanawiała się, jakim tonem wypowiadał te słowa i jaki wyraz miały wtedy jego oczy. Ethel Traverse to wiedziała. Lecz nie spędziła tylu pięknych godzin w Błękitnym Zamku, one należą do mnie, pomyślała z zawziętością. Ethel nigdy nie zrobi poziomkowych konfitur, nie zatańczy przy dźwiękach skrzypiec Ryczącego Abla, nie usmaży bekonu nad płomieniem ogniska. Ona w ogóle nie przyjedzie do małej chatki na Mistawis.

— A co teraz robi Barney? O czym myśli? Czy już wrócił do domu i znalazł list? Czy bardzo się gniewa? A może mi współczuje? Leży na łóżku, wpatruje się we wzburzone jezioro i słucha deszczu bębniącego o dach? Czy też dalej wędruje po leśnych ostępach, wstrząśnięty swoją sytuacją?

Poczuła dotkliwy ból i serce zamarło w niej, jakby ściśnięte w bezlitosnej, potężnej dłoni. Valancy wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Czy świt nie położy kresu tej okropnej nocy? Lecz co może przynieść jej ranek? Dawna stagnacja ostatecznie była do zniesienia. Ale dawne życie skonfrontowane ze wspomnieniami ostatniego roku stawało się męką ponad siły.

— Och, dlaczego nie mogę umrzeć? — jęknęła Valancy.

\* \* \*

Dopiero nazajutrz, wczesnym popołudniem, stary rozklekotany samochód zagrzechotał po Elm Street i zatrzymał się przed ceglany domem. Wskoczył z niego mężczyzna z włosami w nieładzie i wbiegł po schodach. Dzwonkiem szarpnięto tak, jak nigdy dotąd, niecierpliwie i gwałtownie. Gość nie prosił o otwarcie drzwi, on tego żądał. Stryj Benjamin uśmiechał się skrycie, idąc przez hali. Właśnie „wpadł na chwilę”, by się dowiedzieć, jak się czuje droga Doss, czy raczej Valancy. — Droga Doss, to jest Valancy — powiedziano mu — czuje się tak, jak wczoraj. Zeszła na śniadanie, którego nie tknęła i wróciła do swego pokoju. Zeszła na obiad, którego nie tknęła i wróciła do swego pokoju. To wszystko. Nie odezwała się do nikogo. A otoczenie z życzliwą wyrozumiałością zostawiło ją w spokoju.

— Doskonale. Redfern musi się zjawić — oświadczył stryj Benjamin. No i właśnie w tej chwili ustaliła się jego reputacja proroka. Redfern stał na progu: — Czy moja żona jest tutaj? — zwrócił się bez wstępów do stryja Beniamina.

Ten uśmiechnął się wymownie. — Zdaje się, że pan Redfern? Miło mi pana powitać. Tak, ta pańska niegrzeczna dziewczynka jest tutaj. Byliśmy...

— Muszę się z nią zobaczyć — Barney przerwał stryjowi w pół słowa.

— Oczywiście, panie Redfern. Proszę wejść dalej. Valancy za chwilę zejdzie. — Wprowadził Barneya do bawialni, a sam wszedł do saloniku i polecił pani Fryderykowej: — Idź na górę i powiedz Valancy, żeby zeszła do bawialni. Przyjechał jej mąż.

Stryj nie miał pewności, czy Valancy zejdzie za chwilę lub w ogóle, podążył więc na palcach za panią Fryderykową i podsłuchiwał w korytarzu.

— Valancy, drogie dziecko — powiedziała czule pani Fryderykową. — Twój mąż jest na dole i pyta o ciebie.

— Och, mamó. — Valancy odwróciła się do okna i załamała ręce. — Nie mogę się z nim zobaczyć! Powiedz mu, żeby sobie poszedł, poprosz go, żeby poszedł. Ja go nie mogę zobaczyć!

— Powiedz jej — syknął stryj Benjamin — że Redfern nie odejdzie, dopóki się z nią nie zobaczy.

Redfern niczym podobnym nie groził, ale stryj uznał to za prawdopodobne. Valancy znała swego męża i zrozumiała, że prędzej czy później musi do niego zejść.

Minęła stryja Beniamina, nie zwróciwszy na niego uwagi. On zaś wycofał się do kuchni, zacierając z zadowoleniem ręce.

O wchodzącej do bawialni Valancy można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że pięknie wyglądała. Bezsenna noc zostawiła wyraźny ślad na jej twarzy. Ubrana była w brzydką, starą sukienkę w brązowo — niebies — ką kratkę, gdyż wszystkie nowe stroje zostały w Błękitnym Zamku. Barney jednak przebiegł pokój i chwycił ją w ramiona. — Valancy, kochanie! Och, ty mój kochany głuptasie. Co ci przyszło do głowy, żeby tak zniknąć? Gdy wróciłem wczoraj wieczorem do domu i znalazłem twój list, wpadłem w furję. Dochodziła północ i było zbyt późno, aby tu przyjechać. Chodziłem po pokoju do świtu... A potem zjawił się tato i nie mogłem się wyrwać aż do tej chwili. Valancy, co w ciebie wstąpiło? Rozwód, też coś! Czyżbyś nie wiedziała...

— Wiem tylko, że ożeniłeś się ze mną z litości — oznajmiła Valancy, uwalniając się z jego objęć. — Wiem, że mnie nie kochasz, że...

— Za krótko spałaś tej nocy — odparł Barney, lekko nią potrząsając. — Nie kocham! Ja cię nie kocham? Dziewczyno, kiedy zobaczyłem zbliżający się pociąg, doskonale wiedziałem, czy cię kocham, czy nie!

— Tego się właśnie obawiałam. Och, nie próbuj mnie przekonać, że ci na mnie zależy! — zawołała z przejęciem Valancy. — Nie rób tego! Wiem o Ethel Traverse. Twój ojciec wszystko o niej opowiedział. Barneyu, nie dręcz mnie! Nie mogę wrócić do ciebie! — Barney wypuścił ją i patrzył przez chwilę w oczy. Coś w pobladłej i ściągniętej twarzy bardziej niż słowa świadczyło o determinacji żony.

— Valancy — odezwał się łagodnie. — Ojciec nie mógł opowiedzieć ci wszystkiego, bo sam tego nie wie. Czy pozwolisz, żebym ci opowiedział, jak było naprawdę?

— Tak — zgodziła się z ociąganiem. Jakże pragnęła rzucić mu się w ramiona! Gdy ostrożnie posadził ją na krześle, zapragnęła ucałować jego szczupłe, opalone dłonie. Nie śmiała podnieść wzroku i spojrzeć mu w oczy. Musi być dzielna ze względu na niego. On, oczywiście, będzie udawał, że nie chce odzyskać wolności. Wiedziała, że tak się właśnie zachowa, gdy minie pierwsze oszołomienie. Doskonale przecież rozumiał, w jak okropnym znalazła się położeniu... Ona jednak nie przyjmie jego poświęcenia. Nigdy!

— Poznałaś już tatę i wiesz, że jestem Bernardem Redfermem. Przypuszczam, iż domyśliłaś się również, że jestem Johnem Fosterem, skoro weszłaś do Izby Sinobrodego.

— Tak. Ale nie zrobiłam tego z ciekawości. Zapomniałam, że mi nie pozwoliłeś... zapomniałam...

— Nieważne. Nie zabiję cię, ani nie powieszę za to na ścianie, więc nie wpadaj w panikę. Chcę ci tylko opowiedzieć moją historię od samego początku. Z takim zamiarem wróciłem do domu wczoraj wieczorem. Tak, jestem synem starego doktora Redferna, sławnego twórcy Czerwonych Pigulek i Gorzkiej Mikstury. Przez całe lata nie dawano mi o tym zapomnieć. — Barney roześmiał się gorzko i przemierzył kilka razy pokój. Stryj Benjamin usłyszał ten śmiech w hallu i zmarszczył czoło. Chyba Doss nie będzie odgrywała głupiego uparciucha?

Barney tymczasem usiadł na krześle naprzeciw Valancy. — Tak, jestem synem milionera. Ale kiedy się urodziłem, tato nie był milionerem. Nie był nawet lekarzem, tylko weterynarzem i to pechowym. Mieszkali z matką w małej wiosce Quebec i byli rozpaczliwie biedni. Nie pamiętam matki, nie mam nawet jej fotografii. Umarła, kiedy miałem dwa lata. Była piętnaście lat młodsza od ojca — młodzianka nauczycielka w wiejskiej szkole. Po jej śmierci tato przeniósł się do Montrealu i zaczął sprzedawać swój tonik do włosów. Zawsze mówił, że formuła toniku przyśniła mu się pewnej nocy. Cóż, miał szczęście. Pieniądze popłynęły strumieniem. Tato wymyślał, czy też mu się przyśniły inne preparaty, pigułki, mikstury, maści i tak dalej. Kiedy skończyłem dziesięć lat, był już milionerem i mieszkał w ogromnym domu. Chłopiec taki mały jak ja, łatwo mógł się w nim zgubić. Dostawałem zabawki, jakie sobie życzyłem i byłem najbardziej samotnym dzieckiem na świecie. Z całego dzieciństwa pamiętam tylko jeden szczęśliwy dzień. Rozumiesz, Valancy? Tylko jeden. Chyba nawet tobie było lepiej. Tato pojechał odwiedzić znajomego na wsi i zabrał mnie ze sobą. Pozostawiono mnie na podwórzu przy stodole i spędziłem całutki dzień, wbijając gwoździe w kłodę drzewa. To był cudowny dzień. Kiedy należało wracać do Montrealu, do mego pełnego zabawek domu, rozplakałem się, ale nie powiedziałem tacie dlaczego. Nigdy mu nic nie mówiłem. Większość spraw tkwiła głęboko we mnie. Byłem dzieckiem bardzo wrażliwym i to się nie zmieniło, gdy zacząłem dorastać. Nikt nie wie, ile wycierpiałem. Tato nawet się nie domyślał. Kiedy miałem jedenaście lat, wysłał mnie do prywatnej szkoły. Tam koledzy zanurzyli mnie w basenie i trzymali tak długo, póki nie zgodziłem się stanąć na stole i nie przeczytałem na głos wszystkich reklam wymyślonych przez ojca medykamentów. Zrobiłem to wtedy... — Barney mocno zacisnął pięści — bo byłem wystraszony i na pół utopiony. I cały mój świat stanął przeciwko mnie. Lecz gdy wstąpiłem do college'u i studenci starszych lat spróbowali tej samej sztuczki, nie dałem się. — Barney uśmiechnął się ponuro. — Nie zmusili mnie, ale udało im się zatruć mi życie. Bez ustanku przypominano mi pigułki, miksturę i tonik do włosów. Przezywali mnie „Po użyciu”. Cztery lata w college'u były koszmarne. Wiesz, a może i nie wiesz, jakimi bezlitosnymi potworami potrafią być chłopcy, gdy znajdą sobie ofiarę. Nie miałem wielu przyjaciół. Zawsze istniała jakaś bariera między mną i ludźmi, na których mi zależało. A inni, którzy chętnie przyjaźniliby się z synem bogatego doktora Redferna; cóż, tych ja nie chciałem.

Ale miałem jednego przyjaciela, czy też sądziłem, że mam. Starszy ode mnie, zdolny, pogrążony w książkach chłopak, próbujący coś pisać. Była między nami jakaś więź. Ja też miałem ukryte aspiracje w tym kierunku. Podziwiałem go i stał się dla mnie wzorem do naśladowania. Przez rok czułem się wyjątkowo szczęśliwy. A potem w uczelnianej gazecie pojawił się szkic satyryczny, jadowicie wyśmiewający wszystkie preparaty ojca. Naturalnie, zmieniono nazwisko, ale i tak każdy wiedział, o kogo chodzi. Och, to była cięta i dowcipna rzecz, diabelnie dowcipna. Cały college tarzał się ze śmiechu. Dowiedziałem się, że napisał to on.

— Jak to możliwe? Jesteś pewien? — przygaszone oczy Valancy zapłonęły oburzeniem.

— Tak, przyznał się, gdy go spytałem. Powiedział, że dobry pomysł jest dla niego więcej wart od przyjaciela. I dołożył nie proszony jeszcze jeden cios: „Pamiętaj Redfern, że są rzeczy, których nie kupisz za żadne pieniądze. Na przykład, nie kupisz sobie dziadka”. Cios był silny, a ja jeszcze na tyle młody, że bardzo go odczułem. Najgorsze, że zniszczył wiele z

mych ideałów i marzeń. Po tym wszystkim stałem się młodym mizantropem. Nie chciałem się z nikim przyjaźnić. Aż wreszcie, rok po ukończeniu college'u, spotkałem Ethel Traverse.

Valancy zdradzała. Barney, siedzący z oczyma utkwionymi w podłogę, nie zauważył tego.

— Zdaje się, że ojciec opowiedział ci o niej. Była bardzo piękna i kochałem ją. O tak, kochałem. Nie będę zaprzeczał. To była pierwsza, namiętna, bardzo prawdziwa miłość samotnego i romantycznego chłopaka. Myślałem, że ona też mnie kocha. Byłem na tyle głupi, żeby tak sądzić. Gdy zgodziła się za mnie wyjść, szalałem ze szczęścia. Przez kilka miesięcy. A potem... dowiedziałem się że jest inaczej. Mimo woli podsłuchałem pewną rozmowę. Przyjaciółka Ethel pytała ją, jak może znosić syna doktora Redferna i te medykamenty na dodatek.

„Jego pieniądze ozłocą pigułki i osłodzą mikstury — odparła Ethel ze śmiechem. — Mama kazała mi go złapać za wszelką cenę. Jesteśmy zrujnowani. Ale cóż! Zawsze czuję zapach terpentyny, gdy się do mnie zbliża”.

— Och, Barneyu! — zawołała Valancy z przejęciem. Już zapomniała o własnych troskach. Przepęniała ją tylko współczucie do niego i wściekłość wobec Ethel Traverse. — Jak ona mogła, jak śmiała?

— I to — Barney wstał i przechadzał się nerwowo po pokoju. — i to mnie ostatecznie dobiło. Porzuciłem cywilizację, przekłete lekarstwa i wyprawilem się na Yukon. Pięć lat włóczyłem się po najdziwniejszych miejscach. Zarabiałem na swoje utrzymanie i nie tknąłem ani centa z pieniędzy ojca. A któregoś dnia obudziłem się ze świadomością, że Ethel nic już dla mnie nie znaczy. Była kimś, kogo znałem w innym świecie. To wszystko. Ale mimo to nie ciągnęło mnie do domu, do dawnego życia. Ono już nie było dla mnie. Byłem wolny i takim chciałem pozostać. Przyjechałem nad Mistawis i zobaczyłem wyspę Toma MacMurraya. Rok wcześniej wyszła moja pierwsza książka i dobrze się sprzedała. Miałem trochę pieniędzy z honorarium. Kupiłem więc tę wyspę, ale trzymałem się z dala od ludzi. Nikogo nie darzyłem zaufaniem. Nie wierzyłem, że istnieje prawdziwa przyjaźń lub prawdziwa miłość — w każdym razie dla mnie, syna „Czerwonych Pigułek”. Z przyjemnością słuchałem wszystkich opowiadanych o mnie plotek. Prawdę mówiąc, to parę historyjek sam podsunąłem. Robiłem różne tajemnicze aluzje, które ludzie interpretowali zgodnie z własnymi przypuszczeniami.

— A potem... zjawiłaś się ty. Musiałem uwierzyć w to, że mnie naprawdę kochasz. Mnie, a nie miliony mego ojca. Bo jakież był inny powód, dla którego poślubiłaś faceta bez grosza i z taką — jak opowiadano — przeszłością. I współczułem ci. Tak, nie przeczę, że ożeniłem się z tobą, bo było mi cię żal. Po pewnym czasie pojąłem, że jesteś najlepszym, najmilszym kompanem, druhem, jakiego tylko można sobie wymarzyć. Dowcipnym, dobrym, lojalnym. To ty pozwoliłaś mi uwierzyć w przyjaźń i miłość. Świat znowu wydał mi się dobry, bo jesteś na nim ty, skarbie. Zrozumiałem to, gdy wieczorem wracając na wyspę, pierwszy raz zobaczyłem światła w oknach naszego domu. Wiedziałem, że gdy wrócę głodny i zmęczony, czekać mnie będzie smaczna kolacja, wesoły ogień na kominku i ty.

Lecz dopiero zdarzenie na torach uświadomiło mi, jak wiele dla mnie znaczysz. Pojąłem wtedy, że nie mogę żyć bez ciebie. Gdybym nie zdołał uwolnić cię z bucika, umarłbym razem z tobą. Przyznaję, że mnie to oszołomiło, zupełnie straciłem głowę. Jakiś czas nie mogłem pozbierać myśli. Dlatego zachowałem się jak tępy muł. Pognała mnie w gąszcz lasu straszna myśl o twojej ciężkiej chorobie. Dotychczas usuwałem ją ze swej świadomości. Teraz stanąłem przed faktem, że ciąży na tobie wyrok śmierci, a ja nie potrafię żyć bez ciebie. Wczoraj w nocy, wracając do domu, podjąłem decyzję, że zawiozę cię do najlepszych specjalistów, bo przecież musi być jakaś nadzieja. Nie może być tak źle, skoro nie zaszkodziło ci zdarzenie na torach. Kiedy znalazłem list, oszalałem ze szczęścia, ale potem zacząłem podejrzewać, że może tobie już nie zależy na mnie i odeszłaś, by odzyskać wolność. Teraz już wszystko w porządku, prawda, kochanie?

Czy to do niej, do Valancy, mówił „kochanie”?

— Nie mogę uwierzyć — powiedziała bezradnie. — Wiem, że to niemożliwe. Jasne, litujesz się nade mną i chcesz uporządkować cały ten kram. Ale to nie jest właściwa droga. Nie możesz kochać mnie — mnie. — Dramatycznym gestem wskazała lustro nad kominkiem. Rzeczywiście, nawet Allan Tierney nie zdołałby doszukać się piękna w tej żalostnej, zmęczonej twarzy.

Barney jednak nie patrzył w lustro tylko na Valancy i to tak, jakby miał zamiar chwycić ją w objęcia albo zbić. — Nie kocham cię? Dziewczyno, tkwisz głęboko w moim sercu ukryta jak najcenniejszy klejnot. Czyż nie przyrzekłem, że nigdy cię nie okłamię? Kocham cię całym sercem, duszą i umysłem. Tylko ty jedna istniejesz dla mnie na całym świecie.

— Dobry z ciebie aktor — zauważyła Valancy ze słabym uśmiechem.

Barney spojrzał na nią uważnie. — A więc ciągle mi nie wierzysz?

— Nie... nie mogę.

— Och, do cholery! — wykrzyknął z pasją Barney.

Valancy spojrzała zaskoczona. Nigdy go takim nie widziała. Groźna mina, pociemniałe z gniewu oczy, wykrzywione usta, śmiertelnie blada twarz.

— Ty nie chcesz uwierzyć — powiedział jedwabście miękkim głosem, świadczącym o powstrzymanej wściekłości. — Zmęczyłaś się mną. Chcesz się z tego wykręcić, uwolnić się ode mnie. Wstydzisz się pigułek i maści, tak samo jak niegdyś ona. Twoja duma Stirlingów mogłaby znieść krótki związek. Lecz całe życie z synem starego doktora Redferna? O, to zupełnie inna sprawa. Rozumiem cię, byłem ślepy, ale teraz nareszcie cię rozumiem.

Valancy wstała i spojrzała na jego rozzłoszczoną twarz. A potem nieoczekiwanie roześmiała się. — Mój kochany! — zawołała. — A więc to prawda, rzeczywiście tak myślisz. Nie byłbyś taki wściekły, gdyby było inaczej.

Barney patrzył na nią chwilę, po czym chwycił w ramiona, śmiejąc się triumfująco.

Stryj Benjamin, który zamarł przerażony przy dziurce od klucza, nagle odetchnął i na palcach wrócił do saloniku. — Wszystko w najlepszym porządku! — obwieścił radośnie. — Droga, mała Doss! — Postanowił, że zaraz pošle po adwokata i znowu zmieni testament. Doss zostanie jego jedyną spadkobierczynią. Zasłużyła sobie na to.

Pani Fryderykowa zaś, odzyskawszy wiarę w Opatrzność, wyjęła z szuflady rodzinną Biblię i zrobiła wpis w rubryce „małżeństwa”.

\* \* \*

— Ależ Barneyu — zaprotestowała po kilku minutach Valancy. — Twój ojciec dał mi do zrozumienia, że ty ciągle jeszcze ją kochasz.

— To do niego podobne. Tata bije rekordy w popełnianiu błędów i stwarzaniu niezręcznych sytuacji. Jeśli jest coś, o czym lepiej nie mówić, na pewno wyciągnie to na światło dzienne. Ale staruszek tak w ogóle nie jest zły. Mam nadzieję, że go polubisz.

— Już go lubię.

— I jego pieniądze nie są brudne. Zdobył je uczciwie. Medykamenty są zupełnie nieszkodliwe. Nawet Czerwone Pigułki robią ludziom dużo dobrego, jeśli w nie wierzą.

— Ale... ja nie pasuję do twego życia — westchnęła Valancy. — Nie jestem ani szczególnie inteligentna, ani wykształcona, ani...

— Moje życie jest związane z Mistawis i podobnie dzikimi miejscami na świecie. Nie proszę, żebyś prowadziła życie światowej damy. Naturalnie, musimy spędzać trochę czasu z ojcem, jest przecież stary i samotny...

— Ale nie w tym wielkim domu — zastrzegła Valancy. — Nie mogłabym mieszkać w pałacu.

— Jasne, nie możesz tak zniżyć lotów po Błękitnym Zamku — zażartował Barney. — Nie martw się kochanie. Ja też nie chcę tam mieszkać. Dom ma schody z białego marmuru i złoczone poręcze, a wygląda jak sklep z meblami, z których przed chwilą zdjęto ceny. Znajdziemy jakiś mały dom pod Montrealem, na prawdziwej wsi, ale dość blisko by często widywać staruszka. Albo go sobie zbudujemy. Dom, który się zbudowało, jest dużo miłszy od domu kupionego. Lato będziemy spędzać na Mistawis, a jesień w podróżach. Chcę, żebyś zobaczyła Alhambrę — jest najbardziej podobna do Błękitnego Zamku z twoich marzeń. Chciałbym ci także pokazać przy świetle księżyca pewien staroświecki ogród we Włoszech.

— Czy to będzie piękniejsze od księżyca wschodzącego nad Mistawis?

— Nie piękniejsze, ale inne. Jest tyle odmian piękna na świecie. Valancy, prawie całe życie spędziłaś pośród brzydoty i nic nie wiesz o urodzie świata. Chcę razem z tobą wspinać się na zbocza gór, oglądać bazyry Azji, poszukiwać magii Wschodu i Zachodu. Pragnę to wszystko zobaczyć raz jeszcze, lecz twoimi oczami. Dziewczyno, jest milion rzeczy, które chcę ci pokazać i zrobić razem z tobą. Zajmie to nam całe życie. No i najpierw zamówimy twój portret u Tierneya.

— Czy obiecasz mi coś? — spytała Valancy uroczyście.

— Wszystko — odparł Barney bez zastanowienia.

— Tylko jedno. Nigdy, pod żadnym pozorem i w żadnych okolicznościach, nie wypomnisz mi, że to ja ci zaproponowałam małżeństwo.

\* \* \*

Fragmety listu Olivii Stirling do pana Cecila Price'a:

*To oburzające, że szalone przygody Doss skończyły się w ten sposób. Można pomyśleć, że przyzwoite zachowanie nie ma sensu.*

*Jestem przekonana, że gdy odeszła z domu, nie była całkiem zdrowa na umyśle. Dowodem jest to, co powiedziała o piaskowej górze. Oczywiście, nie sądzę, żeby kiedykolwiek cierpiała na serce. A może ten Snaith, Redfern, czy jak on się zwie, karmił ją na tej wyspie Czerwonymi Pigułkami i one ją wyleczyły? To dopiero reklama dla specyfików Redferna!*

*Jest taki niepozorny. Wspomniałam o tym Doss, a ona na to: — Nie lubię mężczyzn wyglądających jak reklama sztywnych kołnierzyków.*

*Cóż, on na pewno na takiego nie wygląda. Chociaż muszę przyznać, że jest w nim coś interesującego, teraz gdy się ostrzygł i włożył porządne ubranie. Wiesz, Cecilu, uważam, że powinieneś zażywać więcej ruchu i uprawiać sport. Smukły mężczyzna dużo lepiej się prezentuje.*

*Twierdzi także, że jest Johnem Fosterem. Możemy w to wierzyć lub nie, to już inna sprawa.*

*Stary doktor Redfern dał im dwa miliony w prezencie ślubnym. Najwidoczniej Czerwone Pigułki to dobry interes. Spędzą jesień we Włoszech, a zimę w Egipcie. Wiosną zaś pojedą zwiedzać samochodem Normandię. Ale już nie tym starym gruchotem. Redfern kupił sobie piękny, nowy wóz.*

*Cóż, chyba ja też ucieknę z domu i wywołam skandal.*

*Stryj Ben jest nieznośny, tak jak i stryj James. Hałas, jaki robią wokół Valancy, jest wprost niesmaczny. Jeszcze gorsza jest ciotka Amelia, która przy każdej okazji mówi: — Mój zięć Bernard Redfern. Moja córka pani Bernardowa Redfern. Mama i ojciec nie są lepsi od reszty. I nie widzą, że Valancy śmieje się z nich w kulak.*

\* \* \*

Valancy i Barney zatrzymali się wśród sosen w chłodnym, wrześnieowym zmierzchu, aby rzucić pożegnalne spojrzenie na Błękitny Zamek. Mistawis tonęło w liliowym świetle zachodu, nieopisanie łagodne i ciche. Nip i Tuck leniwce krakały wśród gałęzi. Szczęściarz i Banjo pomiaukiwały w koszykach na tylnym siedzeniu nowego samochodu Barneya. Do powrotu Valancy miała się nimi opiekować kuzynka Georgiana. O przywilej opieki nad kotami współzawodniczyły ciotka Wellington, kuzynki Sarah i Gladys, ale wygrała kuzynka Georgiana.

Valancy rozplakała się patrząc na wyspę.

— Nie płacz, Promyczku. Wrócimy tu latem. A teraz wyjedziemy w prawdziwą podróż poślubną.

Valancy uśmiechnęła się przez łzy. Szczęście ją przerażało. Wśród tylu wspaniałości i nowych wrażeń, czekała ją „chwała Grecji i wielkość Rzymu”, uroki wiecznego Nilu, blaski Rivieri, minarety i pałace, a jednak wiedziała, że żadne miejsce na świecie nie posiada tego czaru, co jej Błękitny Zamek.